

RAFAŁ DĘBSKI

# ŻELAZNE KAMIENIE



**Rafał Dębski**

# **Żelazne kamienie**

# Żelazne kamienie

Copyright © by Rafał Dębski

Copyright © for the cover illustration by Łukasz Ciesielski, used under the Creative Commons Attribution-Share Alike 3.0 license

Skład i korekta: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla/

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-64416-23-1

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

# 1.

Na urokliwy rynek Bolkowa nieśmiało zaglądały pierwsze promienie słońca. W podcieniach, w przestrzeniach pod arkadami czał się jeszcze poranny chłód, ale wieża ratuszowa już pojaśniała, a nieco dalej malowany zegar na kościele lśnił tak mocno, że w tej ulotnej chwili mógł się wydawać małym bratem gorącej gwiazdy. Było zupełnie pusto, jeśli nie liczyć mężczyzny siedzącego na kamiennej podmurówce naprzeciw wejścia do magistratu. Ubrany był w podartą i byle jak połataną bluzę wojskowego kroju. Na rękawie miała naszytą trójkolorową niemiecką flagę. Podobne bluzy były modne w latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych. Przywozili je z Niemiec gasterbeiterzy. Takie okrycia wydawano niegdyś także azylantom w obozach dla uchodźców z krajów komunistycznych.

Mężczyzna zdawał się drzemać z pochyloną głową. Pod nogami postawił odkorkowaną butelkę taniego wina. Brakowało w niej już ponad połowy zawartości. Trwał tak kilkanaście minut, wreszcie drgnął, chwycił butelkę brudną dłonią i przechylił zdecydowanym, wprawnym ruchem. Wczesny letni poranek, głośny śpiew ptaków i uroda miejsca zdawały się nie robić na nim najmniejszego wrażenia. Rozejrzał się obojętnie, czknął i znów zapadł w odrętwienie. U wylotu rynku, od strony ulicy prowadzącej na zamkowe wzgórze, pojawiło się dwóch policjantów. Mieli jednakowo szare, ziemiste twarze, zmęczone oczy omiatały przestrzeń. Niższy i tęższy odetchnął głęboko. Poranne powietrze wdarło mu się do płuc, wyganiając część oparów papierosowego dymu.

— Szlag jasny. Po co myśmy pili ten spiryt na sam koniec? Rzygać się tylko chce.

— Psia służba — odparł wyższy. — Cała sobotnia noc w plecy, a na koniec trzeba się zrywać. Psia służba — powtórzył, jakby smakował te słowa.

— Każda jest psia. Bez wyjątku. I jeszcze ten telefon... Patrz tam, przy ratuszu. To chodzi pewnie o tego gostka. Sztajmes pieprzony! Spije się, mordę rozedrze, a ty człowieku dygaj na zawołanie, bo komuś

dziecko obudził. Chodź, zgarniemy typa, będzie chociaż tyle rozrywki.

— Czekaj — kolega chwycił go za rękaw. — Tam jest jeszcze ktoś.

Rzeczywiście, zza rogu wytoczył się mężczyzna. Spojrzał spod zmrużonych powiek na siedzącego, po chwili wahania ruszył w jego stronę ostrożnym krokiem. Było to o tyle zabawne, że nie bardzo mu ta ostrożność wychodziła. Potknął się raz i drugi, zachwiał niebezpiecznie, z trudem chwycił równowagę. Czujnie spoglądał na drzemiącego. Jednak ten zdawał się być pogrążony w głębokim pijackim śnie, trwał bez ruchu, nieco przechylony na bok.

— Patrz tylko — szepnął niższy z funkcjonariuszy — co on kombinuje?

— Chce zakosić pryte, jak nic! Łeb mnie zaczyna boleć, kiedy sobie pomyślę, że można się tego gówna napić. Sen Sołtysa czy inna cholera. Sam kwach i siara. Do ust bym nie wziął, a wybredny przecież nie jestem.

Tymczasem przybysz zbliżył się na dwa kroki do śpiącego. Stanął, patrząc łakomie na butelkę. A potem powoli, niesłychanie ostrożnie przykucnął, podparł się rękami i na czworakach centymetr po centymetrze zaczął pełznąć w kierunku przedmiotu pożądania. Łakoma dłoń wyciągnęła się; delikatnie, prawie z nabożną czcią objęła szyjkę, uniosła naczynie, po czym zaczęła się cofać. Jednak drzemiący pijaczyna albo nie spał w ogóle, albo obudził go jakiś nieostrożny ruch, bo zniecierlił chwycił nadgarstek złodzieja.

— Ty skurwysynu — wycharczał przez zaciśnięte zęby. Sprawiał wrażenie, jakby bał się otworzyć szerzej usta, żeby nie wymiotować. — Zostaw, nie twoje!

Drugi nie zamierzał łatwo zrezygnować z łupu. Szarpali się więc, usiłując przejąć butelkę. Po chwili w ruch poszły nogi. Odgłosy solidnych kopniaków dotarły do uszu policjantów.

— Dobra, bierzemy ich, zanim narobią rabanu.

W ciszy poranka kroki biegnących poniosło echo.

— Psy! — padło ostrzeżenie.

Ten, który próbował ukraść wino puścił butelkę, rzucił się do ucieczki. Drugi stał spokojnie.

— Dziękuję, panowie — rzucił bełkotliwie do policjantów. — Co za złodziejstwo w tym mieście.

— Podziękujesz nam na komisariacie — powiedział wyższy z

krzywym uśmiechem.

— Jestem aresztowany? — pijak podniósł dumnie głowę. — Za co? Proszę odczytać mi moje prawa.

Funkcjonariusze spojrzeli na siebie, jednocześnie parsknęli śmiechem.

— To nie amerykański film, głupku! Ale mogę ci odczytać twoje prawa. Masz prawo nie zeszczuć się w gacie na komisariacie. Zadowolony? Nawet mi się ładnie zrymowało.

— Ale za co jestem aresztowany? Chcę wiedzieć! — upierał się obdartus.

— Nie aresztowany tylko zatrzymany. Za zakłócanie ciszy nocnej.

Pijak spojrzął na ratuszowy zegar. Zachwiał się.

— Jest prawie dziesiąta — oznajmił.

— Na nim zawsze jest prawie dziesiąta, głupku — warknął niższy. — A tobie o wpół do piątej dowcipy w głowie? Czekaj, pogadamy u nas.

— Żądam adwokata! — wybełkotał pijany. — I przysługuje mi jeden telefon na miasto!

— Idziemy — ujęli go pod ręce. — I bez numerów, bo zarobisz pałą pod kolanka za stawianie oporu władzy i utrudnianie wykonywania czynności służbowych.

\*

Mężczyzna po czterdziestce siedział z szeroko rozchyłonymi nogami, jego przedramiona spoczywały na poręczach krzesła. Nie byłoby w tej pozycji może nic szczególnego, gdyby nie fakt, iż kostki miał przywiązane do nóg mebla, a ręce do poręczy. I drugi fakt — człowiek ten był zupełnie nagi, a na jego ciele symetrycznie rozmieszczono elektrody — na głowie, sutkach i jądrach, zaś osobna, będąca cienkim metalowym walcem, została wprowadzona do prącia. W oczy mężczyzny świeciła oślepiającym blaskiem dwustuwatowa żarówka.

— Pytam po raz ostatni — powiedział głos zza lampy — kto cię tutaj wysłał i po co?

— Nie wiem, o czym mówisz — wymamrotał mężczyzna.

— Wiesz, gnoju. Jeżeli wyznasz wszystko, czeka cię lekka śmierć. Jeśli nie...

Przekręcił włącznik. Popłynął prąd; przesłuchiwany wyprężył się, jakby chciał zerwać więzy.

— Możemy się tak bawić bardzo długo.

— Spierdalaj.

Wtedy z boku przyskoczył zwałisty człowiek. Z rozmachem uderzył skrępowanego mężczyznę pięścią w twarz. Głowa odskoczyła do tyłu, z ust buchnęła krew, wraz z nią wypłynęło kilka wybitych zębów. Wszystko to spłynęło w dół, na nagi tors, który przypominał po chwili fartuch rzeźnika.

— Kretyni — wyrzeził mężczyzna. — To ostatnia głupota tak robić.

Osilek podniósł rękę do następnego ciosu, ale powstrzymała go ostra komenda.

— Stój! Chcę usłyszeć, co nasz gość miał na myśli, mówiąc o debilizmie naszych metod. Mów.

— Trzeba być idiotą, żeby masakrować gębę komuś, od kogo chce się wyciągnąć informacje — torturowany mówił niewyraźnie, mocno sepleniąc.

— Nie bój się. To były może złe metody, ale w czasach gdy ludzie bywali niepiśmienni i musieli zeznawać ustnie. Dzisiaj nie ma tego problemu. A my zostawimy ci paluszki zdrowe, żebyś mógł napisać, co trzeba.

— Oprawcy...

— Dość tego! Czapa — głos zza lampy zwrócił się do zwałistego człowieka. — Napchaj mu ryj szkłem i przyłóż porządnie. Jemu się chyba wydaje, że to jakieś żarty.

Rozległ się gardłowy, rżący śmiech. Brzęknęła rozbita szklanka.

— Otwórz usta. Bo będę musiał rozciąć gębę nożem!

— Walnij go w dołek, to sam mordę otworzy — padła rada z tyłu, z ciemności.

Potężna pięść zatoczyła łuk. Drobinki krwi z torsu i brzucha bryznęły na wszystkie strony. Po chwili zazgrzytało szkło. Znów zamach pięścią, tym razem w twarz, z boku. Trysnęła posoka, a przesłuchiwany stracił przytomność.

— Kurwa — zaklął osilek. — Łapę sobie rozcięciem.

— Szkło wylazło przez policzek, durniu. Trzeba było rękawicę włożyć albo przywalić po ryju kijem. Trzeba mieć nasrane, żeby walić gołą piąchą w gębę pełną tłucznią.

— Takiś mądry? To chodź tu i popracuj.

— A idź w cholerę. Sam się rwałeś do bicia.

— Zamknąć mordy! — warknął głos zza lampy. — Polać go wodą, otrzeźwić. I obaj do roboty!

\*

Stali na baczność przed komendantem. Wysoki, szeroki w ramionach oficer przechadzał się przed nimi, łypiąc groźnie. Wreszcie przystanął.

— Jesteście obaj... — zaczął, ale w tej chwili zadzwonił telefon. — Zaraz was oprawię — warknął. — Czekać za drzwiami.

Wymiotło ich w jednej chwili. Stanęli pod przeciwległą ścianą wąskiego korytarza.

— Ale się wściekł — sapnął niższy policjant. — O co mu chodzi?

— Nowy jest, to ma pomysły — odparł nieco flegmatycznie wyższy. Pozorna niedbałość skrywała wewnętrzne drżenie. Jak wszyscy odczuwał strach przed niedawno przysłanym nie wiadomo skąd dowódcą. — Nauczy się, że tutaj nie Wrocław, ani nawet Jelenia Góra.

— Ale zanim się nauczy, tyłki nam spuchną.

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion. Drzwi uchyliły się, komendant skinął na nich ręką. Weszli pośpiesznie, bez ociągania, żeby go mocniej nie rozdrażniać.

— O co prosiłem na odprawie tydzień temu? — padło pytanie zadane nieprzyjemnym, ostrym głosem.

Spojrzeli po sobie bezradnie.

— Oczywiście, powinienem się tego spodziewać — zrezygnowany opadł na fotel za biurkiem. — Byliście głusi czy pijani kiedy mówiłem, żeby zawiadamiać mnie o każdym nietypowym incydencie, bez względu na porę?

— Ale szefie — zaprotestował niższy. — Co to niby za incydent? Jakiś pijaczek, normalna awantura.

— Codziennie trafia się w Bolkowie przyjezdny sztajmes? — wpadł mu w słowo komendant. — Naprawdę codziennie? Rozumiem, gdyby to był Karolek albo Rudy, nasze zwyczajne, kochane męty. Ale ten gość jest zupełnie obcy. Uważacie, że co? Przyjechał napić się mózgojeba w pięknym otoczeniu? A poza tym nie zwróciliście uwagi na parę istotnych szczegółów... — machnął ręką zrezygnowany, dostrzegając wyraz niezrozumienia i wręcz osłupienia na twarzach podwładnych. — Trepy



jesteście, a nie wartościowi funkcjonariusze.

Wstał z ciężkim westchnieniem, podszedł do okna, zapatrzył się na drzemiącego w plamie słońca burego kota.

— Powiniennem wam polecić po premiach — mruknął nie odwracając się — Ale to i tak by nic nie dało. Sprowadzić mi zaraz tego gościa. Macie szczęście, że nie został jeszcze wypuszczony, bo wtedy... — zawiesił głos, odwrócił się. — No, na co jeszcze czekacie?!

Prawie zderzyli się w drzwiach, usiłując wyjść.

— Butelka! — zatrzymał ich jeszcze głos przełożonego.

— Jaka butelka? — spytał osłupiały wyższy policjant.

— Ta, z której pił. Gdzie jest?

— Wylałem to gównem i wywaliłem do kontenera przy komisariacie.

— Szlag by was, kretyni! Nie przyszło ci do zakutego łba, że to materiał dowodowy?

Patrzyli na niego jak na wariata. Dowódca westchnął ciężko, pokręcił głową.

— Jeszcze nie wywozili śmieci. Macie mi dostarczyć tę flaszkę. Zanim jeszcze przyprowadzicie naszego gościa!

\*

Szedł korytarzem, eskortowany przez wściekłych policjantów. Połajanka komendanta miała taki skutek, że brutalnie zrzucili go z pryczy, wywlekli z celi, ustawili z rękami opartymi o ścianę, rozstawionymi szeroko nogami i dokonali bezcelowego przeszukania, nie szczędząc szturchańców. Znosił wszystko ze stoickim spokojem, nie zaprotestował nawet słowem.

— Właż — zatrzymali się przed drzwiami z tabliczką „Komisarz Jerzy Piwnicki”. Jeden z policjantów otworzył drzwi, wepchnął aresztanta do pokoju, wcisnął się zaraz za nim.

— To ten, szefie. To on...

Dowódca nie pozwolił mu skończyć.

— Zostawcie nas samych.

Długo przyglądał się zatrzymanemu. Ten stał nieruchomo, zapatrzony w zawalone papierami biurko.

— Mikołaj Bernis — rzekł policjant. — Przynajmniej tak powiedziałeś i tak stoi w dowodzie. Zamieszkały we Wrocławiu przy ulicy Obornickiej. Zgadza się?

— Zaraz tam zamieszkały — uśmiechnął się krzywo aresztant nie odrywając wzroku od zwału teczek. — Adres jakiś trzeba było podać, podałem taki. Moja matka tam mieszka, zameldowany jestem, i owszem, ale stałego miejsca na świecie nie mam.

— To się jeszcze okaże — burknął komendant. — Wszystko się jeszcze okaże... Czego szukasz w Bolkowie?

— Niczego.

— A mnie się wydaje, że coś ukrywasz. Po co tu przyjechałeś?

— A nie może pan przyjąć do wiadomości, że jestem zwykłym turystą?

— Turystą? — prychnął Piwnicki. — Podróżujesz zapewne szlakiem rozlewni taniego wina na Dolnym Śląsku? A może nawet w całym kraju? Taki rajd sztajmеса o nagrodę plastikowego korka?

— Być może — padła poważna odpowiedź. — To nie powinno nikogo obchodzić. Nie łamię prawa. Jestem porządnym obywatelem, może brudnym i obdartym, ale nie sprawiam kłopotów.

— Zobaczmy jeszcze jak jest z tą niewinnością. Nie jesteś zwykłym smakoszem mózgotrzepów. Nie ten język, robaczku. Gadasz jak człowiek wykształcony.

Pijaczek wzruszył ramionami, stłumił ziewnięcie.

— A co, panie komendancie, czy ktoś po studiach nie może zostać bezdomnym?

— Może, obywatelu bez skazy, może. Tylko pytanie, czego ktoś taki szuka właśnie w Bolkowie.

— Powinniście mnie zwolnić dzisiaj rano — mężczyzna spojrzał wreszcie prosto na oficera — jeśli nie postawiono mi zarzutów. Nikogo nie wolno przetrzymywać za włóczęgostwo. Komuna się już skończyła, co oznajmiam z satysfakcją, jeśli jeszcze do pana taka wiadomość nie dotarła.

— W dodatku jesteś niemiły i złośliwy — komendant poczuł gulę wściekłości podchodzącą do gardła, ale opanował się. — Inteligentny też jesteś. Zbyt inteligentny na zwykłego sztajfa. Trzeba ci się bliżej przyjrzeć, panie Bernis. Bardzo blisko.

— Byle nie za blisko — odpowiedział lekkim tonem zatrzymany. — Od jakiegoś czasu nie miałem okazji się umyć. Nie chciałbym podrażnić organu powonienia szanownego przedstawiciela organów ścigania. Bo z

organami trzeba uważać...

— Słuchaj, mądralo — komendant wstał zza biurka, okrążył je i znalazł się naprzeciwko przesłuchiwanego. Chwycił go za policzek, pociągnął mocno, aż ukazały się białe, lśniące zęby. — Wyprowadzisz mnie wreszcie z równowagi, zawołam chłopaków, a wtedy pójdą w ruch pałki. Z rozkoszą dadzą ci wycisk, bo przez ciebie mają problemy.

Ścisnął jeszcze raz policzek mężczyzny i wrócił na fotel.

— To się chyba nazywa groźba karalna — odpowiedział spokojnie pijaczek. — To znaczy taką nazwę można zastosować, jeśli coś podobnego wygłosi zwykły obywatel. Ale, jak rozumiem, organa ścigania mogą nadweręzać organa obywatela najzupełniej bezkarnie.

— Jeszcze słowo o organach — odpowiedział równie spokojnie Piwnicki — a wypuszczę z ciebie powietrze jak organista z miechów. Mów, czego szukasz w Bolkowie!

— Już powiedziałem.

— Jak sobie chcesz. Poczekamy aż zmięknieś. Wrócisz teraz na dołek.

— Nie może pan...

— Na dołek! — powtórzył głośniejszym głosem komendant. — Kiedy wyjdiesz na wolność, możesz złożyć zażalenie do moich przełożonych. A na razie zastanów się, czy nie warto przypadkiem powiedzieć prawdę. Pomyśl, dlaczego tak się uparłem? Przejrzałem cię, Bernis. Nie jesteś taki sprytny, jak ci się zdaje.

— Pan oszalał, panie organie — aresztant patrzył na oficera szeroko otwartymi oczami. — Panu organowi coś się ubzdurało. Jestem zwyczajnym włóczęgą. Przyjechałem do waszego miasteczka zobaczyć to i owo, zamek, myślałem może, że trafię na jakiś turniej rycerski. Wtedy łatwo naciągnąć kogoś na piwo albo i coś mocniejszego. A tu dupa błada, komendancie. Pusto i cicho jak na pogrzebie organisty, że zacytuję słowa Pawlaka z *Samych swoich*.

Piwnicki skrzywił się z niechęcią, machnął ręką.

— Nie pieprz, człowieku. Pogadamy jutro.

\*

Przed budynkiem, w którym mieściła się siedziba policji w Bolkowie stał wysoki, przystojny mężczyzna. Od czasu do czasu spoglądał to na zegarek, to na drzwi. Wreszcie odwrócił się, ruszył w dół ulicy. Następnie

skręcił, skierował się w stronę rynku. W poniedziałkowe południe kręciło się tam sporo ludzi, drzwi sklepów były szeroko otwarte. Mężczyzna przeszedł zamyślony obok grupki dzieci zabawiających się rzucaniem kamieniami do puszek po piwie. Zatrzymał się, kiedy jakiś odbity rykoszetem kawałek granitu przeleciał mu pod nogami, a potem poszedł do budynku ratusza. Przystanął na chwilę, jakby czytał urzędowe, czerwone tabliczki i zdecydowanym krokiem wszedł do środka, zostawiając za plecami rozgrzane powietrze letniego dnia.

— Którędy do burmistrza? — spytał przechodzącego urzędnika.

Tamten ruchem dłoni wskazał kierunek. Mężczyzna ruszył nieśpiesznie. Zatrzymał się przed drzwiami sekretariatu.

— Pan do kogo? — spytała ostrym tonem sekretarka.

— Do szefa — odparł miłym, niskim głosem.

— Pan burmistrz jest teraz zajęty. Interesantów przyjmuje jutro od godziny dziesiątej. Pan był umówiony?

— Nie.

— W takim razie...

— Proszę mnie zapowiedzieć — przerwał mężczyzna.

— Nie ma takiej możliwości.

— Jest — odparł spokojnie.

Wyjął z kieszeni legitymację, otworzył ją i położył przed sekretarką. Chwilę trwało, zanim dotarło do niej, co znaczą wypisane w dokumencie słowa i pieczęcie. A potem poderwała się i błyskawicznie znikła za drzwiami prowadzącymi do gabinetu przełożonego.

## 2.

— Namyśliłeś się, panie Bernis?

Aresztant wzruszył ramionami. Komendanta złościło, że wyglądał, jakby niczym się nie przejmował, jakby niepewność położenia była dla niego mało ważna, wręcz obojętna.

— Skończmy te gierki. Mów, czego szukasz. Chyba się już zorientowałeś, że nie masz do czynienia z jakimś prowincjonalnym gliną, którego łatwo wyprowadzić w pole.

— Tak, panie wyższy organie — odparł z krzywym uśmiechem Mikołaj. — To da się zauważyć. Podobnie jak nietrudno dostrzec niechybne objawy paranoi. Ale to chyba stało się modne ostatnimi czasy, aby wietrzyć wszędzie spiski i wrogów. Przykład idzie z góry...

— Nie politykuj człowieku, tylko mów, czego tu szukasz? Nie jesteś zwyczajnym wędrownym pijaczną, grzebiącym po śmietnikach. Jesteś kimś innym. Kimś więcej.

— A może raczej kimś mniej? A na pewno nie tak ważną personą, jak się panu wydaje.

— Nie próbuj logicznych i semantycznych sztuczek. Chcę od ciebie rzetelnej informacji.

Łachmaniarz rozłożył ręce w bezradnym geście.

— Z czego właściwie pan wnosi, że nie jestem tym, za kogo się podaję? Takich jak ja są w kraju tysiące. Na pewno nawet w swoim Bolkowie macie parę egzemplarzy.

— Racja, łachmaniarzy podobnych do ciebie jest wielu. Ale tylko p o d o b n y c h! Mnie nie zwiedzisz tak łatwo jak tych tępaków, którzy cię zatrzymali. Oni po prostu nie zwracają uwagi na szczegóły. Nie potrafią wyjść od ogółu do szczegółu i odwrotnie. Nie umieją heurystycznie wykorzystywać algorytmów. Obce jest im myślenie analityczne i syntetyczne zarazem. Co tam — dodał ciszej — podejrzewam, że obce im jest myślenie w ogóle.

— A panu nie? — spytał kpiąco Bernis. Spojrzał na ścienny zegar, a potem prosto w oczy oficerowi. — Słucham więc, co chce mi pan udowodnić. O co jestem podejrzany?

— Do poszlak i dowodów przejdziemy za chwilę. Najpierw kilka słów, żebyś zrozumiał, jak bardzo nie na miejscu jest twoja ironia. Słuchaj uważnie, panie oberwańcu. Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy... czy raczej w nos, to brak charakterystycznego smrodu, jaki otacza bezdomnych pijaczków. Druga rzecz to ręce. Owszem, masz uczciwie brudne i czarniawe, ale tylko do nadgarstków, wyżej jest już gorzej... to znaczy czyściej. Ciuchy połatane, oczywiście. Ale w depozycie został twój pasek i sznurówki. Obejrzałem je sobie. Pas jak pas, ale sznurówki zupełnie nowe. Nowe! Trzeba być kretyńcem, żeby udawać degenerata nie dbając o takie szczegóły.

Wstał, podszedł do sztywno wyprostowanego aresztanta, obszedł go dwa razy, a potem nagłym ruchem ściągnął mu z ramion bluzę z demobilu Bundeswehry.

— Powinna być zawszona — warknął. — A tutaj popatrz — szwy czyste, ani śladu insektów.

— Zęby — chwycił wargę Bernisa, zadarł do góry. — Zdrowe, zadbane, nawet ostatnich kilka dni bez mycia im nie popsuło ich wyglądu.

Mężczyzna stał spokojnie, słuchając tyrady policjanta z lekkim uśmiechem. Znów zerknął na zegar.

— Jeszcze to — Piwnicki podszedł do biurka, wyjął z szafki butelkę po tanim winie. — Pozwoliłem sobie zbadać resztkę, jaka się uchowała. To nie jabol. To, o ile mnie zmysły nie mylą, dzin z tonikiem. I cytryną. Chcesz mi powiedzieć, że to ostatni krzyk mody wśród sztajmesów? Drogie drinki w pojemnikach od mózgojebów?

Pochwycił wzrok zatrzymanego, zmarszczył brwi.

— Dlaczego ciągle patrzysz na zegar? Śpieszy ci się dokądś?

— Mam swoje powody — padła odpowiedź. — Powody, które nie powinny pana obchodzić. Przynajmniej na razie.

— Obchodzi mnie wszystko, co może wydać się podejrzanе! A jeśli idzie o ciebie, podejrzanе wydaje się wszystko!

— Nie przesadza pan aby trochę?

— Przesadzam? A co powiesz o moich spostrzeżeniach? Coś przeoczyłem?

— Parę szczegółów — uśmiechnął się Bernis. — Nie wspomniał pan o nazbyt czystych włosach...

— To się wpisuje w całość — wpadł mu w słowo komendant.

— Nie sprawdził pan czystości moich gatek — ciągnął zatrzymany — ani skarpetek. Nie zajrzał pan w uszy, żeby zobaczyć czy zalegają tam pokłady brudu i woskowiny. Można tak wyliczać dość długo. A pańscy durnowaci podwładni nie raczyli mnie sprawdzić alkomatem. Może dlatego, że się bardzo domagałem. Wynik byłby zastanawiający nawet dla nich, bo kilka łyków rozcieńzonego dżinu nie daje imponujących promilowych rezultatów.

Piwnicki uważnie obserwował rozmówcę. Zmrużył oczy tak mocno, że ledwie było widać połyskujące przez szparki białka.

— Ciekawe, prawda? — wycedził. — To wszystko jest bardzo zastanawiające. Niby doskonały kamuflaż, a ileż można znaleźć luk. Może zagramy wreszcie w otwarte karty i dowiem się dla kogo pracujesz, panie Bernis? Wywiad rosyjski czy niemiecki? Nie... oni by nie popełnili takich błędów. Może płacą ci Włosi? Albo Francuzi?

— Pan komendant raczy żartować — aresztant parsknął śmiechem. — Obce wywiady się panu śnią na takiej placówce w Bolkowie? Co jeszcze? Może zobaczy pan we mnie zaraz taliba z Klewek? Może przemyciłem w dupie bombę plutonową, żeby wysadzić w powietrze tę budę i połowę miasteczka?

— Bez kpin wreszcie — oficer poderwał się z miejsca. — Obaj wiemy, o co chodzi. Czego szukasz? Który rejon Bolkowa i okolic najbardziej cię interesuje?

— Bez kpin mówi pan? — teraz aresztant zmrużył oczy. — Dobrze. Powiem panu, czego szukam i która część miasta mnie ciekawi. To nie będzie skomplikowane, bo właśnie znajduję się we właściwym miejscu, z właściwą osobą — spojrzął na zegar — i we właściwym czasie. A to, co usłyszałem wystarczy, żebym wyrobił sobie właściwe zdanie.

Komendant wydawał się zbity z tropu.

— Nie to spodziewał się pan usłyszeć, nieprawdaż? Pora powiedzieć wszystko. Nie nazywam się Mikołaj Bernis, co słusznie pan podejrzewał od samego początku. Moje nazwisko Michał Wroński, porucznik kontrwywiadu.

— Niezła bajeczka — policjant parsknął pogardliwym śmiechem. — Kontrwywiad? Może na dodatek polski, co?

— Nie inaczej. Wpadł pan, panie Piwnicki, czy jak tam się pan

naprawdę nazywa. Może Iwanow, a może Meier?

— W co ty grasz, gnojku? — policjant chwycił zatrzymanego za bluzę na piersi. — Inaczej zaśpiewasz, jak cię przejmą i wymaglą w centrali...

Zamilkł, wsłuchując się w nagły tumult za drzwiami. Otworzyły się nagle na całą szerokość, stanął w nich wysoki, przystojny mężczyzna. Komendant cofnął się, zaskoczony.

— Wszystko w porządku, Michał? — zapytał przybyły. Za nim pojawiły się sylwetki posterunkowych. Prawie nie oddychając z wrażenia, wielkimi oczami obserwowali całe zajście.

— Mniej więcej — odpowiedział aresztant. — Bywało lepiej. I czyściej — dodał po chwili. — Z rozkoszą zrzucę te łachy. Zacząłem już śmierdzieć.

Komendant rzucił się w stronę biurka, przechylił się przez blat, sięgnął do szuflady, wyprostował się i odwrócił. Błysnął nikiel. Zanim jednak zdołał odciągnąć bezpiecznik, zamarł. Spoglądał prosto w czarny wylot lufy. Ręka intruza nawet nie drgnęła, kiedy odwiódł kurek.

— Nie próbuj żadnych sztuczek — zabrzmiał spokojny głos. — Zastrzelę cię, jeśli tylko zauważę coś podejrzanego. A wy wynocha — rzucił do funkcjonariuszy. — Na mocy nadanych mi uprawnień zobowiązuję was do zachowania tajemnicy pod groźbą kar dyscyplinarnych, a nawet utraty życia.

Wycofali się czym prędzej.

— Koniec gry, panie Piwnicki — powiedział Wroński. — Teraz chcemy wysłuchać długiej i wyczerpującej spowiedzi.

Przed drzwiami funkcjonariusze oddychali jak po szybkim biegu.

— Ale jajca — powiedział niższy. — Jak w cholernym amerykańskim filmie! Co myślisz?

— Człowieku, nic kurde, nie myślę. Zupełnie nic. I tobie też radzę! Słyszałeś, co mówił? Widziałeś jakie miał papiery? Tu nic się nie zdarzyło, a myśmy właśnie o tej porze wyszli na patrol.

— Tyle dobrze, że zabiorą tego posranego służbistę. Na szczęście długo nam nie porządził. Może na jego miejsce przyjdzie ktoś normalny.

\*

Komendant z wściekłością przyglądał się grzebiącemu w jego biurku człowiekowi. Intruz wyrzucał z szafek i szuflad dosłownie



wszystko. Papiery zalegały podłogę. Błat mebla pierwszy raz od długiego czasu był uporządkowany. To znaczy pusty, bo wszystkie dokumenty sfrunęły na dywan, każdy uważnie zlustrowany przez tajemniczych gości. Ten, który przedstawił się jako Michał Wroński, uważnie oglądał pod światło znalezione w kasetce banknoty.

— Prawdziwe, prawdziwe — powiedział Piwnicki.

— Widzę. Nie ustalą autentyczności.

— Szuka pan notatek? Pieniądze to ostatnia rzecz, na jakiej bym ich dokonywał.

— Wiem. Właśnie dlatego sprawdzam.

Od chwili, kiedy komendant zobaczył służbową legitymację majora Jacka Bzowskiego oklapł, przestał protestować, nie podejmował prób wyjaśnienia sytuacji. Czekał, co będzie dalej.

— Wygląda, że niczego tu nie znajdziemy — odezwał się major, upuszczając na ziemię ostatni papier.

— Może w mieszkaniu?

— Już sprawdzone.

— Jak to sprawdzone? — szarpnął się komendant. — Nie macie prawa...

— Oczywiście — major machnął niecierpliwie ręką. — Nie mamy prawa. Dobrze, że pan nas o tym zawiadomił. Inaczej umarłbym w nieświadomości.

Wroński ściągnął wargi. Zamyślił się, wpatrzony w kolejny banknot.

— Gdzie to masz? — odwrócił nagle głowę ku Piwnickiemu.

— Co?

— To, czego szukamy.

— A czego szukacie?

— Nie udawaj durnia. Książka kodów, notatki, kopie raportów.

— Och, już rozumiem. Takie rzeczy trzymam na trzeciej półce pod bielizną.

— Wiesz co? — Wroński spojrzał na majora. — Ten facet zaczyna mnie irytować.

— Naprawdę? — Bzowski roześmiał się. — W takim razie śpieszę cię poinformować, że miałem identyczne uczucia w stosunku do ciebie, kiedy się poznaliśmy. Nasz pan Jurek Piwnicki ma taki sam irytujący sposób bycia i udzielania odpowiedzi jak ty. Pogadaj z nim — rozsiadł się

w fotelu komendanta — a ja się rozerwę, patrząc jak ci idzie rozmowa z bratnią duszą.

Wroński syknął ze złością.

— To pieprzony agenciak Ruskich albo Szwabów. Nie porównuj go do mnie.

— Tak czy siak, przesłuchaj naszego przyjaciela.

— Jasne. Gdzie to masz? — zwrócił się do policjanta.

— Jeśli usłyszę o co chodzi, może będę umiał coś wyjaśnić... Ale tak...

— Posłuchaj no, mądralo — Michał cisnął bluzę Bundeswehry w kąt.

— Nie po to udawałem sztajmesa, nie po to dałem się wsadzić do aresztu i wysłuchiwałem twoich głupich uwag, żeby teraz oglądać jak strugasz z siebie wariata.

— A o co było tyle zachodu?

— Dobrze wiesz!

— Zaraz — wtrącił się Bzowski. — Może jednak wyjaśnimy panu z grubsza cel tej małej prowokacji. Otóż od pewnego czasu mieliśmy podejrzenie, a właściwie otrzymaliśmy wiarygodną informację, że szef policji w Bolkowie jest powiązany z obcą agenturą.

— To bzdura...

— Zaraz. Najpierw ja. Mój kolega, porucznik Wroński, przebrał się za pijaczka i urządził ten cały cyrk na rynku, zresztą przy mojej skromnej pomocy. Tak, to ja byłem tym drugim, który skradał się po butelkę. To ja zadzwoniłem wcześniej na policję z żądaniem interwencji. A wszystkie niedociągnięcia w rodzaju zawartości flaszki czy zbytnej czystości domniemanego lumpa, wszelkie podobne szczegóły zostały niedopracowane tylko po to, żeby zbadać pańską reakcję, komisarzu. Zwyczajny dowódca komisariatu czy posterunku może by się trochę zdziwił, ale na pewno nie wietrzyłby zaraz udziału służb specjalnych. Zaś pan stał się bardzo nerwowy.

— Właśnie — wtrącił Wroński. — Przetrzywanie mnie ponad wymogi prawa i regulaminu, dziwne przesłuchiwanie, nieufność... Umówiliśmy się z majorem, że jeśli nie wypuści mnie pan do wtorku, on wkroczy tu w południe.

— Stąd te spojrzenia na zegar...

— Stąd. Ale dość wyjaśnień. Wpadłeś, panie komendancie.

— Mylicie się, posądzając mnie o pracę dla obcej agentury.

— My sądzymy inaczej. Nasz informator...

— Waszym informatorem jest...

— To nasza sprawa. Proszę nie zadawać idiotycznych pytań.

Komendant zacisnął zęby.

— Ten człowiek zrobił mnie na pewno z powodów osobistych. Widocznie jakiś miejscowy złodziejaszek, któremu założyłem za skórę. Trafiliście na ślepy trop.

— To się jeszcze okaże — Bzowski wstał. — Dla nas jest pan szpiegiem umocowanym w tym właśnie miejscu ze względu na pewne hm... powiedzmy... okoliczności. Będzie lepiej, jeśli nam pan powie prawdę od początku do końca.

— Nie powiem, bo nie wiem, co chcecie niby usłyszeć.

— Cóż — major westchnął. — W sumie nie spodziewałem się innej odpowiedzi.

Milczał przez chwilę, zbierając myśli.

— Dobrze. Trzeba to wszystko w miarę możliwości załatwić bez dalszych komplikacji. Na czternastą niech pan zwoła odprawę. Udzieli pan podwładnym kilku wyjaśnień. Otóż właśnie dostał pan awans i przeniesienie ze skutkiem natychmiastowym do Lublina. To chyba dość daleko, żeby nikomu nie chciało się sprawdzać albo odwiedzać byłego szefa. Niebawem zjawi się nowy komendant. Władze miasta już są powiadomione. Rozmawiałem z burmistrzem. Bardzo miły i inteligentny człowiek. Nie zadał ani jednego głupiego pytania, choć widać było, że zżera go ciekawość. Na swoje miejsce niech pan na razie wyznaczy kogoś rozsądnego. I bez numerów — schylił się, przykleił coś pod biurkiem. — Będziemy mieli pana na podsłuchu. Próby ucieczki nie zdadzą się na nic. Okolica została doskonale zabezpieczona.

— I uważacie, że ci dwaj durnie, którzy widzieli jak mierzy pan do mnie z pistoletu nikomu nic nie powiedzą? — uśmiechnął się krzywo policjant.

— Odkąd Fenicjanie wynaleźli pieniądze, takie rzeczy przestały być problemem. A jeśli okaże się, że nasi milusińscy mają za długie języki...

— Zabijecie ich? Tak działa kontrwywiad?

— Są lepsze sposoby. Jako szpieg powinien pan wiedzieć.

— Nie jestem szpiegiem!

— Oczywiście.

\*

Osypisko kamieni zdawało się tańczyć pod stopami, kiedy ciemna postać przedzierała się w poprzek zbocza. Ciężki plecak nie ułatwiał zadania. Mrok rozświetlony był jedynie blaskiem księżyca. Człowiek dziękował naturze i za tę łaskę, nie musiał bowiem używać latarki, a przynajmniej nie bez przerwy, bo od czasu do czasu musiał oświetlić drogę przed sobą. Znał doskonale tę trasę, nawet w zupełnych ciemnościach był w stanie wskazać bezbłędnie okoliczne szczyty i wzniesienia, ale z osuwiskami jest jak z korytami rzek — potrafią sprawić nieprzyjemną niespodziankę. W oddali majaczyły światła stacji przekąźnikowej przy Śnieżnych Kotłach, z drugiej strony schronisko na Szrenicy. Z rozrzewnieniem pomyślał o kubku gorącej herbaty z rumem. Wprawdzie schroniskowa herbata bywa zazwyczaj marnej jakości, a i rum pozostawia wiele do życzenia, ale w górach wszystko smakuje lepiej. Kiedyś miał zwyczaj nosić termos z ulubioną mieszanką, ale odkąd zaostrzyły się kontrole po obu stronach granicy, szkoda mu było każdego grama ładunku. Może nie tyle jemu, co mocodawcom, którzy żądali aby brał ile tylko może unieść, a poza tym nakazywali przestrzegać bezwzględnej prohibicji.

Uśmiechnął się smutno w duchu. Turystom łąącym po Karkonoszach wydaje się, że nie ma tu właściwie żadnych patroli. Mogą miesiąc przebywać w strefie przygranicznej i nie zobaczyć jednego wopisty. Unia Europejska rozluźniła obyczaje pograniczników. Zresztą co tam Unia. W tych górach służby graniczne zawsze dość luźno traktowały przygraniczne migracje obywateli Polski i Czech w obie strony, przynajmniej w strefie kilku kilometrów. Nawet za komuny turyści bez trudu docierali do czeskiego Odrodzenia, a mieszkańcy Czechosłowacji przez Śnieżkę spokojnie wchodzili sobie na terytorium Polski. Jednak zawsze była kategoria górskich piechurów, na których żołnierze WOP zwracali baczniejszą uwagę.

Mężczyzna potknął się, zaklął cicho pod nosem. On właśnie należał do tych, którzy musieli się strzec czujnego oka służb granicznych. Tak było za poprzedniego ustroju, kiedy jako młody chłopak przemycił poszukiwane towary, tak jest też obecnie, kiedy przenosi coś, o czym nie ma zielonego pojęcia. Wiedział jedno — plecak jest ciężki, czasem nawet bardzo ciężki, tak że ledwie można z nim wstać, jeśli się gdzieś

przysiądzie odpocząć. Dawniej pracował na własną rękę. Raz przekraczał granicę legalnie, kiedy szło o alkohole i produkty spożywcze, innym razem szedł górskim szlakiem, jeśli trafiło się zlecenie na trefny towar. Kilka razy, w stanie wojennym, prznosił konspiracyjną bibułę i części maszyn drukarskich na prośbę działaczy antykomunistycznego podziemia. Z dumą mógł teraz opowiadać, że za tamtą robotę nie brał ani grosza. Nie było to zresztą specjalne poświęcenie, bo i tak zawsze zabierał w drogę coś, na czym mógł zarobić. Z rozrzewnieniem wspominał swój ówczesny status majątkowy. Było go stać na rzeczy, o których inni mogli tylko pomarzyć. Rozbijał się po Wałbrzychu najpierw simsonem, a potem cezetką, marzeniem wielu młodych chłopaków, którzy nie mieli odwagi trudnić się przemysłem, marnowali czas siedząc w szkolnych ławach. Jednak nadeszło nowe. Zawód mrówki nadal był popłatny, chociaż z czasem coraz mniej. Aż wreszcie władze postanowiły ukrócić nielegalny proceder. Zresztą wzrastająca swoboda przepływu towarów nie sprzyjała przemysłnikom. Stracił wtedy wszystko. Na jakiś czas wystarczyło oszczędności, potem wyprzedawał za bezcen przedmioty zbioru luksusowych dawniej towarów. Ale i te zasoby wreszcie uległy wyczerpaniu. Fachu w rękę nie miał żadnego. Ukończył wprawdzie jakimś cudem zawodówkę gastronomiczną, ale nie było to najbardziej poszukiwane wykształcenie na lokalnym rynku pracy. Mieszkał przecież w regionie totalnego bezrobocia. Znalazł się na skraju nędzy. Wtedy, kiedy już przemyślał o zupełnym zejściu ze ścieżki prawa, zaczął planować zwyczajny bandycki napad, pojawił się ten człowiek. Pierwsze zlecenie dotyczyło przetransportowania przez granicę kilkunastu srebrnych sztab. Ledwie się wtedy z niego wywiązał, bo — odzwyczajony od wysiłku — dotarł na miejsce na ostatnich nogach. Potem prznosił różne wartościowe przedmioty, także dzieła sztuki. Za każdym razem wiedział doskonale, co dźwiga. Wreszcie przyszedł czas, kiedy zaczęły się bardziej tajemnicze przesyłki. Miał do dyspozycji dwa doskonałe plecaki. Po dotarciu do celu zostawiał pełny, a zabierał pusty. Bywało też, że w obie strony przechodził z ciężkim ładunkiem. Płacono mu naprawdę dobrze. Warunek był jeden — nie miał prawa zajrzeć do komory plecaka. Nie wolno było nawet odsunąć zamka błyskawicznego, odpiąć choćby jednej napy zewnętrznych kieszeni. Zresztą i tak by nie mógł, bo nie wolno mu było zdjąć z pleców brzemienia, odpiąć pasa

biodrowego, który przy załadunku zapinano dokładnie wedle jego wskazówek. Potem łysy osiłek zakładał plombę niby na licznik elektryczności, a zdejmował ją sobowtór dresiarza po drugiej stronie granicy. Dopiero po jakimś czasie do przemytnika dotarło, że poprzednia kontrabanda z kosztownościami to były tylko próby lojalności. Zapewne tamten towar był cenny, ale nie na tyle, by mocodawcy nie mogli zaryzykować ewentualnej zdrady pracownika.

Znów się potknął. Najwyższa pora odetchnąć. Przysiadł na kamieniu. Kiedy się wreszcie skończy to osuwisko? Za każdym razem wydawało się coraz dłuższe. Wiek robi swoje. Nieraz chodził po tych okolicach w dzień, ubrany jak zwykły turysta, wypatrując innej, łatwiejszej drogi. Na próżno. Wszystkie przechodziły zbyt blisko ukrytych posterunków, zaś osypisko pozostawało poza zainteresowaniem WOP-u i Straży Granicznej. Nikt nie przypuszczał, żeby ktoś był na tyle szalony, by odbywać kursy po tak niebezpiecznym terenie. Z jaką rozkoszą zapaliłby teraz papierosa! Jednak ogień mógłby ściągnąć zainteresowanie jakiegoś zbyt gorliwego żołnierza. W przejrzystym powietrzu żar tytoniu widać nawet z odległości kilometra i więcej.

Wstał ciężko, zatoczył się lekko do tyłu, dla złapania równowagi musiał wykonać kilka szybkich kroków w bok. Skalna drobnica ożyła pod nogami. Pojechał w dół, rozpaczliwie machając rękami. Teraz mógł tylko się modlić, żeby nie poszła z tego prawdziwa lawina. Wreszcie ruch ustał. Mężczyzna upadł na bok. Kiedy podnosił rękę, żeby poprawić pasy plecaka, zawadził dłonią o coś miękkiego i zimnego. To na pewno nie mógł być kamień. Raczej korzeń. Jednak skąd korzeń pośrodku kamienistego zbocza? Zebrał się, wstał i, wiedziony ciekawością, wyjął maleńką latarkę, jakiej używają w warunkach bojowych amerykańscy marines. Założył czerwony filtr, przesłonił źródło światła dłonią. Kucnął, oświetlił skrawek terenu. Nagle cofnął się, wciągnął głębiej powietrze. Z kamieniska sterczała bowiem... ludzka ręka. Czyżby ktoś był na tyle głupi i nieostrożny, żeby pójść tym szlakiem? Co za idiotyczne pytanie, skarcił się natychmiast. To musiałyby być prawdziwy kretyn! Właściwie powinien teraz odejść czym prędzej, ale zwyciężyły wpajane od dzieciństwa zasady obowiązujące w górach. Przemógł się, wyciągnął rękę, żeby dotknąć palcami tajemniczej dłoni. A nuż ten ktoś jeszcze żyje?

Nie wiedział, co by właściwie zrobić, gdyby okazało się to prawdą. Przecież trudno zostawić człowieka bez pomocy. Z drugiej strony dźwigał przecież niebezpieczny ładunek, zaraz zaczęłyby się pytania, co tutaj robił, sprawdzono by zawartość plecaka... Do głowy przyszło mu jedno rozwiązanie — gdy tylko wyjdzie poza osuwisko, zadzwoni z komórki do GOPR-u. Nic więcej nie może zrobić.

Te wszystkie myśli przeleciały mu przez głowę, zanim dotknął wystającej dłoni. Zawahał się jeszcze przez moment, przymknął oczy i zrobił to. Z pewną ulgą stwierdził, że ręka jest sztywna i zimna. Ścisnął ją jeszcze mocno na wszelki wypadek, żeby się upewnić, ale wszystko wskazywało, że nieszczęśnik pod kamieniami jest trupem już od co najmniej od kilkunastu albo kilkudziesięciu godzin.

Poderwał się na równe nogi, nie czując w tej chwili ciężaru ładunku. Szybko ruszył w dół. Nie wiedział nawet kiedy pokonał osuwisko. Poprzednia odwaga i determinacja, dzięki którym zbadał ciało, ulotniły się. Pozostał tylko strach. A właściwie dwa jego rodzaje na raz — jeden spowodowany zetknięciem z groźną tajemnicą, drugi — płynący z wpisanego w naturę ludzką zabobonnego lęku przed śmiercią i umarłymi. Samotnemu wędrowcowi nocą w górach ten drugi rodzaj strachu doskwierał szczególnie. Zdawało mu się, że ktoś za nim idzie, oglądał się przez ramię. Chciał jak najszybciej dotrzeć na miejsce przeznaczenia, pragnął tego bardziej niż kiedykolwiek.

### 3.

Wroński siedział przy biurku, wpatrzony w ekran komputera. Miał przed sobą zdjęcie i dossier jednego z pracowników firmy. Pracownika, którego znał, z którym przechodził szkolenia, trenował samoobronę, stał ramię w ramię na strzelnicy, który stał się jego przyjacielem.

— Daj już spokój — Bzowski stanął za nim. — Gapieniem się nic nie zdziałasz. W ogóle w tej sprawie trudno coś zrobić. Musimy czekać, aż Mirek się odezwie.

— Ty pewnie jesteś już przyzwyczajony do podobnych spraw — burknął Michał. — Po tylu latach służby...

— Do tego trudno się przyzwyczać — odparł ostro major. — Można jedynie odrobinę przywyknąć do samego wyczekiwania, ale nigdy nie staje się to obojętne!

— Przepraszam — odparł cicho porucznik. — Wiesz, Jacek, to niełatwe. Tym bardziej, że nawet nie wiem, co mu zleciłeś.

— Wiem. Dlatego nie gniewam się ani cię nie opieprzam za beczelność. Dowiesz się o wszystkim w swoim czasie. Na razie obserwuj i wyciągaj wnioski. Miejmy nadzieję, że milczenie Mirka to tylko niewielkie trudności. Podobne rzeczy w tej robocie, niestety, zdarzają się dość często. Może kontakt mu zaginął albo okazał się spalony, może szuka kolejnego. Albo śpioch się zbuntował, tak też bywa, gdy agent rusza starym szlakiem. Ale nawet jeśli wpadł, dowiemy się tego prędzej czy później. Wtedy załatwimy rzecz przy najbliższej cichej wymianie aresztowanych. Uwierz mi, prawdopodobieństwo, że zginął, naprawdę jest niewielkie. To robota niebezpieczna, ale nie aż tak. Inaczej żaden z nas nie dożyłby czterdziestki.

Milczeli przez chwilę, obaj zapatrzeni w zdjęcie mężczyzny o szczupłej, miłej twarzy.

— A co z naszym pieścioszkiem, komendantem policji w Bolkowie? — przerwał ciszę Michał.

— Byłem komendantem — uściślił Bzowski. — Na razie idzie w zaparte. Twierdzi, jakoby to wszystko była pomyłka i wielka mistyfikacja. Odkąd uwierzył na sto procent, że jesteśmy z polskiego



kontrwywiadu, a nie rosyjskiej czy niemieckiej konkurencji, chyba się trochę uspokoił.

— Myślisz, że to dla niego jakaś różnica czy siedzi u nas, w Berlinie, czy w Moskwie?

— Wygląda, że tak. Przesłuchiwałem go godzinę temu. Utrzymuje uparcie, że niebawem wszystko się wyjaśni.

— Wolałbym, żeby już się wyjaśniło. To znaczy, żeby powiedział, gdzie ukrył dokumenty.

— Jeśli je w ogóle miał.

— Myślisz, że nie?

— Bolków to tajemnicze miejsce. Tam jest to wzgórze, w którym Niemcy mieli jakieś instalacje.

— Tak, ale z tego, co wiem, Sowieci dokładnie splądrowali wszystkie pomieszczenia, wywieźli co się nadawało do wywiezienia, a resztę dokładnie zamurowali. Do środka można się dostać tylko przy pomocy materiałów wybuchowych albo robót inżynieryjnych z ciężkim sprzętem.

— To nie leży w kręgu naszych zainteresowań.

— I bardzo dobrze — sapnął z ulgą Michał. — Po tej aferze z podziemiami w Oleśnicy mam dość łażenia w ciasnych korytarzach. Ale dlaczego wspominasz o Wzgórzu Ryszarda?

— Żeby uświadomić i tobie, i sobie, że to jest rejon, w którym jedna sprawa może zazębiać się z drugą, chociaż pozornie do siebie nie pasują.

— Masz jakieś konkretne podejrzenia?

— Konkretnych nie. Ale może Mirek zdoła coś wyjaśnić. W końcu po to go wysłaliśmy.

Wroński kiwnął głową. To typowe dla roboty kontrwywiadowczej i wywiadowczej. Pod wierzchnią warstwą oczywistych niby spraw można odnaleźć drugie dno, a nierzadko także trzecie i czwarte. Nauczył się już nie ufać do końca logice. To znaczy nie tyle logice, bo wydarzenia zawsze mają przyczynę i skutek. Stał się nieufny wobec pozornie oczywistych zjawisk. Komisarz Piwnicki jest pracownikiem obcego wywiadu. To rzecz niepodważalna w świetle otrzymanych meldunków. Jednak kim jest naprawdę? Skąd pochodzi? Prześledził drogę życiową tego policjanta. Urodzony w Brzegu pod Wrocławiem chodził tam do szkoły podstawowej i technikum, a na początku lat dziewięćdziesiątych wstąpił do reformowanej policji. Przebiegł służby nienaganny. Żadnych dziur,

żadnych niejasności. Tak właśnie tworzy się legendę dla wywiadowcy, wykorzystuje się jego zakorzenienie w środowisku. Kiedy został zwerbowany? Kto go zdołał dopaść pierwszy? Tego wszystkiego, rzecz jasna, dowiedzą się prędzej czy później. Ale dobrze by było, gdyby zdołali zgromadzić informacje jak najszybciej.

— Nie wiemy nawet, czy zdołał dotrzeć do kogoś, kto był zamieszany w sprawę — powiedział Bzowski. — Wszystko jest bardzo mętne.

— Tak — rzucił Michał. — Jak większość naszej pracy. Odkąd mnie zwerbowałaś, czuję się jakbym pływał w bagnistej wodzie... albo raczej poruszał się po terenie najeżonym ruchomymi piaskami.

— Taka robota. Ale dzięki temu jest niezmiernie interesująca. Stanowi ciągłe wyzwanie.

— Jednak przyjemnie byłoby od czasu do czasu zaczerpnąć powietrza, rozejrzeć się w kryształowo czystym otoczeniu, ujrzyć sprawy takimi, jakimi są, bez udziwnień i kombinowania.

— Widzę, że opanował cię filozoficzny nastrój. Nie przejmuj się, na każdego od czasu do czasu przychodzi coś podobnego. Na szczęście dość szybko mija. Mam coś na rozweselenie. Poczekaj moment.

Wyszedł. Michał skasował stronę, wylogował się, przerwał połączenie z bazą danych. Odchylił się na krześle, założył ręce za głowę. Miał mieszane uczucia w związku z nową pracą. Nową?... Minęły już ponad dwa lata, odkąd wylano go z policji. W rodzinnej Oleśnicy nie był od kilkunastu miesięcy. Zatęsknił nagle za tamtym miejscem. Dopóki mieszkał w tej podwrocławskiej mieścinie, wściekał się nieraz na jej duszną małomiasteczkowość, denerwowały go układy i układziki, brzydkiy sprawki lokalnych notabli. Ale teraz z rozrzewnieniem pomyślał o ich ciemnych interesach. Tam, w bezpośredniej odległości, zdawało się, że to przestępstwa poważne, wielkie niegodziwości. Z perspektywy późniejszych doświadczeń inaczej już oceniał nieuczciwość miejscowych kacyków i rekinów finansjery. Czy raczej rekinków. Malutkich. A może prędzej okoni... Co najwyżej niezbyt niewyrośniętych szczupaków. Praca w wydziale prowadzonym przez Bzowskiego rzuciła go w odmęty prawdziwych afer, wielowątkowych śledztw, nierzadko ciągnących się latami, często mających początek w czasach drugiej wojny światowej albo i wcześniej. Bez wątplenia interesujące zajęcie, ale

brodząc w cuchnącym bagnie trudno się nie pobrudzić. Najbardziej śmieszyło go przekonanie różnych powiatowych i wojewódzkich oficjeli, radnych, szefów firm, że ich uczynki są doskonale ukryte, nie wie o nich nikt poza ścisłym gronem zainteresowanych. Gdyby byli świadomi jak jest naprawdę, mogłoby im to odebrać spokojny sen. Kontrwywiadowcy mieli bowiem pełne dossier każdego z nich, z kompletnym rejestrem manipulacji, oszustw i celowych zaniedbań. Takiego materiału nie używa się w codziennej operacyjnej robocie, bo to by przypominało strzelanie z armaty do komarów. Nie powiadamia się lokalnych organów ścigania o podobnych przestępstwach, bo w pracy agenturalnej nie wiadomo, kiedy podobne informacje mogą się przydać. Zawsze przecież warto mieć przygotowany widelec, na który można nabić tego czy owego urzędnika, zmusić go do współpracy, uczynić zeń tak zwane osobowe źródło informacji. A czasem nakłonić nawet do operacyjnych działań w ramach pracy tego czy innego departamentu kontrwywiadu.

Rozmyślania przerwał powrót majora. Przyniósł reklamówkę, w której coś pobrzękiwało. Z uśmiechem postawił torbę na biurku, zaszeleścił wyjmując zawartość. Denko zielonej butelki stuknęło o blat. Po chwili obok stanęła druga.

— Ukraińskie pszeniczne — oznajmił Bzowski — chyba twoje ulubione.

— Jedno z moich ulubionych — poprawił go Wroński. — Obołoń. Rzeczywiście pyszności. Nieklarowane, ze wspaniałym zapachem. Poczekaj — powstrzymał przełożonego widząc, że sięgnął po otwieracz. — Trzeba je wstrząsnąć, żeby rozmieszać osad z dna. A potem musi odstać chwilę, uspokoić się.

Major parsknął śmiechem.

— Lubię jak mówisz o piwie. Twój wzrok wtedy łagodnieje, mam wrażenie, że opowiadasz o ukochanej kobiecie, wytęsknionej i pożądanej bez granic.

— W niektórych piwach jest właśnie to coś, dzięki czemu człowiek nabiera ochoty do życia. Obołoń jest jednym z nich.

— Prawdę mówiąc, nie bardzo to rozumiem. Ja tam wolę...

— Wiem, ty wolisz wódkę. Ale ja swoje w życiu już wypięłem. Straciłem smak do czystej. Wino owszem, ale od czasu do czasu. Za to piwo... Mogę je pić codziennie, choć oczywiście bez przesady, bo w

pewnym momencie przestaje się czuć smak. Nie mogę też przyswajać zwykłej lury, jaką leją w wielkich browarach należących do kompanii piwowarskich — nie smakuje mi, wywołuje ból głowy. Warzenie piwa to coś więcej niż tępa produkcja alkoholu. To prawdziwa magia. Zresztą dawniej, kiedy ludzie nie rozumieli do końca jak działają drożdże, wierzyli, że proces fermentacji brzezki jest wręcz alchemiczny. Przy produkcji wymawiano odpowiednie modlitwy, wykonywano rytualne czynności. I, jak to bywa w podobnych przypadkach, spora część tych obrzędów ma swoje naukowe uzasadnienie. Jak choćby nakaz dokładnego wyparzania naczyń po zakończeniu produkcji. Nasi przodkowie nie widzieli logicznego związku między sterylizacją kotła a jakością piwa, ale stosowali tę metodę, bo tego wymagał obyczaj.

Wziął otwieracz, podważył kapsel. Lekka piana uniosła się, zatańczyła na szczycie szyjki. Zdawało się, że wypłynie na zewnątrz, jednak zatrzymała się, wieńcząc butelkę kuszącym obłoczkiem. Michał otworzył drugie piwo, podał Bzowskiemu.

— No, Jacusiu, skoro łamiemy regulamin i ustawę o wychowaniu w trzeźwości, dobrze, że robimy to za przyczyną tak szlachetnego napoju.

Bzowski przechylił krótko naczynie, przełknął.

— Strasznie się zrobiłeś pompatyczny — zauważył. — Pompatyczny i niesłychanie poważny.

— Piwo wymaga skupienia — odparł Wroński z kamienną twarzą. — Tylko zupełny profan bierze pierwszy łyk nie myśląc o tym, co właśnie robi.

— Odbija ci? — major najwyraźniej nieco się zirytował. — Co innego lubić piwko, a inna rzecz czynić z niego bóstwo. Powiedziałem przedtem, że lubię twoje opowieści? Odwołuję to!

— Ćśśś — Wroński położył palec na ustach. Wlał odrobinę cieczy do szklanki, spojrzął pod światło. — Co za barwa, widzisz, jakie drobniutkie bąbelki? To nie chamskie nasycanie dwutlenkiem węgla, to w osiemdziesięciu procentach naturalny gaz. Dlatego tak pachnie...

— A niech cię! — Bzowski potrząsnął głową. — Pieprzysz jak poparzony. Aż mi odebrało ochotę. Nigdy więcej...

Michał nie wytrzymał. Zaczął się śmiać na cały głos.

— Łatwo się denerwujesz, szefie. Prowadzisz chyba zbyt nerwowy tryb życia. No pij, sam przecież przyniosłeś to чудо!

Wypił płyn ze szklanki, po czym natychmiast przyssał się do butelki. Opróżnił ją do połowy, przymknął oczy czując, jak kubki smakowe oswajają się z symfonią doznań.

— To piwo nie wszystkim smakuje — powiedział. — Spotkałem się nawet ze zdaniem, że śmierdzi starą szmatą. Ale mnie zachwycało od pierwszego wejrzenia... to znaczy łyknięcia. Piłem różne pszeniczne: niemieckie, czeskie, węgierskie, nawet chińskie. Ale żadne nie może konkurować z ukraińskim. Może jedynie litewski Baltas, chociaż i w nim czegoś brakuje, jeśli porównać z Obołoniem.

— Znów zaczynasz — jęknął major. — Daruj mi, pozwól się spokojnie napić bez tej całej piwnej filozofii.

— Sam powiedziałeś, że opanował mnie filozoficzny nastrój, czego się teraz czepiasz?

— Przytargałem to, żebyś się otrząsnął, a nie zapadał głębiej! Jeszcze trochę, a zaczniesz tworzyć coś w rodzaju *Uczty* Platona. Głębokie rozważania, tyle że nie przy winie.

Wroński skrzywił się.

— Zaraz tam Platon. Grecy pijali wino sześciokrotnie rozcieńczone wodą. I takie też są niektóre ich rozważania. Kiedyś próbowałem czytać dialogi Platona, ale mnie tylko znużyły. Pewnie tak samo jak ciebie moje gadanie o piwie.

— Gdybym wiedział wcześniej, jakiego masz bzika na tym punkcie, w życiu bym ci nie zaproponował roboty u siebie.

— Kiedy się poznaliśmy był taki młyn i żyłem w takim napięciu, że sam zapominałem o swojej pasji.

Zamilkli. Piwa szybko ubywało.

— Nic — Bzowski włożył opróżnioną butelkę do reklamówki. — Daj swoją. Wywalę to gdzieś poza firmą. Tutaj zaraz znajdzie się jakiś nadgorliwiec grzebiący w śmietniku w poszukiwaniu nietypowych znalezisk. Wezmą toto do ekspertyzy, zaczną zaglądać pod naklejki, szukać szyfrów.

— Paranoja. W tym budynku nawet pora i sposób srania musi się zgadzać z regulaminem, inaczej zachodzi podejrzenie ingerencji obcych agentur.

— Zgadza się. Służbowa paranoja. Tak działa kontrwywiad. Ale czy działa tak, czy inaczej, trzeba wracać do pracy.

— Trzeba — westchnął Michał. Podał opróżnione szkło majorowi.  
— Dzięki szefie.

— Idę pogadać z Piwnickim. Chłopcy znaleźli parę interesujących rzeczy. — Bzowski położył rękę na kłamce. — Chcesz posłuchać? A może się włączysz? Chyba że masz tutaj coś bardzo pilnego.

Michał rzucił okiem na stertę teczek obok drukarki, wstał, ruszył za przełożonym.

— Okej. Same raporty. To może poczekać. Powinno nawet. Nie ma nic gorszego niż papier, który trochę się nie odleżał. Kiedy weźmiesz w rękę taki świeżutki dokument, z miejsca robi się taki jakiś... namolny. Jakby wrzeszczał „załatw to, załatw zaraz! Przeczytaj mnie jak najprędzej”. Koszmar.

— Rany — jęknął Bzowski — błagam cię, skończ z tymi lewymi tekstami. Kota można dostać! Albo nie! Doznałem objawienia. Poczęstuj taką gadką naszego przyjaciela z Bolkowa. Po dwóch minutach przyzna się do wszystkiego. Weźmie na siebie zabójstwo nawet obu Kennedych. Byleś tylko skończył. Co ja mówię o Kennedych. Powie, że jest samym Bin Ladenem i poprosi o jak najszybsze wydanie go amerykańskiej prokuraturze wojskowej i najwyższy wymiar kary.

— Jesteś dzisiaj strasznie złośliwy — wzruszył ramionami Wroński.

— A ty jeszcze bardziej upierdliwy niż zwykle.

\*

Siwiejący mężczyzna w jasnej sportowej marynarce oparł się o drewnianą poręcz. Patrzył na gładką taflę stawu. Za nim i obok niego toczyło się zwykłe życie „Samotni”, schroniska położonego przy turystycznym szlaku prowadzącym w rejon najwyższej partii Karkonoszy. W wodzie odbijały się promienie południowego słońca. Nobliwy pan mrużył oczy, ale wpatrywał się w toń, jakby spodziewał się w niej coś znaleźć.

— Podobno żyje tutaj relikwiarz przeszłości — usłyszał obok damski głos. Odwrócił głowę. Atrakcyjna kobieta po czterdziestce również oparła się o poręcz. — Jak go nazywają? Tak śmiesznie...

— Świrek — odpowiedział z uśmiechem. — A dokładniej świrek poglądalny. Nieraz zastanawiałem się, jak wygląda.

— Pewnie śmiesznie. Ciekawe, jakiej jest wielkości.

— Słyszałem, że to zupełnie maleństwo.

Przez chwilę milczeli. Ciszę przerwał mężczyzna.

— Pani jest od ojca Armanda?

— Poproszę inny zestaw pytań. To było głupie i zbędne. Przecież znałam formuły hasła, pan odzewu. To chyba wystarczy.

— Wystarczy. Ale chciałem być miły.

— Niepotrzebnie. Nie jesteśmy na wczasach.

— Pani jest strasznie zasadnicza, pani...

— Powiedzmy Irmina.

— Pani jest strasznie zasadnicza, pani powiedzmy Irmino. Ja mam na imię powiedzmy Roman. Praca może być także przyjemnością, proszę o tym pomyśleć.

Przyjrzała mu się uważnie. Po pięćdziesiątce, przystojny, czerstwa twarz o miłych, ciemnozielonych oczach.

— Nie jesteśmy tu dla przyjemności — odparła chłodno.

— Naprawdę nie ma pani w sobie odrobiny radości życia? Chce pani wszystko załatwić tutaj, na miejscu, w pięć minut? Skoro zostaliśmy wysłani w tak urokliwe miejsce, skorzystajmy z tego. Nie musimy się śpieszyć.

Miała na końcu języka ostrą odpowiedź, ale nagle zrezygnowała.

— Chyba ma pan rację — mruknęła. — Ten pośpiech, tempo życia... Człowiek zapomina, że jest tylko człowiekiem.

— W takim razie — wykonał nieokreślony ruch dłonią — pozwoli się pani chyba zaprosić na kawę. Potem możemy pójść na spacer w górę, do Strzechy Akademickiej. Stamtąd roztacza się wspaniały widok na Karpacz i polską część gór. A załatwić co trzeba zdążymy jeszcze dzisiaj wieczora.

Uśmiechnął się. Zauważyła, że miał urocze dołki w policzkach.

— Niech się pani nie każe prosić — rzekł niespodziewanie niskim, aksamitnym głosem. — Powtarzam, dopełnimy obowiązków jeszcze dziś wieczorem — milczał chwilę, zanim dodał: — Albo jutro rano. To już jak pani będzie wolała. Przed nami jeszcze sporo dnia.

— I cała noc — uśmiechnęła się.

Opowiedział tym samym.

— Warto czasem połączyć przyjemne z pożytecznym, prawda?

— Jeśli tylko można i nie kłóci się to z obowiązkami.

Komisarz Piwnicki siedział nieruchomo na twardym krześle. Przed oczami miał własne odbicie w lustrze weneckim. Za każdym razem podczas podobnych przesłuchań Michałowi przypominała się wizyta w wydziale wewnętrznym wrocławskiej komendy wojewódzkiej, kiedy w prawie identycznym pomieszczeniu męczyli go świętej pamięci Flip i Flap. Współczuł trochę teraz temu policjantowi. Nie ma chwili spokoju, bez przerwy ktoś czegoś do niego chce. Wodzi po ścianach czerwonymi ze zmęczenia oczami, odpowiada ledwie otwierając usta. Wciąż to samo, bez przerwy wdziera mu się w uszy potok natarczywych pytań, słowa zaczynają tracić sens, a przesłuchujący czekają na najmniejsze potknięcie.

Wroński postawił przed nim kubek z kawą.

— Napij się — mruknął. — Bo padniesz. Wyglądasz już jakbyś miał ostre zapalenie spojówek.

— Co? — Piwnicki spojrzał na porucznika. — Zabawa w dobrego i złego glinę? Proszę pamiętać, że sam jestem...

— Och, zamknij się — przerwał Michał. — To się nazywa zwykła ludzka życzliwość. W nic się nie bawimy. Napij się po prostu. Bez obaw, kawa jest czysta, nie waliśmy tam żadnych środków. Zresztą jako wyszkolony agent KGB... przepraszam, obecnie to się nazywa FSB, powinieneś być uodporniony na proste środki w rodzaju serum prawdy.

— Nie jestem rosyjskim agentem!

— Nie jesteś. W takim razie niemieckim. FSB czy BND, dla nas to w tej sytuacji różnica raczej kosmetyczna.

— Niemieckim też nie jestem!

— Dobrze — wtrącił się major. — W takim razie może nam jakoś sensownie wyjaśnisz to? — Rzucił na stół plik papierów i plastikowy czarny pojemnik. — Plany Wzgórza Ryszarda w Bolkowie. Niemieckie plany, dodajmy, z naniesionymi odręcznie poprawkami. Poza tym, jak ustalili nasi eksperci, są tutaj mapy sztabowe, tak zwane „setki”, bardzo interesującego rejonu Karkonoszy i okolic. A w pudełeczku, wiesz co znaleźliśmy? Pewnie będziesz zdumiony, ale są tam mikroskopijne mikrofony i urządzenia do namierzania, zaś w skrytce, w drugim dnie, piękny, nowoczesny telefon satelitarny z bardzo porządnym wojskowym GPS-em. Może się mylę, ale to chyba nie jest standardowe wyposażenie dowódcy podrzędnego komisariatu?



Piwnicki milczał, ponuro zapatrzony w kompromitujące przedmioty.

— Nie wiedziałem też — ciągnął Bzowski — że policyjne samochody są wyposażone w takie sprytne schowanka. Musieliśmy użyć najlepszego sprzętu, żeby to odnaleźć. Ale, jak widzisz, udało się. Nie uważasz, że należy się kilka słów wyjaśnienia?

— To nie moje — komisarz wzruszył ramionami. — To jakaś prowokacja.

— Prowokacja dopiero będzie — wycedził zimno major — jak dostaniesz porządnie po mordzie. Kiedy posadzimy cię w ciasnej celi bez pryczy, ale za to z lodowatą wodą po kostki. No i, co oczywiste, nie pozwolimy zmrużyć oka.

— A podobno torturowanie jest zabronione prawem międzynarodowym — zauważył Piwnicki pozornie lekkim tonem, jakby prowadził pogawędkę ze starym znajomym.

— Oczywiście, że jest. Ale mogę uczynić małe odstępstwo od zasad w sytuacji kiedy nasz człowiek nie daje znaku życia i, być może, znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

— Zaryzykuje pan karierę? Przecież może się okazać, że to wyjdzie na zewnątrz, ktoś coś powie, a ja potwierdzę.

— Posłuchaj, panie Nie-Jestem-Niczym-Agentem — Bzowski pochylił się nad przesłuchiwanym. — Brzydzą się takich metod. Ale są sytuacje, kiedy nie pozostaje nic innego. Wiele było krzyku o tortury, rzekomo stosowane przez wywiad amerykański wobec schwytanych terrorystów. Ludzie mogą się na to oburzać. Ale gdybym był na miejscu oficera CIA albo Pentagonu, nie zawahałbym się ani chwili, czy powiesić takiego skurczybyka pod sufitem za kciuki albo zmiażdżyć mu jaja gdybym mógł dzięki jego zeznaniom uratować chociaż jednego człowieka! Takie mam wredne podejście! Zastanów się, bo to, o czym powiedziałem przedtem, to tylko wstęp do właściwej zabawy.

Wyprostował się, poprawił włosy, patrząc w lustro.

— Musisz wiedzieć, że mogę zastosować bardzo różne formy nacisku. Gabinet, gdzie w sklepienie wkręcone są haki zakończone takimi małymi kajdankami w sam raz na paluszki też się znajdzie. Chodź, Michał. Pan Piwnicki musi to sobie przemyśleć w spokoju i samotności.

Za drzwiami Wroński zatrzymał się.

— Naprawdę chcesz to zrobić? — spytał z niedowierzaniem. — Przecież to kryminał, a na pewno koniec kariery.

— A sądzisz, że będę się długo zastanawiał?

— Sam już nie wiem. Byłeś bardzo wiarygodny.

— Właśnie — uśmiechnął się Bzowski. — Pamiętaj o tym, co już dawno odkryli przodkowie. Często sam widok katowskich narzędzi wystarczał, żeby rozwiązać język zatwardziałym przestępcom. Dlatego oprawca rozkładał je w obecności przesłuchiwanego, czynił to bardzo powoli, szczękając żelazami i wypróbowując je na kawałkach skóry i drewna.

— Myślałem, że ten pokój to tylko coś w rodzaju naszego muzeum — szepnął Michał. — Że tego nie używa się od kilkunastu albo i kilkudziesięciu lat.

— Bo tak jest — uśmiechnął się Bzowski. — Mamy znacznie lepsze sposoby wydobycia prawdy niż tępe niszczenie ciała. Mnie najbardziej interesują reakcje naszego tajemniczego gościa. Widziałeś? Nie wydawał się przestraszony, a raczej rozluźniony. Wie, co trzeba robić, żeby opanować negatywne emocje. Na pewno potrafi też sobie poradzić z bólem, przynajmniej do pewnego momentu. Tego nie uczą na uniwersytecie ani w zwykłej szkole policyjnej.

— A jeżeli Piwnicki nie zechce współpracować, uciekniemy się do tych innych metod?

— Naprawdę się tym brzydzę — major skrzywił się. — W wydobywaniu zeznań z chemicznym albo farmaceutycznym wspomaganiami nie ma artyzmu.

— Artyzmu?! — Wroński wytrzeszczył oczy — O czym ty mówisz?

— Kiedyś zrozumiesz. Może za parę lat, a może za parę miesięcy. Wartość ma tylko i wyłącznie naturalna perswazja. Jeśli chcesz prawdziwej współpracy, musisz przekonać obiekt, że warto ją podjąć. Nieważne z jakich pobudek, ale koniecznie z własnej woli.

— Bo środki przymusu przestają po jakimś czasie działać?

— Zgadza się. A poza tym mogą się okazać najzupełniej nieskuteczne. Wiesz przecież, że niektórzy agenci są tak zmotywowani, że nie wydrzesz zeznań najgorszymi torturami. Wtedy należy zastosować umiejętne pranie mózgu, przekonać, że jedynie współpraca z tobą przyniesie pełne zadowolenie. Jak w *Roku 1984*. Jeśli przesłuchiwany

uzna cię za przyjaciela, dostrzeże sens współpracy, osiągniesz prawdziwy sukces. To wymaga wiele wysiłku, ale — jeśli tylko masz czas — jest bardzo sensowną drogą postępowania.

— Wiesz co? — Michał pokręcił głową. — To wszystko jest jednak nienormalne i szalone.

— Jak cały świat, przyjacielu. Jak cały świat...

## 4.

Siedziała przy stoliku, przerzucając kartki małego notatnika. Światło lampy padało na jej twarz i piersi, okryte jedynie skrawkiem przejrzystej chusty, narzuconej na plecy. Mężczyzna na łóżku oddychał regularnie, pogrążony w głębokim śnie. Rzędy tajemniczych znaczków w notesie przypominały wędrujące mrówki.

— Szyfr — mruknęła do siebie. — Zobaczmy, panie Romanie...

Wyjęła arkusz papieru, długopis i suwak logarytmiczny. Sięgnęła po płaską, prostokątną torbę. Po chwili na stole znalazł się laptop, zabuczał cichutko wentylatorem. Otworzyła program ukryty pod ikoną przedstawiającą przekreśloną pionowo literę „A”. Na ekranie ukazała się biała tabela na kremowym tle.

Błyskawicznie zaczęła przenosić ciąg znaczków do komputera, palce sprawnie biegały po klawiaturze, wydobywały z niej cichy stukot. Irmina zatrzymała się, rozwinęła roletę poleceń, kliknęła opcję. Znaczkami ułożyły się w nową konfigurację, po chwili w lewym dolnym rogu ekranu pojawił się wykres. Kobieta przyglądała mu się uważnie kilka minut, wzięła suwak logarytmiczny, przesunęła listwę, zanotowała na kartce wynik.

Wstała, podeszła do mężczyzny, poklepała go po policzku. Najpierw delikatnie, potem mocniej, wreszcie z rozmachem uderzyła otwartą dłonią. Drgnął, próbował otworzyć oczy, ale udało mu się jedynie rozchylić powieki w maleńkie szparki..

— Kto to jest Lipawski Henryk? Mów, bo i tak się dowiem, będzie tylko bardziej bolało. Co robi? W którym pracuje departamencie?

Wymamrotał coś niewyraźnie. Znów go uderzyła, powtórzyła pytanie. Odpowiedział niezbornym bełkotem.

— To na nic, kochasiu, jak widzę — powiedziała. — Śpij. Jakoś sobie poradzimy. Powinieneś żałować, że nie wymyśliłeś lepszego szyfru. Wtedy mógłbyś okazać się bardziej przydatny. A tak...

Wróciła do laptopa, wprowadziła następny ciąg znaczków. Znów długo patrzyła na wykres. Poprawiła zsuwającą się z ramion chustę. Po miłosnych zmaganiach ciało ostygło, poczuła chłód, wstała więc i założyła bluzkę. Potem podeszła do szafy, wyjęła hotelowy koc, żeby się

nim otulić. Odwróciła się i znieruchomiła. Roman siedział na łóżku, w dłoni trzymał długi, oksydowany sztylet.

— Nie jesteś jednak od Armanda — powiedział. — Tak podejrzewałem. On nigdy dotąd nie przysyłał na kontakt kobiet. Skąd znałaś hasło?

— Pieprz się — mruknęła.

— Jaka jesteś nieuprzejma. I niemądra. Naprawdę myślałaś, że wypiję to świństwo, które dołałaś do kieliszka? Tak — odpowiedział natychmiast sam sobie. — Wy, kobiety, często myślicie, że wystarczy pokazać śliczną nóżkę, albo kawałek piersi, żeby mężczyzna przestał myśleć.

Irmina odetchnęła głęboko.

— Mogę usiąść? — spytała ochryplym z emocji głosem.

— Kolanka się zatrzęśły? — spytał z ironicznym uśmiechem. — Dobrze, siadaj, tylko bez numerów.

Zajęła miejsce przy stole z laptopem. Bez słowa rzuciła mężczyźnie notes. Odrzucił go natychmiast.

— Weź sobie na pamiętkę. To rzecz bez znaczenia. Haczyk i przynęta, a jeśli trzeba, można dzięki temu zyskać na czasie. Zanim przeciwnik zorientuje się, że pod tym całym szyfrem ukrywa się ciąg nazwisk z różnych stron książki telefonicznej Mławy za rok dwa tysiące pierwszy, trochę zawsze to zajmie.

Milczała ze wzrokiem utkwionym w płamę na obrusie.

— Zamierzałaś mnie zabić, prawda? — to było bardziej stwierdzenie niż pytanie, nie odpowiedziała więc. A Roman ciągnął — Nie wiem, ile zarabiasz w swoim wydziale, ale na pewno za mało. Kobieta do takiej brudnej roboty... Oddawać się pierwszemu lepszemu...

— Nie jestem dziwką — warknęła — nie uprawiam seksu z kimś, na kogo nie mam ochoty.

— To bez znaczenia — wzruszył ramionami. — Dla mnie jesteś wrogiem. Ciekawi mnie tylko, gdzie jest ten, kto miał ze mną złapać kontakt. Znając wasze metody, nie ma po nim co zbierać.

— Nasze? — uniosła brwi. — A kogo masz na myśli?

— Daj spokój — prychnął. — Oboje wiemy, co o tym sądzić.

Firanka poruszyła się w nagłym podmuchu. Zza okna dobiegł przeciągły grzmot.

— Burza w górach — powiedział mężczyzna. — Pasuje jak ulał do naszej obecnej sytuacji. Zanim wstanie dzień, wyjaśnimy sobie wiele spraw. Zamknij okno i usiądź naprzeciwko mnie. Tylko żadnych gwałtownych ruchów, maleńka. Przyjmij za pewnik, że umiem posługiwać się tym doskonale — uniósł wyżej nóż.

Irmina spełniła polecenie. W wąskim pokoju dotykali się prawie kolanami. Jednak w tej chwili przelotny kontakt, który jeszcze godzinę temu sprawiłby jej przyjemność, zdawał się czymś na kształt obcowania z oślizłym, groźnym gadem.

— Kto cię na mnie nastął? — padło pierwsze pytanie.

— Sam przed chwilą twierdziłeś, że oboje wiemy, co sądzić.

— Chcę to usłyszeć. A także poznać twój stopień i funkcję oraz nazwisko dowódcy.

— Chyba oszalałeś. Ty byś powiedział? Dostaję od szefów zlecenia na konkretną robotę, nie zastanawiam się od kogo i dlaczego. Najczęściej nie wiem nawet, kto jest prawdziwym zleceniodawcą.

— Nie zastanawiasz się, ale wiesz doskonale. A ja żądam odpowiedzi na parę kwestii. Jeśli będę zadowolony, zapomnimy o tej rozmowie. Zapomnimy w ogóle o naszym spotkaniu.

— Tak? — uniosła brwi. — Jakoś sobie nie wyobrażam, żebyś mógł samodzielnie decydować o... o... — nagle puściła w niej jakąś tama. Zalała się łzami. — To straszne...

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

— Jednak kobiety nie nadają się do takiej pracy — mruknął. Lewą ręką sięgnął po spodnie, wyjął chusteczkę, podał jej. Otarła twarz, uspokajała się powoli.

— Mogę wziąć kosmetyczkę? — spytała, wskazując przewieszoną przez poręcz krzesła torebkę. — Chcę się doprowadzić do porządku.

— Nie ma sprawy. Ale uważaj, jeśli zobaczę coś podejrzanego, nie będę się zastanawiał.

Skinęła głową. Powoli, ostrożnie rozpięła zamek, wyjęła maleńki przezroczysty przybornik. Wyrwał go jej z ręki, wysypał zawartość obok siebie na pomiętą kołdrę.

— To powinno wystarczyć — rzucił kobiecie puderniczkę i waciki. Przedtem jeszcze otworzył pudełeczko z kosmetykiem, dokładnie obmacał torebkę z bawełnianymi płatkami.

— Obawiasz się, że mogę podjąć walkę za pomocą pilnika do paznokci?

— Obawiam się, że możesz kombinować, kochanie. Jeśli w pracy wykazujesz choć połowę tej inwencji co w łóżku, możesz być naprawdę śmiertelnie niebezpieczna.

\*

Michał leżał na kanapie. Służbowe mieszkanie na Saskiej Kępie w plombie między starszymi budynkami było całkiem luksusowe, szczególnie jeśli porównać je do wielkopłytowego wynalazku, w którym mieszkał w Oleśnicy. Służbowe mieszkanie oficera kontrwywiadu... Miał stąd doskonały widok na pobliską strefę zieleni. Garaż w pobliżu, poza tym łatwy i szybki dojazd do centrum komunikacją miejską, a za wszystko płaciła firma. Wroński wciąż miewał dziwne stany poczucia nierealności nowego położenia. Jakże daleko odszedł od poprzedniego życia. Jeszcze nie tak dawno zdawało mu się, że do końca zawodowej kariery pozostanie podrzędnym gliną w powiatowej komendzie. Niewyparzony język i twarde zasady nie są najlepszymi gwarantami szybkich awansów. Tymczasem splot okoliczności pchnął go aż tutaj, w samo jądro życia. Ukryte jądro, warto dodać. Przecież zwyczajny obywatel nie ma najmniejszego pojęcia o tym, jak naprawdę działają służby specjalne. To, co się słyszy w telewizji, ogląda w filmach sensacyjnych, czyta w powieściach, to tylko mdłe odbicie rzeczywistości. Brutalność agentów wymyślonych przez pisarzy czy scenarzystów bywa pozbawiona sensu, wyprana z psychologicznych podstaw. To przemoc dla samej przemocy. Rzeczywistość jest o wiele gorsza. Żaden ze znanych mu wywiadowców i kontrwywiadowców niczego nie robi bez sensu. Okrucieństwo prawie zawsze jest wywołane koniecznością. Tym bardziej staje się nieludzkie, że musi być potraktowane jako część profesji. Oficerowie kontrwywiadu powinni być mistrzami w zadawaniu bólu. Zdarzają się oczywiście tacy, którzy naprawdę to lubią, jednak stanowią wąski margines.

W głowie Michała zabrzmiały słowa instruktora. Zajęcia z przesłuchań w warunkach operacyjnych najmocniej zapadły mu w pamięć. Może dlatego, że najbardziej ich nie lubił.

— Tu musisz wbić kciuk — mówił niski, chuderlawy sierżant. Michał poczuł przejmujący ból płynący od lewej nerki, ból, który

przeszywał na wskroś, wrywał z płuc powietrze, zmuszał do głośnego jęku z jednej strony, a z drugiej uniemożliwiał wydobyć głosu. W efekcie do bólu dołączało się uczucie duszenia. — Jeśli palec powędruje głębiej, możesz doprowadzić do utraty przytomności, a nawet uszkodzić nerkę. W tej sytuacji najlepiej przesłuchiwanego przywiązać za ręce do haka w suficie albo przerzucić sznur przez jakąś belkę. Obiekt powinien być zmuszony stawać na palcach, żeby uniknąć wrzynania się więzów w nadgarstki. Im mocniej będzie wyciągnięty, tym lepiej, bo tym bardziej czuje się bezradny. Wtedy każde dotknięcie zdaje się bolesne. Inaczej ma się sprawa, jeśli dobierasz się do genitaliów. Wtedy obiekt może leżeć. Ważne, żeby miał rozrzucone szeroko nogi, nie mogąc ich zewrzeć, zasłonić słabizny rękami. Jest też sposób ruskiego specnazu — oczy sierżanta rozbłysły. — Przywiązuje się przesłuchiwanego do drzewa i wbija mu w pachwinę drewniane kliny. Bardzo sprytna technika. Obiekt wie, że to jego ostatnie chwile, że nie przeżyje rozpytywania, ale jednocześnie modli się o szybką śmierć, o skrócenie męczarni. Podobno to skuteczniejsze od wszelkich innych tortur...

Michał wychodził z tego szkolenia z gorzkim uczuciem niesmaku, wręcz namacalnego i mdlącego. Był przekonany, że instruktor jest jednym z tych niewielu, którzy lubili torturować. Był po prostu sadystą.

— Tacy też są potrzebni — powiedział Jacek Bzowski, kiedy Wroński zwierzył się z wątpliwości. — Właśnie do prowadzenia szkoleń. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zleci temu szaleńcowi misji. Jak myślisz, dlaczego skończył służbę w czerwonych beretach w stopniu sierżanta? Bo nawet wśród komandosów, których przecież uczy się skutecznego zabijania, wykazywał zbytne zafascynowanie zadawaniem cierpienia.

— W takim razie po co...

— Nigdy nie wiadomo, co się może przydać. Nasza praca to nie policyjny uliczny patrol albo śledcza dłubanina. Nagle możesz znaleźć się w sytuacji, kiedy trzeba użyć takiej obrzydliwej i zniechęcającej wiedzy. Mało kto jest do tego zmuszony w trakcie służby, ale przygotować się trzeba. Jak w tej łacińskiej maksymie „Pragniesz pokoju, szykuj się do wojny”.

Wspomnienie tamtej rozmowy odżyło, kiedy pomyślał o groźbach majora wobec Piwnickiego. Agent niemiecki czy rosyjski... ich metody też



nie tkwiły korzeniami w dziecięcej piaskownicy. Więcej — wszelkie wywiady świata uczyły się właśnie od nich skutecznych metod pracy. Wroński nie miał złudzeń, że gdyby dostał się w ręce takiego agenta, tamten nie zastanawiałby się ani sekundy czy zadać najgorszy ból. Mimo to wszystko przewracało się w nim na myśl, iż Jacka byłoby stać na taki postępek wobec uwięzionego i zupełnie bezbronego wroga.

Włączył telewizor. Z głośników popłynął sygnał „Wiadomości”. Nijaki redaktor z przyklejonym do warg profesjonalnym, beznamiętnym uśmiechem przywitał widzów. A potem popłynęła informacyjna papka. Tylko ktoś, kto na co dzień ma dostęp do tajnych danych może zdawać sobie sprawę, ile w przeróżnych sensacjach jest bezwartościowych wypełniaczy, a z drugiej strony na ile pozornie błahe newsy niosą ukryte, często bardzo groźne treści. Bywa też, że wiadomości podawane przez dziennikarzy oznaczają zupełnie co innego niż mogłoby się wydawać. Jakiś czas temu telewizja i radio podały, że polska policja zakończyła wielkim sukcesem akcję przeciwko handlarzom narkotyków. Przejęto półtorej tony pasty kokainowej. Michał miał okazję współpracować z Brytyjczykami podczas monitorowania tego przetrzutu z Ameryki Południowej do Polski. Pytanie brzmiało — gdzie dalej narkotykowa mafia przetrzuci towar, bo ani port w Gdańsku, ani Kraków, do którego przetransportowano potem kokainę, nie były miejscami docelowymi. Razem z Bzowskim asystował przy przeładunku pojemników z pastą na kolejowej bocznicy. Właśnie wtedy zniecka i zupełnie niezapowiedziani wpadli antyterrorysty pod dowództwem jakiegoś dupka z generalskimi gwiazdkami. Nie słuchał tłumaczeń, nie zrobiły na nim wrażenia służbowe legitymacje kontrwywiadowców ani nazwisko ministra spraw wewnętrznych. Zatrzymano transport, powiadomiono prasę. Wielki sukces policji był w istocie rzeczą klęską i wstydem w oczach współpracowników z zagranicy. Brytyjczycy machnęli tylko ręką. „Polska czy Kolumbia, widać jeden pies.” Tak właśnie podsumował to krótko ostrzyżony oficer, patrząc z politowaniem na poczynania policjantów. Dopiero potem dotarło do Wrońskiego, co Anglik miał na myśli. Korupcja i prywatnie. Ktoś powiedział za dużo o całe zdanie, a może tylko o słowo... W pracy tego typu zawsze znajdzie się ktoś, kto słucha.

Michał zerwał się nagle na równe nogi. W tej chwili dotarło do niego coś jeszcze. Przecież w tej robocie niezmiernie rzadko kłapie się dziobem

z czystej głupoty! Chwycił za telefon.

— Jacek? Daj mi Jacka! Nie pieprz głupot! Gównu mnie obchodzi, że jest zajęty. Dawaj go! Kto mówi? Święty Mikołaj! Nie poznajesz, kretynie? Dawaj majora, bo załatwię ci placówkę w Pcimiu Dolnym! — chwilę słuchał. — Gdyby to nie było pilne, nie dzwoniłbym w czasie, kiedy pracę powinienem mieć głęboko w poważaniu!

Wreszcie do dyżurnego dotarło, że sprawa musi być poważna. Po chwili usłyszał głos Bzowskiewgo.

— Czego się gorączkujesz?

— Przesłuchiwałeś już figuranta?

— Oszalałeś? Co za pytanie! To nie jest rozmowa na telefon!

— Wiem. Ale zanim mu zaczniecie podawać... — zawiesił głos, szukając odpowiedniego słowa, które nie zdradziłoby prawdziwego znaczenia — zanim złożycie mu ofertę nie do odrzucenia, pomyśl. A właściwie przypomnij sobie. Czyje nazwisko w Krakowie wymienił pułkownik Mariasz jako nieformalne źródło informacji o transporcie koki?

Usłyszał jak po drugiej stronie major wciąga gwałtownie powietrze.

— Przyjeżdżaj, Michał! Masz tu być najdalej za pół godziny!

\*

Piwnicki patrzył hardo. Niespełna godzinę wcześniej pokazano mu pomieszczenie wypełnione najróżniejszymi przyrządami, począwszy od kajdanek do wieszania za kciuki, skończywszy na generatorach prądu.

— Nie wiem, kim w końcu jesteście — powiedział — polskim kontrwywiadem czy agendą Chińczyków, ale metody macie rzeźniczkę.

— Daj spokój — skrzywił się Bzowski. — Nie udawaj już, bo to wszystko dziecinada. Trudno przecież oczekiwać, że wyszkolony agent przerazi się takich gróźb. To była tylko kolejna próba, która potwierdziła moje podejrzenia. Widzisz, przyjacielu, gdybyś był zwyczajnym gliną, jak utrzymujesz z niezrozumiałym uporem, na samą myśl o torturach powinieneś zachowywać się nieco inaczej, że o widoku narzędzi nie wspomnę. To był twój kolejny błąd. Taki sam jak zdekonspirowanie się przed Michałem udającym włóczęgę. Następna pułapka, dzięki której potwierdzasz nasze podejrzenia. Wiesz doskonale, że nie pracujemy archaicznymi metodami. Ale gdybyś zobaczył strzykawkę albo... No właśnie. Wiem od strażników, że nie ruszasz jedzenia ani picia poza

wodą mineralną, a i tę pewnie obwąchujesz i smakujesz. Upijasz odrobinę, czekasz i wsłuchujesz się w ciało. Mylę się? Władysław Jagiełło pijał tylko wodę źródlaną, bo w niej najtrudniej ukryć truciznę.

Zamilkł, patrzył uważnie na Piwnickiego, najwyraźniej oczekując jakiejś reakcji.

— Mamy czas — rzekł, widząc iż przesłuchiwany nie kwapi się do odpowiedzi. — Całkiem dużo czasu. Sprawa, która czekała na wyjaśnienie tyle lat, może poczekać jeszcze parę dni. Prędzej czy później opowiesz wszystko.

— Jest tylko jeden problem. Nie mam pojęcia, o co wam chodzi.

— Tego właśnie nie lubię — major zwrócił się do Wrońskiego. — Nie cierpię, kiedy inteligentny człowiek udaje idiotę. Posłuchaj — spojrzał na komisarza — nikt mi nie wmówi, że zostałeś osadzony na komisariacie w Bolkowie przez przypadek. Dziwny by to był przypadek, wiemy coś o tym, bo sami byliśmy i jesteśmy zainteresowani kilkoma sprawami w tym rejonie.

— Jeśli chodzi wam o to, co ponoć znajduje się we Wzgórzu Ryszarda, pozostałości po Niemcach...

— Mam gdzieś Wzgórze Ryszarda — warknął Bzowski. — Nam teraz idzie o ludzi i dokumenty, a nie jakieś durnowate wykopaliska. Zresztą w tym wzgórzu niczego ciekawego nie ma. Nawet jeśli kiedyś było, zostało zniszczone podczas wybuchu, kiedy myszkowali tam Sowieci. Ale ty wiesz coś, co jest nam bardzo potrzebne.

Piwnicki zacisnął wargi w wąską kreskę.

— Jesteście szaleni — oświadczył po chwili milczenia. — Jesteście pieprznięci jak pijane koty. Ubzduraliście sobie coś nieprawdopodobnego, a ja jestem ofiarą.

— Dobrze — teraz zabrał głos Wroński. — Spróbujmy więc z nieco innej beczki. Mówi ci coś nazwisko Robert Miguła, ksywa Łazarz?

Twarz policjanta była nieprzenikniona. Za bardzo nieprzenikniona, pomyślał Michał. Chociaż, z drugiej strony... może zaczyna się doszukiwać w komisarzu czegoś, czego w rzeczywistości nie ma?

— Mów — popędził major.

— Pierwsze słyszę.

— Ach tak. Zatem pewnie nie zainteresuje cię fakt, że właśnie ten człowiek powiadomił nas, jakobyś pracował dla obcego wywiadu. A

wcale nie tak dawno storpedował naszą akcję dotyczącą przerzutu kokainy na Ukrainę.

Tym razem na obliczu Piwnickiego wyraźnie zagrały mięśnie. Przez chwilę jego rysy nabrały wyrazu zaskoczenia zmieszanego z oburzeniem i jakby obrzydzeniem.

— Nie znam nikogo takiego.

— Znasz — odparł spokojnie Michał. — My też go znamy. Bardzo dobrze znamy. I bardzo chcielibyśmy się dowiedzieć, do czego mu było potrzebne ujawnienie twojej osoby, wystawienie cię na strzał, jeśli rzeczywiście jesteś niewinny. Pomyśl, zanim znowu zaczniesz wszystkiemu zaprzeczać.

Piwnicki zastanawiał się kilkadziesiąt sekund. Michał miał wrażenie, że przeciągają się one w nieskończoność, ale czekał cierpliwie. Czuł, że za chwilę może nastąpić przełom. Widział, że Bzowski kręci się nerwowo. Położył mu rękę na ramieniu.

— Jacek, poczekaj — szepnął.

— Telefon — powiedział wreszcie komisarz.

— Nie rozumiem.

— Dajcie mi telefon. Muszę zadzwonić. Natychmiast.

— Do kogo?

— Gównu cię to obchodzi. Chcecie, żebym współpracował, muszę skontaktować się z przełożonym.

Bzowski zmarszczył brwi.

— Obawiam się, że nie rozumiem. Chcesz dzwonić do ambasady rosyjskiej i rozmawiać z rezydentem FSB? A może do niemieckiej?

— Chcę telefonu z kodowanym łączem!

— Co ty kombinujesz? Z takiego aparatu możesz się dodzwonić tylko w ramach... — major zamilkł nagle, spojrzał na Wrońskiego. — Rozumiesz coś?

Michał oblizał prędko wargi.

— Chyba zaczyna do mnie docierać. Daj ten telefon. I każ jak najszybciej sprowadzić Łazarza. Chyba trzeba będzie poważnie z nim pogadać. Zawiesiłeś go wtedy za zbyt długi jęzor, a on to na pewno zrobił celowo. Tak samo jak teraz.

— Pojedziesz po niego osobiście z Witkiem i Adamem. Tylko bądźcie ostrożni. Coś mi się zdaje, że nasz stary przyjaciel w ostatnich czasach

zmienił front. Albo pracuje dla wroga, albo, co gorsza, dla samego siebie.

## 5.

Potworny krzyk ściągnął na piętro kierownika schroniska. Nawet nie wiedział, kiedy znalazł się na górze. Sprzątaczką stała w drzwiach pokoju numer dziewięć, zasłaniała oczy rękami, a z jej gardła wydobywał się ochryply pisk. Kierownik odsunął kobietę, zajrzał do środka. Od razu odwrócił się, z trudem powstrzymując mdłości. Bryzgi krwi osiadły na ścianie i stoliku. Ciało z rozerzniętym szeroko gardłem spoczywało na podłodze, szkliste oczy skierowane były na wejście, ręka wyciągnięta daleko za głowę, jakby po coś sięgała.

Kierownik złapał sprzątaczkę za ramiona, odsunął stanowczo, zatrzasnął drzwi. W samą porę, bo na korytarz wylegli zaniepokojeni goście.

— Idziemy na dół, ale już — warknął do przerażonej kobiety. — W kuchni dadzą ci mocnej herbaty z rumem. Albo samego rumu jeśli trzeba. Skup się na chwilę. Muszę zamknąć pokój.

Drżącą ręką podała pęk służbowych kluczy. Mężczyzna odetchnął głęboko, pieczołowicie przekręcił klucz w zamku, dwa razy sprawdził, czy drzwi na pewno są zamknięte. Potem wziął sprzątaczkę pod ramię.

— Co się stało? — padło nieuchronne pytanie zadane przez jakiegoś turystę.

Ludzie wylegli z pokojów, ciekawi spoglądali na zamknięte drzwi „dziewiątki”. Przez chwilę zastanawiał się, co właściwie powinien odpowiedzieć.

— Popełniono przestępstwo — rzekł wreszcie. Odetchnął z ulgą. Pustka w głowie zniknęła, przypomniał sobie procedury obowiązujące w podobnych okolicznościach. — Popełniono poważne przestępstwo. Proszę wrócić teraz do pokojów. Jestem zmuszony prosić, aby nikt nie opuszczał schroniska przed przyjazdem policji.

— Ależ drogi panie! — zawołał oburzony mężczyzna w średnim wieku. — Ja muszę zaraz wyruszyć do Karpacza, odebrać samochód z parkingu. Dzisiaj po południu mam ważne spotkanie we Wrocławiu!

— Niestety — kierownik wzruszył ramionami — nic na to nie poradzę. Nie może pan samowolnie wyjść z budynku. Taki jest

regulamin, tak stanowią procedury.

— To oburzające! Mam gdzieś wasze regulaminy!

— Może pan mieć gdzieś. Ale narazi się pan na straszliwe kłopoty.

— A co się właściwie stało? — Pytanie zadała kobieta z ręcznikiem owiniętym na mokrych włosach. — Mamy prawo wiedzieć chociaż tyle.

— Tak — Kierownik wahał się przez chwilę. — Nie wiem, czy powinienem, ale... No dobrze, skoro ma to pomóc utrzymać państwa na miejscu... Popełniono morderstwo — wyrzucił z siebie szybko, czując jak na wspomnienie koszmarnego widoku zaczynają nim targać mdłości.

Zostawił oniemiałych gości hotelowych, poprowadził sprzątaczkę na dół. Postanowił, że zanim zadzwoni na policję, sam musi łyknąć solidną porcję rumu. Inaczej wiadomość nie przejdzie mu przez gardło. Oszołomienie nieco minęło, coraz silniej odczuwał sensacje związane z widokiem i zapachem krwi.

\*

Michał odetchnął głęboko, spojrzął na towarzyszących mu ludzi. Stali przed solidnymi drzwiami obitymi blachą.

— Dźwiękoszczelne — mruknął Witek, odrywając słuchawkę aparatu od gładkiej powierzchni. — Wewnątrz są pewnie drugie. Ale się esbek zabezpieczył...

— Nie gadaj tylko do roboty — popędził Adam.

— Ostrożnie — przestrzegł Wroński. — Łazarz to król wśród wywiadowców.

Witek pochylił się ku zamkowi, włożył w otwór patentowego zamka dziwny przyrząd — stalowy walec z licznymi wypustkami. Ostrożnie przekręcił przedmiot w obie strony. Cicho stuknęły zapadki. Po chwili wsunął drugie narzędzie w kolejny zamek. Tym razem była to płaska blaszka. I teraz poszło gładko. Odsunął się. Ostrożna dłoń Michała powoli nacisnęła klamkę. Drzwi uchylły się bezszelestnie. Zgodnie z przewidywaniami, za pancernym skrzydłem było następne. Znów praca z zamkami, tym razem trzema.

— Mam nadzieję, że jest w środku — szepnął spocony Witek. Wyprostował się, przeciągnął ramiona. — Inaczej cała ta robota...

— Dość gadania, odsuń się! — Adam wyszarpnął pistolet, przepchnął się, gwałtownie otworzył drzwi. — Łazarz, jesteś aresztowany!

— Nie! — zawołał w tej chwili Witek. — Uwaga!

Na stoliku naprzeciwko wejścia Michał dostrzegł charakterystyczny kształt, znany ze szkoleń. Poczł mocne szarpnięcie, znalazł się za załomem ściany. Adamowi nikt nie mógł już pomóc. Potężny wybuch wstrząsnął budynkiem. Wroński zamknął oczy, ale zbyt późno, by nie zobaczyć bryzgów krwi i czegoś okrągłego... Dopiero po dłuższej chwili dotarło doń, że to głowa Adama. Potworna kula, odarta z włosów, posiekana odłamkami.

Witek drżał na całym ciele. Michał odepchnął się od niego, otworzył oczy. Pocięte żelazem, zmasakrowane ciało Adama leżało pod przeciwległą ścianą. Bez głowy. Ta odtoczyła się kilka metrów w bok. Dłoń z pistoletem, jak na ironię, została w drzwiach. Urwana, leżała na progu, a lufa skierowana była w stronę mieszkania. Michał z trudem powstrzymał mdłości. Mógł się pohamować tylko dzięki treningowi, który przygotował go na podobne okoliczności. I, rzecz jasna, grało tu rolę doświadczenie wyniesione z policyjnej praktyki. Nieraz widział zwłoki w różnym stanie, ale z taką rzeźnią nie miał jeszcze do czynienia. Na korytarzu zaczęli pojawiać się ludzie. Jednak, porażeni widokiem, w większości uciekali z powrotem do mieszkań. Michał odetchnął głęboko kilka razy, zaraz jednak przestał, bo w nozdrza wdarł się słodkawy zapach surowizny i nieprzyjemny, kwaśno-gorzki odór rozprutych wnętrzości. Obok Witek wymiotował. Wroński widział to, ale ze zdumieniem stwierdził, że nie dociera do niego odgłos torsji. W uszach miał tylko monotony szum. Przełknął ślinę. Do świadomości przedarły się pierwsze dźwięki.

— Proszę wrócić do domu! — powiedział do łysawego emeryta, który wyszedł na korytarz i nie zamierzał się schować. Własny głos brzmiał obco, jakby dolatywał z odległości.

— A pan kto, żeby mi rozkazywać?

Michał błysnął legitymacją z policyjną blachą. Oczywiście dokument był równie prawdziwy, jak wypisany w nim stopień i jednostka. W pracy kontrwywiadowczej legenda goniła legendę, czasem trudno było się w tym połapać. Emeryt cofnął się, mamrocząc pod nosem coś o chuliganach, bandytach i nieporadnych glinach.

— W porządku? — Wroński poklepał Witka po plecach. Ten spojrzał dziwnie. Porucznik od razu zorientował się, o co chodzi — Weź oddech i



przełknij.

Gestami pokazał koledze, co ma zrobić.

— Szlag jasny — wydyszał Witek po chwili. — Co to było?

— Ruska kierowana mina przeciwpiechotna, jeśli się nie mylę. Z zapalnikiem nastawionym na ruch.

— Masz pewnie rację. Kurewska broń.

— Dzięki — mruknął Michał. — Uratowałeś mi życie. A już na pewno parę fragmentów anatomii.

Witek nie odpowiedział. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ciało martwego kolegi.

\*

— Musiał zwęszyć pismo nosem — powiedział Michał. — Ulotnił się i przygotował taką niespodziankę. Dla kogo on właściwie pracuje?

Major Bzowski wzruszył ramionami.

— Trzeba się będzie koniecznie dowiedzieć. Z moich informacji wynika, że od czasu weryfikacji był wierny nowemu porządkowi. Stara ubecka gnida, ale bez podejrzanych kontaktów. Z tych, co służą każdej władzy do śmierci. Własnej lub jej.

Michał skrzywił się.

— Nie gadaj cytatami z *Psów*. Nie lubię tego filmu.

— Ale w warstwie, że tak to nazwę, faktograficznej jest zaskakująco prawdziwy. Taki właśnie burdel zrobił się w resortach siłowych po przyjsciu nowych rządów. Dlatego wielu prześliznęło się przez sito weryfikacji.

— Bo to było cholernie rzadkie sito.

— Może i tak. Ale co można było innego zrobić? Wielu pracowników Służby Bezpieczeństwa to byli prawdziwi fachowcy. Dysponowali umiejętnościami niezbędnymi do pracy w służbach informacyjnych.

Michał potrząsnął głową. Były ważniejsze kwestie niż roztrząsanie wydarzeń sprzed lat.

— Gdzie może być teraz Łazarz? — zmienił temat.

— Diabli wiedzą. Może trzeba by go poszukać w którejś ambasadzie?

— Ta mina...

— Tak?

— To była rosyjska produkcja?

— Właśnie... — Bzowski cmoknął, zamyślił się i zamilkł.

— Co właśnie?

— Właśnie nie ruska. Amerykańska.

— Nie żartuj!

— To nie jest temat do żartów — uciął ostro major.

— Natowska mina?

— A kto powiedział, że natowska? To by było jeszcze zrozumiałe. Ale bez wątpienia amerykańska. Zerżnięta z konstrukcji rosyjskiej, udoskonalona, jeszcze wredniejsza od oryginału. Edek z laboratorium ledwie wziął pod lupę blachę, która została, zaraz powiedział, że to robota jankesów. Ponoć po zawartości w stopie węgla, molibdenu i pierwiastków śladowych od razu poznać. Huta i walcownia w Detroit. Na dokładną analizę jeszcze musimy poczekać, ale miejsce produkcji jest pewne. Jest pewne coś jeszcze. Ta mina pochodzi z naszych magazynów. Parę lat temu jakiś geniusz logistyki nabył spory transport, cholera wie po co. Łazarz ma wszędzie znajomych, mógł dość łatwo wyrwać taką nikomu niepotrzebną zabawkę.

— Chcę dorwać skurwiela — wycedził przez zaciśnięte zęby Michał.

— Nie jesteś osamotniony.

— A co z Piwnickim? Powiedział coś? W świetle tego, co się stało, gość może się okazać niewinny.

— Niewinnych w ogóle nie ma — odparł Bzowski. — Każdemu można znaleźć odpowiedni paragraf. Jeszcze się nie nauczyłeś?

— Wiesz co? Bardzo nie lubię, jak cytujesz kwestie z polskich filmów. Ale jeszcze bardziej drażni mnie, kiedy odwołujesz się do towarzysza Dzierżyńskiego.

— To mały rewanż za twoje brednie o piwie.

— Nie czas chyba na to. Powiedz lepiej, o czym komisarz rozmawiał przez nasz wspaniały kodowany telefon i do kogo dzwonił.

— Mówił szyfrem. To było do przewidzenia, prawda? A rozmawiał z wydziałem drugim wywiadu. Z samym szefem.

— Której sekcji?

— Żadnej sekcji. Z szefem całego pionu, człowieku! Aresztowaliśmy gościa, który jest tam szyczą!

— Dzięki Łazarzowi.

— Dzięki Łazarzowi, niech go szlag trafi!

— I co, zwolniłeś Piwnickiego?

Major prychnął i roześmiał się z przymusem.

— Oszalałeś? Niech się o niego formalnie upomną. Na razie wciąż jeszcze jest podejrzany. Mam przecież w szufladzie meldunek Miguły.

— Gównu wart taki meldunek.

— Ale oni o tym nie wiedzą.

Michał zbyt krótko jeszcze pracował w firmie, żeby poznać wszystkie niuanse. Ale o wzajemnej niechęci wywiadu i kontrwywiadu przekonał się bardzo wcześnie, jeszcze na etapie szkolenia. Wyruszył wtedy z misją w miasto. Nic szczególnego. Odebrać jakąś przesyłkę, dostarczyć materiały do skrzynki kontaktowej — zwykła robota. O jednym go nie uprzedzono. Że na miejscu będą czyhać ludzie z wydziału drugiego, naturalni przeciwnicy. Nie wiedział, oczywiście, kim są. Był pewien, że dopadli go pracownicy zagranicznej agentury, przekonani iż wypełnia ważną misję. Z kolei jemu nie wolno było się zdekonspirować. Zresztą co miał powiedzieć? Że to tylko ćwiczenia? I tak by go zlikwidowali albo próbowali zwerbować. Chwile, które wtedy przeżył były najgorsze w życiu. Może jedynie poza strzelaniną w oleśnickich podziemiach. Jednak wówczas przynajmniej o czymś decydował, mógł podjąć walkę. Zatrzymany przez wroga, był najzupełniej bezradny. Mógł tylko wszystkiemu zaprzeczać. A tamci straszili, poszturchiwali, posunęli się nawet do bicia. Pewnie dlatego obudziło się w nim współczucie podczas przesłuchiwania Piwnickiego. Dopiero potem przeczytał książkę Wiktora Suworowa *Akwarium*. Tam bohater, oficer GRU, podczas ćwiczeń również został schwytany przez konkurencję z KGB. Z tym, że to było z góry zaplanowane, stanowiło część szkolenia. Rosjanina od razu poddano przesłuchaniu drugiego i trzeciego stopnia. Michał odetchnął z ulgą, że nie przyszło mu pracować w strukturach radzieckich czy rosyjskich. Chociaż... swoi może i jego koniec końców zaczęliby męczyć bardziej zdecydowanie. Z opresji wydobył go Bzowski, który zorientował się bardzo szybko, że zaszło coś nieprzewidzianego. Okazało się, że ćwiczebna skrzynka kontaktowa kontrwywiadu pozostaje od pewnego czasu w zainteresowaniu wywiadowców. Tylko dlatego, że sami upatrzyli sobie tamto miejsce dla własnych celów, a konkurencja co jakiś czas jej używała.

— Nie wie lewica, co czyni prawica — powiedział. — Jacek, dlaczego

tak jest?

Bzowski od razu pojął, co Wroński ma na myśli.

— Nie myśl, że tylko u nas. Wszędzie wywiad i kontrwywiad wchodzą sobie w drogę.

— Nie można się dogadać?

— Co za naiwne pytanie! — prychnął major. — Oczywiście, że nie. Tu mamy grę polityczną, ale przede wszystkim chore ambicje, wzajemne uprzedzenia i zastarzałe animozje.

— Ale przecież dla dobra państwa... dla wspólnego dobra...

— Tobie co? — zniecierpliwił się Bzowski — Chcesz zorganizować festiwal pobożnych życzeń imienia świętego Franciszka z Asyżu? O jakim wspólnym dobru mówisz? Nie zapominaj, że nasi szefowie to przede wszystkim politycy. My, na niższych szczeblach, potrafimy podjąć współpracę, jeśli to okazuje się konieczne, potrafimy schować urazy do kieszeni. Ale panowie w randze ministrów i różnych tam sekretarzy stanu mają w głowie tylko jedno — jak dopieprzyć konkurencji, nawet kosztem zdekspirowania przeciwnika. Bo oni nie myślą tak, jak ty byś oczekiwał, że będą myśleć. Mają, niestety, własny wyrachowany rozum. Drogi ich rozumowania są tak pokrętne, że kiedy o tym myślę, czuję jak pień mózgu zwija się w korkociąg.

— Dobrze już — mruknął Michał. — Przecież to wszystko wiem. Ale trudno się pogodzić z takimi rzeczami.

— Trudno — zgodził się major. — Jednak trzeba o tym pamiętać jeśli bierzesz pod uwagę rzetelną pracę na własnej działce.

— Dlatego trzymasz Piwnickiego mimo wszystko? Naśladujesz wierchuszkę?

— Bredzisz, przyjacielu. Ja mam jasno sprecyzowany cel. Liczę, że nasz wywiadowca może się jeszcze z czymś zdradzić. Wiesz przecież, że przydałoby się nam więcej danych. Inaczej trudno będzie prowadzić dalej dochodzenie.

— Tak — Michał pokiwał głową. — A demony przeszłości nie przestaną straszyć. Czasem czuję się w tym naszym wydziale jak nieustraszony zabójca wampirów.

— Sam chciałeś pracować przy nierozwiązanych zagadkach przeszłości. Mogłeś zgłosić się do sekcji wschodniej, do spraw Unii Europejskiej czy każdej innej.

— Nie pociągają mnie ich gierki, utarczki, podchody. Brudna ta ich robota.

— Każda praca wywiadowcza i kontrwywiadowcza jest brudna.

— No to powiem inaczej — ich jest jeszcze brudniejsza niż nasza. Chociaż... my przecież i tak babramy się w działkach wszystkich innych sekcji. Ale... — szukał odpowiednich słów.

— Ale możemy sobie pozwolić na odrobinę luzu — pomógł mu major.

— Właśnie.

Zadzwoił telefon. To był niepokojący, złowieszczy głos. Może dlatego, że odezwał się aparat stojący z lewej strony biurka majora, służący do najpilniejszych połączeń. Bzowski natychmiast poderwał słuchawkę. Zabrzęczał w niej piskliwy głos. W miarę jak słuchał, major pochmurniał, zaciskał wargi w wąską kreskę.

— Właśnie nastąpił koniec tego sławetnego luzu — wycedził przez zęby po odłożeniu słuchawki. — Nasz człowiek został znaleziony martwy.

— Mirek?

— Nie, nie Mirek. Ktoś, kogo nie znasz. Wykonywał zadanie dla sekcji ochrony dzieł sztuki, ale służbowo należał do nas. Zbieraj się. Zaraz nam podstawią transport do Jeleniej Góry.

## 6.

Michał nie miał nic przeciwko podróży samolotem, czuł się dobrze nawet w niewielkiej cesnie czy nieco rozklekotanym służbowym odrzutowcu. Można w tych maszynach wyczuć turbulencje, lot nimi nie jest marzeniem nawykłego do komfortu bogatego turysty, ale niedogodności da się wytrzymać. Gorzej było w śmigłowcu, do którego wsiedli w Świdnicy. To był jakiś mocno zdezelowany egzemplarz, pamiętający chyba jeszcze czasy stacjonowania Armii Czerwonej w tym mieście. Zresztą w tamtych czasach było powiedzenie, że Świdnica jest jak talerz z pierogami — pół ruskich, pół leniwych.

Porucznik mógłby się założyć, że ostatni porządny przegląd techniczny maszyna przeszła na dzień przed wymarszem wojsk sowieckich. Trzęsa w każdym razie tak, jakby za chwilę miała rozpaść się nie na kawałki nawet, ale na atomy. Pilot z kamienną twarzą przelatywał nad polami i osiedlami. Ominął łukiem Wałbrzych, potem Jelenią Górę, skierował się wprost ku groźnemu szczytowi Śnieżki. Bzowski milczał przez większość drogi. Jednego, czego Michał zdołał się dowiedzieć jeszcze w samolocie to to, że zamordowany pracował dla kontrwywiadu z pozycji podwójnego agenta. Grał wywiadowcę na usługach agentury niemieckiej.

— Dlatego nic o nim nie wiedziałem? — spytał od razu Wroński.

— Od pewnego czasu pozostawał w uśpieniu — odparł ponuro major. — Wiesz, to trochę tak, jakby przebywał na zasłużonej emeryturze, ale z możliwością powrotu do służby. Wygląda jednak, że podjął jakieś działania bez naszej wiedzy. To zawsze jest niepokojące.

— Stary pracownik — mruknął Michał — doświadczony, pewnie sporo wiedział. Myślisz, że jego śmierć łączy się z naszą sprawą.

Bzowski zaklął paskudnie.

— Zaczynam mieć przeświadczenie, że łączy się z tym jeśli nie wszystko, to prawie wszystko.

Wylądowali na spłachetku skalistego terenu niedaleko schroniska. Michał uśmiechnął się na widok znajomego budynku. „Samotnia”. Spędzili tu z Magdą parę upojnych chwil. Wróciły wspomnienia sprzed

lat. Jakże niewiele się zmieniło, przynajmniej na zewnątrz. Ledwie wysiedli z maszyny, podbiegł zaaferowany mężczyzna w średnim wieku.

— Stulich — zawołał — jestem kierownikiem schroniska!

— Inspektor Baliński — odkrzyknął major, wyciągając rękę — a to komisarz Bernis! Jesteśmy z komendy wojewódzkiej we Wrocławiu!

Odeszli od śmigłowca. Pilot wyłączył silnik, łopaty wirowały jeszcze siłą rozpędu.

— Uprzedzono mnie o panów przybyciu — powiedział kierownik. — Dobrze, że już jesteście. Goście bardzo się niecierpliwią. Co tu dużo gadać, są wściekli. Nie dziwię się. Przecież trzymamy ich w zamknięciu od samego rana, a jest już po szesnastej. Gdyby panowie mogli nie zabierać im zbyt dużo czasu...

— Postaramy się — odparł sucho major. — Ale mamy do czynienia z morderstwem. Sam pan rozumie, że to nie kradzież portfela albo zegarka, ale prawdziwa zbrodnia. Musimy dojść prawdy. Zresztą leży to także w pańskim najlepiej pojętym interesie. Przecież wiadomości o niewyjaśnionym zabójstwie rozejdą się bardzo szybko i bardzo szeroko. To mogłoby zaszkodzić reputacji tego miejsca. A konkurencja nie śpi...

Widać było, że trafił w czuły punkt. Stulich skrzywił się z niechęcią, zatrzepotał palcami, jakby chciał odepchnąć natrętną wizję, a może zamierzał skrzyżować je od uroku, ale się rozmyślił.

— Dobrze — rzekł. — Mogą panowie skorzystać z mojego biura. Tak zrobili policjanci z Jeleniej Góry.

— Wolimy porozmawiać ze świadkami w ich pokojach. Prawda, Mikołaju? — zwrócił się do porucznika.

Wroński skinął głową. Wciąż jeszcze trudno mu było przywyknąć do ciągłych zmian imienia i nazwiska. Zastanawiał się nawet przez chwilę, czy w tej sytuacji i w tym miejscu to nie jest jednak zbyt ostrożność. Przecież mogliby podać prawdziwe dane, jedynie z fikcyjnymi funkcjami i stopniami. Ale, z drugiej strony, diabli wiedzą, czy taka zapobiegliwość nie jest jednak potrzebna. W końcu chodzi o morderstwo popełnione na doświadczonym oficerze. Byle kto nie mógł tego zrobić.

\*

Szedł Poznańską szybkim krokiem. Szybkim, ale nie takim, który mógłby wskazywać, że bardzo się spieszy albo jest przestraszony czy pobudzony. Zresztą doskonale potrafił opanowywać podobne emocje.

Twarz powinna być maską, a ruchy nie mogą zdradzać stanu ducha. To wpajano mu od początku pracy, tego nauczył się w trakcie długoletnich zmagañ z ludźmi czyhającymi na najdrobniejsze potknięcie, dzięki takim nawykom dożył sześćdziesiątki i pomyślnie przebrnął przez wszelkie trudności.

Druga sprawa to czujność i nieufność do otoczenia. Wszędzie należy węszyć zdradę, zza każdego rogu może znienacka ukazać się wróg, za każdym załomem muru może czaić się śmiertelne zagrożenie. Zawsze trzeźwy, zawsze czujny, zawsze nieufny. Nawet podczas wydziałowych i międzywydziałowych imprez, kiedy wszyscy wlewali w gardła hektolitry alkoholu, on pozostawał chłodny, choć pił na równi z innymi. Po prostu nigdy nie pozwalał sobie na kieliszek więcej niż mógł, a potem udawał tylko, że pije. Za to znakomicie potrafił zagrać wstawionego. Bełkotał bez związku, włączał się do chóralnych śpiewów, kłął wraz z kolegami jedynie wówczas słuszną partię i Związek Sowiecki, a po zmianie warty w osiemdziesiątym dziewiątym wszystkie możliwe ugrupowania polityczne i aktualnie rządzących. Jednocześnie słuchał pilnie każdego nieopatrznie wypuszczonego przez rozochoconych współpracowników słowa. Różne rzeczy można później różnie wykorzystać z ogromnym pożytkiem.

Bez trudu zauważył idących za nim młodych ludzi. Towarzyszyli mu od Placu Trzech Krzyży. Szli krok w krok, kiedy kluczył ludnymi ulicami. Poszedł na Foksal, usiadł w klubie „Tam-Tam”, przy barze na parterze. Młodzieńcy zasiedli na zewnątrz przy stoliku, który dawał im najlepszy widok. Zszedł więc do oficyny, do drugiego klubowego baru. Nie byli aż tacy głupi, żeby leżć za nim. Jednak, gdy wychodził, zobaczył ich już wewnątrz lokalu. Pilnowali, by nie urwał się jakimś drugim wyjściem. Poszedł więc w stronę Alej Jerozolimskich, potem obok Smyka, pasażu sklepów, a w przejściu podziemnym przeszedł na przeciwległą stronę ulicy. Potem skręcił w Poznańską. O tak wczesnej porze nie było tu jeszcze zbyt wielu prostytutek, zaledwie kilka dziewczynek przysiadło na wystawie. Palily papierosy, rozmawiały o niczym i bez wielkiej nadziei spoglądały na przechodniów.

Podszedł do pierwszej z brzegu.

— Chodź, siostró.

— Do ciebie czy do mnie?



— Do ciebie.

— Jak chcesz. Ale mój stary jeszcze się dobrze nie spał. Może hałasować.

— Nie szkodzi.

Podążył za kobietą. Poprowadziła go kilkanaście metrów, skręciła w ciemną bramę.

— Dobra — zatrzymał ją. Wcisnął w rękę zaskoczonyj prostytutki stułotowy banknot. — A teraz spieprzaj.

— No co ty... co to ma być? Tak za bezdurno? Laskę ci chociaż zrobię.

— Zjeżdżaj! A jak wyjdiesz, popukaj się w głowę, zrób co chcesz byle wyglądało, że uznałaś mnie za świra. Dostałaś chyba dość, żeby się postarać.

— Nie będę musiała się starać! Ty naprawdę jesteś pierdol...

Nie dokończyła, bo uderzył ją otwartą dłonią w twarz.

— Idź, zdziro, i zrób co kazałem!

Wyszła na ulicę gestykulując, złorzeczając i pokazując koleżankom z daleka, że niedoszły klient jest nienormalny. Nie zwróciła większej uwagi na dwóch mężczyzn, którzy przebiegli obok, zniknęli w bramie, którą przed chwilą opuściła.

Pierwszy zgiął się wpół, ledwie wpadł do mrocznej sieni. Z jękiem osunął się na kolana z rękami przyciśniętymi do brzucha. Drugi nie zdołał dostrzec stopy podążającej w stronę jego głowy. Dopiero potworny ból uświadomił mu, że coś jest nie w porządku.

Starszy mężczyzna wyciągnął nóż z ciała martwego już człowieka. Drugi patrzył na to z przerażeniem. Trzymał się za twarz, spod palców ciekła struga krwi.

— Szukacie starego Łazarza? — uśmiechnął się krzywo zabójca. — No to znaleźliście. I, powiadam ci, twój kompan już ogląda oblicze Stwórcy. A ty możesz do niego dołączyć za małą chwilkę, jeśli nie odpowiesz mi, kto was za mną wysłał. Nazwisko twoje i twojego dowódcy!

Szybkim ruchem przeciągnął nożem po zaciśniętych na nosie dłoniach przeciwnika. Trysnęła krew, zmieszała się z tą ciekącą z nosa, popłynęła wartkim niż strumieniem.

— Chcesz jeszcze, czy będziesz gadał?

Kłęczący człowiek milczał. Łazarz bez ostrzeżenia dźgnął go nożem

w oko.

— *Mein Gott* — jęknęła ofiara.

— To mi w zupełności wystarczy, młody człowieku — Łazarz przywołał na twarz miły uśmiech. — Jednak przez brak szacunku należnego moim siwym włosom, napytałeś sobie biedy. Tak nieuprzejmy człowiek nie powinien być zatrudniany do poufnych misji. Kiepsko was ostatnio szkolą. Nie mówiono ci nigdy, że język wroga musi się stać twoim własnym, jeśli masz dobrze pracować dla swojego kraju?

Zanim skończył mówić, zakrwawiony przeciwnik skoczył ku niemu, wytrenowanym ruchem sięgnął jedną ręką ku gardłu, drugą ku oczom. Jednak trafił w pustkę.

Natomiast nóż Łazarza nie zmylił drogi. Stary przez chwilę patrzył na trupa, potem schylił się, wytarł ostrze w ubranie ofiary, sięgnął do kieszeni, wyjął malutką torebkę. Wydobył z niej małą, ciemną kulkę i wrzucił do ust. Zgryzł ją, przymykając oczy z zadowolenia. Drugą upuścił przy zwłokach.

\*

Michał miał dość. Przesłuchali już wszystkich, z wyjątkiem samotnej kobiety po pięćdziesiątce, zamieszkującej pojedynczy pokój w samym końcu korytarza, obok miejsca, w którym popełniono zbrodnię. Siedziała przed nimi z nogą założoną na nogę, palce splotła i położyła na kolanie. Widać było, że jest wytrącona z równowagi.

— Ja tam się nie wtrącam w cudze sprawy — powiedziała.

— Proszę pani — tłumaczył cierpliwie major — to nie jest zwyczajne wtrącanie się. Tu chodzi o morderstwo.

— Wiem, wiem — odparła z niecierpliwością. — Tamci policjanci, co tu byli przed wami, tysiąc razy to mówili. Ale ja nic nie widziałam. Mogę przysiąc przed sądem, że nie widziałam. Nie mam zwyczaju podglądać, co robią inni.

— A było co podglądać? — spytał Wroński.

— Jakbym podglądała, tobym może wiedziała! — syknęła.

Michał spojrział w okno. Nad górami do dawna panował mrok. Przesłuchania ciągnęły się bardzo długo. A przecież jeszcze zanim zaczęli, zanim przeczesałi osobiście miejsce przestępstwa... Są tutaj już przeszło sześć godzin.

— Na pewno nic pani nie zauważyła? Może kogoś obcego...

— Powiedziałam! Przed sądem mogę przysiąc, że nic nie widziałam! Przed ołtarzem mogę nawet!

Michała tknęła nagle ta gotowość kobiety do przysięgania. W tym było coś więcej niż zwyczajna chęć przekonania rozmówców o swojej racji. Za dużo i za często to podkreślała.

— Dobrze — westchnął Bzowski. — jest pani...

— Chwileczkę — powstrzymał go porucznik, zanim dopowiedział sakramentalne „jest pani wolna”. — Jeszcze jedno pytanie.

— Skoro musisz — westchnął major. — *Be my guest*. Pytaj.

— Rozumiem, że nic pani nie widziała i jest to gotowa zeznać pod przysięgą — uśmiechnął się lekko, kiedy kobieta kiwnęła głową. — Ale czy zezna pani również pod przysięgą, że nic pani nie słyszała?

Słyszał jak Bzowski wciąga głęboko powietrze. Do niego też dotarło, że przesłuchiwana tak zdołała skupić ich uwagę na tym „niewidzeniu”, że o mało nie zapomnieli o drugim fundamentalnym pytaniu.

— Człowiek przy takich okazjach powinien być wypoczęty — mruknął. — Ze zmęczenia można przeoczyć coś naprawdę poważnego.

Kobieta była wyraźnie zmieszana.

— Proszę odpowiedzieć na pytanie — rzucił szorstko major. — Może wtedy pani nie oskarżymy o utrudnianie śledztwa.

Zbladła, a zaraz potem poczerwieniała. Strach przed konsekwencjami walczył w niej ze złością.

— Długo będziemy czekać?

— No dobrze — mruknęła. — Słyszałam coś. Ten człowiek nie spał sam tej nocy. Była u niego kobieta.

— Jest pani pewna, że kobieta? Słyszała pani głosy?

— Słyszałam jak się kotłowali na łóżku! — skrzywiła się z pogardą.

Wroński wyobraził sobie tę babę z uchem przytkniętym do ściany, łowiącą każdy dźwięk miłosnych igraszek i poczuł obrzydzenie.

— A potem?

— A potem nic. Rozmawiali jeszcze, ale bardzo cicho.

— Słyszała pani, jak ta kobieta wychodzi? Nie było żadnego hałasu?

— Co pan sobie wyobraża? Że przez całą noc nasłuchiwałam, co robi mój sąsiad? Jego sprawa, że sprowadził sobie jakąś zdzirę.

— Dobrze — powiedział Bzowski. — Proszę się nigdzie nie oddalać. Może być nam pani jeszcze potrzebna. Dlaczego nie powiedziała pani od

razu wszystkiego?

— Właśnie dlatego! Wiedziałaś, że każecie mi tu tkwić jak kołek! Pewnie po sądach będziecie mnie jeszcze włóczyć.

— Nie będziemy — zapewnił major. — Za mało pani wie. Chyba że jest coś jeszcze?

— Nie. To wszystko.

Wyszła. Za drzwiami czekał już policjant z Jeleniej Góry. Wszedł, bez słowa podał Wrońskiemu cieniutką kartkę papieru z faksu.

— Wyniki ekspertyzy? — spytał Bzowski. — Już? Prędziutko. No tak, przecież wysłaliśmy trupa i materiał helikopterem.

Wyjął z rąk Michała wydruk, skinieniem ręki podziękował funkcjonariuszowi. Wpatrywał się przez dłuższą chwilę w rzędy drobnych liter.

— Pięknie — cmoknął. — Wygląda, że załatwiła go ta babka, z którą spał. W gałkach ocznych i na brzegach rany znaleziono puder zmieszany z substancją, której używa się do produkcji gazu pieprzowego. Sposób cięcia świadczy, że powstało na skutek błyskawicznego ruchu ostrym, niewielkim przedmiotem. Fachowo, sam widziałeś — prawie od ucha do ucha. Napastnik przeciął tętnice i żyły. Krtań nie została znacząco naruszona ostrzem, za to na pewno przedtem uległa zmiżdżeniu. Nasz przyjaciel dał się podejść. Nie te lata. Dawniej urznąłby nożem rękę, która mu mignęła przed oczami. A on pozwolił sobie zasypać twarz, uderzyć się w jabłko Adama i rozwalić szyję.

— Jeśli to zrobiła kobieta, musi być dobrze wykształcona.

— Dobrze? To mało powiedziane. Doskonale. Nienagannie. Artystka w swoim fachu. Gdybyś znał tego gościa, wiedziałbyś, o czym mówię. Machał nożem lepiej od fachmanów z cyrku Bolszoi.

Wroński odebrał majorowi dokument, prędko przeczytał jego treść.

— Chyba pora — powiedział, patrząc przełożonemu prosto w oczy.

— Pora na co?

— Jacek, nie udawaj głupszego niż jesteś. Czym się zajmował denat? Przecież nie zginął tylko dlatego, że jakiejś babeczce należycie nie dogodził.

— Niczym się nie zajmował. Przecież mówiłem. Musiał zrobić coś na własną rękę... Może chciał dorobić?

— Daj spokój. Z kogo chcesz zrobić balona? Uśpieni agenci nie

dorabiają. Powiedz, czym się zajmował teraz i przedtem.

— Różnymi sprawami. Pracował w departamencie długo, przez jego ręce przeszło tysiąc dochodzeń.

— Przestań! Czym się zajmował, zanim przeszedł w stan nieczynny!  
— ostatnie słowa zgrzytnęły w głowie niemiłym pogłosem. Michała nasza refleksja, że w zaistniałej sytuacji określenie „stan nieczynny” jest wyjątkowo brutalnie adekwatne. — Nad czym pracował? To może być ważne.

Bzowski myślał przez chwilę, a potem zniemacka uderzył pięścią w stół.

— Cholera ciężka! Muszę być naprawdę zmęczony, że nie pokojarzyłem!

— Ostatnio było dużo pracy. Też mi się zdarzają dziury w myśleniu.

— Gównu mam we łbie, nie szarą masę!

— Tego nie wiem — rzekł niecierpliwie Michał — trzeba by cię dać na tomograf do zbadania. Mów wreszcie, co robił ten facet.

Major zamilkł, długo patrzył na Wrońskiego. Porucznik już miał go ponaglić, kiedy padły słowa wypowiedziane poważnym, ciężkim tonem:

— Parę lat wcześniej grzebał się w aferze „Żelazo”.

Michał wypuścił ze świstem powietrze.

— Zatkano cię — Bzowski uśmiechnął się krzywo. — Nie bój się. Mnie też, kiedy sobie to uświadomiłem.

— Jesteś pewien?

— Idiotyczne pytanie. Jak tu siedzisz. Badał jeden z ważniejszych wątków sprawy.

— Jaki?

— Dowiesz się w swoim czasie. Ale dostał do rozpracowania jedno z najważniejszych zagadnień.

— Jeśli jego śmierć wiąże się z tym właśnie, mamy niezły pasztet.

— Dodaj: jeszcze jeden niezły pasztet. Obyśmy się nie udławili.

## 7.

Michał obudził się nad ranem. Spojrzał na zegarek. Fosforyzujące wskazówki pokazywały wpół do czwartej. Skrawek nieba za oknem, widoczny ponad koroną wysokich skał nieco poszarzał, zapowiadając nadejście dnia. Wroński z westchnieniem przewrócił się na drugi bok, zamknął oczy, próbował przywołać kolorowe obrazy, choć doskonale wiedział, że już nie zaśnie. Kłębowisko niechcianych, natrętnych myśli sprawiło, że uchylił powieki, oddał się refleksjom. Wiadomość, że zamordowany zajmował się tą samą sprawą, nad którą od dwóch miesięcy pracowali z Bzowskim, poraziła go i przeraziła jednocześnie. Z drugiej strony przecież powinien się czegoś podobnego spodziewać, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia. Wlokąca się sprawa zaczęła zniecka nabierać tempa. Afera „Żelazo”... Słynne niesławne przedsięwzięcie komunistycznych służb specjalnych. Aferą nazwano je dopiero w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy pękł nabrzmiały wrzód. Przedtem była to po prostu akcja o kryptonimie „Żelazo”. Wywiad PRL podjął działania w celu pozyskania funduszy na finansowanie własnej pracy. Taka zwyrodniała odmiana samorządności. Pomysł zyskał akceptację, a nawet poklask tak zwanych czynników miarodajnych i machina ruszyła na początku lat siedemdziesiątych. Sama idea nie była czymś szczególnie wyjątkowym czy niespotykanym w innych agenturach. W końcu wywiady całego świata mają tendencję do odrywania się od twardych oficjalnych struktur, podejmowania własnych inicjatyw. Tu jednak było coś więcej. Ludzie związani z „Żelazem” mieli za zadanie wchodzić w struktury grup przestępczych w krajach Europy Zachodniej, organizować napady na sklepy jubilerskie, galerie, a nawet banki. Posługiwano się każdą dostępną metodą, aby zdobyć fundusze — były nie tylko zwykłe napady, ale i zabójstwa. Faktem jest, że łupy z działalności „ludzi z Żelaza” były naprawdę pokaźne. Na tyle, żeby zainteresować pierwszego sekretarza Gierka, towarzysza Grudnia i innych oficjeli. W efekcie, zdobycze przekazywano nie tyle na pracę wywiadowczą, co w dużej części do partyjno-rządowego sklepiku dla zaufanych, gdzie — okazując odpowiednie zaświadczenie —

można było dostać lub nabyć za bezcen wartościowe przedmioty i dzieła sztuki. Sporą część łupów rozkradli pracownicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Dopiero po kilku latach od formalnego zakończenia akcji zaczęły wychodzić na jaw różne brudy. Jednak są sprawy, o których nigdy nie powiedziano słowa, a Michał w ciągu ostatnich miesięcy mógł sobie wyrobić zdanie na ten temat.

Wykonawcami „Żelaza” byli zasadniczo bracia Janosz. Trzech gotowych na wszystko, bezgranicznie chciwych i bezwzględnych pracowników wydziału pierwszego. Akta ich spraw i raporty zajmowały dwie półki w archiwum, a Wroński zdawał sobie sprawę, że to nie wszystkie zgromadzone w sprawie materiały. Ile bracia zagarnęli dla siebie, tego dokładnie nie wiadomo. Był nawet w telewizji program poświęcony aferze. Zresztą może bardziej właśnie Janoszom i ich udziałowi niż zagadnieniu jako takiemu. Wszyscy trzej mieszkali w Bielsku-Białej, trzęśli miastem, byli najsilniejszą i najbardziej wpływową rodziną na tym terenie. Michał oglądając materiał filmowy był jeszcze zwyczajnym funkcjonariuszem policji. Z zapartym tchem i obrzydzeniem słuchał rewelacji o działalności braci Janosz, o zuchwałych napadach, morderstwach, kradzieżach, o tym jak byli chronieni przez wysokich oficerów służb specjalnych. Nie mieściło mu się w głowie, że można ze stoickim spokojem i wręcz dumą opowiadać o popełnianych zbrodniach. Komisarz miał przecież do czynienia z różnymi przestępcami, czasem patologicznymi i budzącymi odruch wymiotny, ale Janosze bili wszystkich na głowę. Mówili dużo, szczególnie jeden, o twarzy złośliwego gnoma i zimnych oczach psychopaty. Z każdego wypowiedzianego przezeń zdania biła zarówno buta, jak i głupota. Nic dziwnego — żeby dokonywać podobnych zbrodni i spać potem spokojnie na stare lata, nie można mieć zbyt wybujałej inteligencji. Jednak już wtedy w podejrzliwym gliniarzu obudziły się wątpliwości. A kiedy poznał metody pracy i procedury wywiadowcze i kontrwywiadowcze, sceptycyzm pogłębił się jeszcze bardziej. Gdy zaczęli prace nad rozgryzieniem pewnych tajemniczych aspektów akcji „Żelazo”, było to jedno z pierwszych pytań, jakie zadał majorowi.

— Dlaczego ci ludzie mogli tyle powiedzieć telewizji? Przecież tajemnica takich działań obowiązuje chyba na zawsze? A przynajmniej na ładnych kilkadziesiąt lat?

Bzowski nie odpowiedział. Z nieco prowokującym wyrazem twarzy patrzył na Michała. Ten domyślił się, że powinien sam dojść do właściwych wniosków.

— Oni byli tylko przykrywką? Pozwolenie na rabunki i zabijanie, zdobywanie funduszy nie było właściwą treścią akcji? „Żelazo” miało drugie dno? A może i trzecie?

— Jesteś na dobrej drodze. Myśl i kombinuj. Nie będę dawał podpowiedzi, żeby cię nie zbić z tropu.

— Jakiego tropu?

— Właśnie o to chodzi, panie poruczniku. Zajmujemy się zazwyczaj sprawami, w których wiele rzeczy jest niedopowiedzianych. W których trzeba włączyć nie tylko inteligencję, ale też intuicję. Twoje drogi rozumowania mogą być inne, niż moje. Może się okazać, że tylko jeden z nas ma rację, niekoniecznie właśnie ja.

— Ale mogę przyjąć za pewnik, że przestępcza działalność, zbieranie pieniędzy i kosztowności to tylko pozór?

— Powiedzmy, że produkt uboczny. Pożądany i potrzebny, co zrozumiałe, ale bez niego akcja toczyłaby się po prostu na innych płaszczyznach.

— Czytałem, że akcji nadano kryptonim „Żelazo” właśnie dlatego, że miała na celu zbieranie złota i kosztowności. Ale... — zawiesił głos.

— Ale coś ci w tym nie pasowało?

— Właśnie. Żelazo niewiele ma przecież wspólnego z cennymi wyrobami jubilerskimi. Kojarzy się z zupełnie innymi rzeczami.

— Właśnie. Ale teraz nic nie mów. Poczytaj dokumenty, zastanów się dobrze. Przyjdzie czas, wtedy pogadamy. Stare sprawy mają to do siebie, że możemy sobie pozwolić na komfort długich przemyśleń.

Mogli. Jeszcze tydzień temu. Ale przyszedł meldunek od Łazarza — denuncjacja dotycząca komendanta posterunku w Bolkowie. W Bzowskiego jakby piorun strzelił. Nic dziwnego. Przecież w Bolkowie mieszkał jeden z uczestników akcji „Żelazo”, ówczesny współpracownik Janoszów, Aleksander Walas, w przestępczym środowisku nazywany „Saszka”. Jedną trzecią sześćdziesięcioletniego życia spędził w zakładach karnych. Właśnie tuż po wyjściu z więzienia w siedemdziesiątym drugim roku został zwerbowany do napadów w Niemczech. Bezkarne rozbijał się drogami samochodami, dokonywał na własnym terenie zuchwałych



napadów, miał na koncie kilka zgwałceń. Ile razy próbowała go zgarnąć milicja i postawić konkretne zarzuty, zawsze wychodził najdalej po czterdziestu ośmiu godzinach, po interwencji wysokiego urzędnika MSW. Ochrona skończyła się dopiero po kilku latach. Z jakichś powodów Saszka wycofał się albo został usunięty z przestępczej spółki. Nie trzeba było długo czekać, żeby trafił za kraty. Współwięźniom opowiadał niestworzone historie o wielkich napadach w Niemczech, Austrii i Francji. Jednej rzeczy tylko nigdy nie zdradził — kto był prawdziwym mocodawcą, do kogo trafiały zrabowane pieniądze, precjoza i kosztowności, kim był tajemniczy protektor. A potem uspokoił się, jakby coś mu przeskoczyło w mózgu. Przestał popełniać pospolite przestępstwa. Zajął się za to kontrabandą. Nic mu nie można było udowodnić, nigdy w jego mieszkaniu ani melinach nie odnaleziono trefnego towaru. Najwyraźniej ktoś dobrze poinformowany za każdym razem potrafił go w porę ostrzec przed nalotem. Policja nie lubi takich spraw. Trzeba się napracować, a wyników żadnych. Tacy jak Walas zawsze znajdują się na celowniku, ale działania organów ścigania ograniczają się zazwyczaj jedynie do obserwacji na zasadzie „a nuż kiedyś mu się noga powinie”. Jednak kontrwywiad miał swoje informacje dotyczące Saszki. Oczywiście nie dzielił się nimi z policją, ale bolkowski przestępca zawsze znajdował się w polu zainteresowania kilku departamentów.

Informacja od Łazarza uaktywniła przełożonych Wrońskiego. Jeśli obca agentura zadała sobie trud, by posadzić swojego człowieka w miejscu zamieszkania takiego figuranta, trzeba było jak najszybciej zareagować. Stąd desperackie na pozór zagranie z aresztowaniem Michała. Dzięki niemu zyskali pewność, że komendant Piwnicki jest rzeczywiście wywiadowcą. Wszystkie opowieści o jakichś papierach czy dokumentach, żądania ich zwrotu miały na celu jedynie zdezorientować aresztowanego szpiega. Bardziej interesujące byłyby jego własne meldunki czy notatki.

Michał zapadł w płytką drzemkę. Przed oczami pojawiła się zacięta twarz wywiadowcy. Co wie? Czy naprawdę pracuje dla polskiej agentury? A może to wszystko tylko gra? O tej przedrannej porze nie znajdzie odpowiedzi na nurtujące go wątpliwości. Trzeba będzie wreszcie pogadać z Jackiem szczerze i od serca. Dość zabawy w

błądzenie po omacku.

\*

— Witaj, Jefimie Piotrowiczu. Ile to już lat się nie widzieliśmy?

Pytanie poderwało na równe nogi człowieka o posturze emerytowanego zapaśnika wagi ciężkiej. Odwrócił się błyskawicznie, mierząc z pistoletu do niewyraźnej postaci w kącie.

— Refleks, widzę, dopisuje jak dawniej. Zawsze podziwiałem, z jaką szybkością umiałeś wydobyć gnata.

— Kim jesteś? — głos zapaśnika drżał lekko.

— Duchem z przeszłości, Jefimie. Przyszedłem odebrać depozyt.

— Jaki depozyt?

— Nie udawaj durnia, przyjacielu. Gdzie trzymasz dokumenty? Te najtajniejsze, o których nie powiedziałbyś nawet swojemu idolowi, jego wysokości Putinowi?

Mężczyzna ociągnął kurek pistoletu.

— Wynoś się. Spieprzaj, bo palec może mi się omsknąć. Nie te lata, coraz łatwiej o przypadek.

— Lepiej nie, przyjacielu drogi. Widzisz, jeśli strzelisz, wylecimy w powietrze razem z połową kamienicy. Znasz mnie przecież. Uważasz, że wlażłem w lwią paszczę bez zabezpieczenia? A może zapomniałeś już, co potrafi stary Łazarz?

Jefim odetchnął głęboko.

— Nie zapomniałem. Ale fatygowałeś się do mnie na próżno. Nie mam tego, czego szukasz.

— Masz, jestem pewien, że masz. Taki stary wywiadowca nigdy nie pozbywa się ważnych dokumentów. A już na pewno nie takich papierów.

— Chyba że stają się zbędne albo zbyt niebezpieczne, aby je trzymać.

Łazarz wyszedł z cienia, stanął w kręgu światła małej nocnej lampki.

— Nie wciskaj mi kitu, Rusku — warknął. — Co stało się zbędne? Obligacje banku szwajcarskiego? A może kwity na klucze do skrytek w londyńskim „Royalu”? W to jeszcze może bym, uwierzył, chociaż dopiero po katastrofie nuklearnej. Ale dokumenty, o które pytam nie podpadają pod pojęcie zbędności. Mnie nie obejdiesz marnymi tekstami jak byle policaja!

— Nie stały się zbędne. Ale ich posiadanie w pewnej chwili mogło

się okazać bardzo niebezpieczne. Myślisz, że tylko wy mieliście weryfikację i reorganizację resortu? U nas była dopiero zabawa. Tyle że po cichu. Cudem uniknąłem łagru. Cudem i...

Łazarz wyszczerzył zęby we wściekłym grymasie. Rosjanin zamilkł.

— Sprzedałeś nie swoją własność, żeby ratować skórę? Pierdolony enkawudzisto!

— Grzeczniej — warknął Jefim. — Bo mogę chcieć wypróbować, czy naprawdę masz w dłoni wyzwalacz.

— Jak chcesz. Nas rozpieprzy i spokój. Ale pamiętaj, że masz rodzinę w Omsku. Ukochaną córeczkę i wnuczki, słodkie maleństwa. A ja, jak pamiętasz, nigdy nie działałem sam.

Rosjanin zbladł.

— Grozisz moim bliskim?

— A co myślałeś? Że aby cię skłonić do współpracy każę moim ludziom wysadzić waszą ambasadę? Jeśli nie wrócę od ciebie w ciągu czterech godzin i nie puszcze sygnału gdzie trzeba... sam już wiesz, co się stanie. Z kolei jeśli nastąpi wybuch, zdarzy się to jeszcze wcześniej. To jak? Może odłożysz spluwę i pogadamy jak starzy kumple?

Jefim drżącą ręką położył pistolet na stoliku do kawy.

— Brawo — powiedział Łazarz. — Rozsądna decyzja. Ale nie nazbyt rozsądna.

Rozległ się syk przypominający odgłos dartego materiału. Rosjanin ze zdumieniem spojrzał na swoją pierś. Po prawej stronie sterczała maleńka strzałka. Poczuł, że całe ciało ogarnia odrętwienie. Chciał rzucić się do stolika z bronią, ale zamiast tego poleciał bezwładnie do przodu, wyrznął głową w podłogę.

— No — sapnął z zadowoleniem Łazarz — teraz dostąpisz błogosławieństwa spowiedzi. Nie będzie wprawdzie rozgrzeszenia, ale za to pokuta, jaką przygotowałem, powinna zmazać sporą część twoich licznych grzechów.. Mamy sporo czasu, nigdzie nam się nie śpieszy, zdążysz przygotować się na wizytę u Pana Boga.

— Działasz sam, prawda? Nie ma żadnych pomocników, inaczej niż w dawniej — wykrztusił z trudem Jefim. — Skurwysynu... nawet swoi się na tobie poznali...

— Tak. Ale jeszcze nie wiedzą, na co mnie naprawdę stać. Żaden z tych dupków, którzy teraz trzęsą kontrwywiadem, nie ma pojęcia, co

wyprawialiśmy w naszych najlepszych czasach. A zupełnie sam nie jestem. Zbyt długo żyję, żeby się naprawdę nie zabezpieczyć. Szkoda, Jefimie Piotrowiczu, że przestaliśmy grać po jednej stronie. Ty pewnie też żałujesz?

Rosjanin milczał. Środek obezwładniający nie pozbawił go wprawdzie możliwości mówienia, ale nie widział powodu, aby odpowiadać.

— A jeśli jeszcze nie żałujesz — ciągnął Łazarz — teraz powinieneś zacząć. To będą najdłuższe chwile w twoim życiu. Postaram się, żeby każda minuta wydała ci się dniem, a każda godzina miesiącem. Chyba że od razu powiesz mi gdzie masz to, czego szukam.

Jefim odpowiedział grubym przekleństwem.

\*

Bzowski wtargnął do pokoju Wrońskiego bez pukania.

— Wstawaj! — potrząsnął porucznikiem. — Obudź się!

— Co się stało? — Michał tarł oczy. Zasnął dopiero kiedy na dworze zrobiło się całkiem jasno. — Pali się? Dałbyś pospać.

— Wstawaj, do cholery! Nie jesteśmy na wczasach.

Wroński zwłókł się z łóżka. Major wyglądał na zdenerwowanego, może nawet przestraszonego.

— Ktoś umarł?

— Jakbyś zgadł. Wczoraj wopiści znaleźli ciało tuż za przejściem na czeską stronę.

— Ktoś znajomy?

— Cholernie znajomy. Mirek...

Michał w pierwszej chwili nie zrozumiał. Przecież Mirek powinien przebywać w Pradze, Berlinie albo okolicach Stuttgartu. Powinien szukać kontaktów, starać się pozyskać jakieś niezmiernie ważne informacje.

— Rany boskie — porucznik usiadł ciężko na łóżku. — To pewne?

— Pewne. Niestety. Zwłoki zostały zidentyfikowane po liniach papilarnych. Bo twarzy nie szło poznać. Zmasakrowana, wszystkie zęby wybite. Ciało nosi ślady tortur... Przypalali go prądem, był traktowany palnikiem acetylenowo-tlenowym. Na języku kiepowali mu papierosy, miał zmiżdżone jądra...

Umilkł nagle, jakby w gardle utkwiała mu wielka kula.

— Kto to mógł zrobić? — spytał Michał zduszonym głosem.

— Jak się dowiem, osobiście urwę łeb z płucami. Żywcem urwę jaja!  
— Major zacisnął dłonie w pięści, wzrok mu się zamglił mieszaniną żalu i nienawiści.

Bzowski pracował z Mirkiem od samego początku. Byli prawdziwymi przyjaciółmi, takimi, jakich przedstawia się czasem w dętych filmach o wojnie i honorze. Jednak w życiu nie było to takie pretensjonalne jak na ekranie. Zresztą Mirek nadawał się na przyjaciela jak rzadko kto. Także Michał przylgnął do niego, tym bardziej, że doświadczony kolega w pierwszym okresie ojcował mu i pomagał we wszystkim, cierpliwie wyjaśniał szczegóły dotyczące procedur, uczył pisać regulaminowe raporty, tak inne od tych, do jakich Wroński nawykł w policji. Samotnemu człowiekowi, rzuconemu w nowe miejsce i okoliczności podobna pomoc była potrzebna niczym woda i powietrze. Tym bardziej, że Mirek robił wszystko ze zwykłej życzliwości. Nie było w nim nic z wyrachowania wytrawnego kontrwywiadowcy. Oczywiście tylko w prywatnych relacjach. Kiedy zaczynała się robota, z miejsca zmieniał się w czujnego drapieźnika, stawał prawdziwym wilkiem, doskonale zorientowanym w gąszczu agenturalnych spraw i powiązań. Takiego doświadczonego i ostrożnego człowieka trudno było usidlić i pokonać.

— Afera „Żelazo” wciąż zbiera śmiertelne żniwo — mruknął Michał.  
— Stara sprawa, a od wczoraj mamy już dwie ofiary.

— Stara? — major spojrzał przytomniej. — Może i stara. Ale bynajmniej nie przebrzmiała.

Znów zamilkł, a Wroński czekał cierpliwie. Czuł, że za chwilę padną ważne słowa. Bzowski zbierał myśli, usiadł przy stoliku pod oknem, bębnił palcami w blat.

— Stara sprawa — powtórzył. — Ale to nie znaczy, że umarła, zakończyła się wraz z karierą Gierka, Szydły i Grudnia, że podsumowano ją dochodzeniem w MSW i pogrzebano w archiwach. Jeszcze dwa tygodnie temu sam byłem przekonany, że badamy trupa. Co ja mówię, kilka dni temu! Pamiętasz? Na samym początku mówiłem, że mamy czas, że się nie pali, bo grzebiemy się w przebrzmiałych rewelacjach. A tutaj popatrz, ruszyliśmy najwyraźniej gniazdo os.

— To jest właśnie to drugie albo i trzecie dno „Żelaza”? Akcja nie skończyła się z erą gierkowską, przetrwała Jaruzela, Rakowskiego i

wybuch wolności, cały czas pracowały odpowiednie tryby i trybiki? O to chodzi? Ktoś wciąż realizuje założenia z początku lat siedemdziesiątych?

— Akcja „Żelazo” ma dłuższą historię...

— Wiem — przerwał Michał. — Czytałem przecież akta. Pomysł pojawił się w latach sześćdziesiątych. Wywiad na gwałt potrzebował pieniędzy. Gomułka po cichu ograniczał im fundusze, nie miał zaufania do własnego aparatu...

— Daj spokój — teraz major wpadł w słowo Wrońskiemu. — Pieprzenie. Wywiadowcy zawsze narzekają na trudności finansowe. Chcieliby, żeby osiemdziesiąt procent dochodów państwa przekazywano na ich działalność. Gomułka przyklepał plan akcji, bo pasował mu ekonomicznie i ideologicznie. Ale wiesz, jak z nim było: panicznie bał się towarzyszy ze wschodu, nie miał odwagi podjąć działań bez ich akceptacji. Z kolei Rosjanie powiadomili o doskonałym polskim pomysłem Niemców...

Bzowski przerwał, wstał, szybko podbiegł do drzwi i otworzył je.

— Pusto — stwierdził. — Ale to nie jest rozmowa na pokój hotelowy. Wyjdźmy na zewnątrz.

— A co z ciałem Mirka? Nie powinniśmy go obejrzeć?

— Przewieźli już zwłoki do Warszawy. Nasi nie zdążyli powiadomić delegatury we Wrocławiu, że jesteśmy w pobliżu. Nie zdążyli — dodał — albo ktoś u nas ma kłopoty z kojarzeniem. Musimy czekać na helikopter. Dzwoniłem do Wałbrzycha. Będzie za godzinę albo dwie.

Wyszli przed schronisko. Major skierował kroki ku stawowi. Stanęli obok siebie, a Bzowski podjął.

— W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym niedaleko stąd, w Białym Jarze... wiesz gdzie to jest? — na widok pełnej politowania miny podwładnego uśmiechnął się słabo. — Pewnie, że wiesz. Przecież jesteś z Dolnego Śląska. W sześćdziesiątym ósmym lawina pogrzebała tam kilkanaście osób.

Zapatrzył się w wodę, bezwiednym ruchem przygładził włosy na czubku głowy. Niepotrzebnie, bo były nienagannie przyczesane. Wroński zawsze z pewną zawiścią patrzył na przystojnego, zawsze starannie ubranego i uczesanego szefa. Nawet po awanturze w podziemiach Oleśnicy prezentował się lepiej niż niejeden elegant przed wyjściem do kościoła.

— W istocie rzeczy szły wtedy trzy wycieczki. Dwie zagraniczne, tak zwane młodzieżowe blisko siebie, a może nawet razem, a za nimi grupa polska. Polacy patrzyli bezradnie jak schodzi lawina, kamienie przysypują tych, którzy wysforowali się do przodu. Tak to wygląda oficjalnie. Niebawem pojawili się ratownicy z GOPR-u. Jednak długo nie popracowali, bo zaraz przybiegli żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza. Zabezpieczyli teren, przegonili ratowników i sami wzięli się za odgrzebywanie ludzi.

— Niesamowite! Przecież w ten sposób nie dali im praktycznie szans na przeżycie!

— Nikomu nie dali szans. Akcja była prowadzona tak, żeby nikt obcy nie przeszedł przez kordon. To było ważniejsze niż ratowanie ofiar. Zaczynasz coś rozumieć?

— Słyszałem o tej tragedii — odparł z namysłem Michał. — Ale w nieco innej wersji niż opowiadasz. W całkiem innej, jeśli mam być ścisły. Dwie zagraniczne wycieczki, mówisz? Z tego, co usłyszałem przedtem i wyczytałem w aktach mogę przypuszczać, że jedna była złożona z obywateli radzieckich, a druga niemieckich.

— Właśnie. Oczywiście zginęło także kilku Polaków.

— Mam rozumieć, że w tych górach, w „Samotni” albo „Strzesze Akademickiej” odbyło się spotkanie w sprawie uzgodnień dotyczących akcji „Żelazo”?

— Masz tak rozumieć. Akcji „Żelazo” takiej, jaką znamy, ale także ustalono szereg innych spraw, o których do niedawna nie mieliśmy większego pojęcia.

— Mam też przypuszczać, że lawina nie była przypadkowa? Wywołano ją specjalnie?

— Możesz tak przypuszczać, ale pomyśl logicznie. Jakich trzeba środków i umiejętności, aby sprowokować lawinę tak, by spadła dosłownie w punkt?

— Więc co? Jak to zrobiono?

— Myśl, poruczniku, myśl!

— Czekał... Polski wywiad nie miał ochoty dzielić się pomysłem z przyjaciółmi, tego jestem pewien. Musieli się spotkać z delegatami agencji Niemiec i ZSSR, bo taki dostali rozkaz z góry. Musieli pójść na ustępstwa podczas rozmów, narad i przepychanek. Z jakiegoś powodu

byli bardzo niezadowoleni z wyników pertraktacji. Załatwili więc rzecz tak, aby nikt nie mógł się oficjalnie przyczepić.

— Dobrze kombinujesz. Ciepło, ciepło...

Michał na chwilę zapomniał o żalu po śmierci Mirka, bowiem z całą siłą dotarło do niego, jakie może być wytłumaczenie katastrofy.

— Strzały! Tam doszło do strzelaniny! Pytanie tylko czy strzelali wszyscy do wszystkich, czy...

— Z polskiej grupy nikt nie zginął ani nie był ranny.

— Możemy więc przyjąć, że to nasze służby postanowiły wykończyć Niemców i Rosjan.

— Zgadza się. A lawina zeszła przy okazji, znacznie ułatwiając im robotę.

— No dobrze — twarz Michała ściągnęła się. Przypomniał sobie o ostatniej tragicznej wiadomości. — Właśnie. Ale przecież takie akcje jak „Żelazo”, które znamy, to w sumie nic szczególnego. A to oznacza...

— A to oznacza, o czym już wspominałem, że w tej całej aferze chodziło jeszcze o coś innego. O to, co nazwałeś drugim dnem.

— I trzecim.

— I trzecim — powtórzył major. — Z tym, że jest jeszcze coś... coś w tej chwili najważniejszego.

Usłyszeli warkot, znad krawędzi skał wyskoczyła pękata sylwetka śmigłowca.

— Pośpieszyli się — mruknął Bzowski. — Widocznie ktoś z centrali kopnął w tyłek wrocławską delegaturę. Dokończymy rozmowę później.



## 8.

Komisarz Piwnicki był wściekły. Starał się, żeby nie było po nim znać emocji, ale nie bardzo mu wychodziło. Michał widział doskonale, jak aresztantowi pobieleły kostki zaciśniętych pięści, mógłby przysiąc, że usłyszał zgrzytanie zębów.

— Powinienem już dawno odzyskać wolność — rzekomy policjant mówił z tłumioną wściekłością. — Od dwóch dni przetrzymujecie mnie już nawet nie bezprawnie. Bezprawie było od początku. Ale teraz to zwyczajna szykana! Kontrwywiad...

— Kontrwywiad, drogi panie — nie pozwolił mu dokończyć Bzowski — działa tak, jak podpowiada interes państwa. Nie ma sensu tak się ciskać. Rzeczywiście, jakby zapomnieliśmy o panu ostatnio...

— Jakby zapomnieliście?! — Piwnicki nie starał się już ukryć gniewu. — A co się stało? Rosja wypowiedziała wojnę Ameryce czy odwrotnie? A może mieliśmy zamach stanu i rząd się zmienił? Moim skromnym zdaniem pamięć wam szwankuje, bo za dużo chłacie i gracie w karty zamiast robić, co do was należy!

Major milczał, czekając aż aresztant nieco się wyładuje i uspokoi. Komisarz mówił jeszcze chwilę, jednak dostrzegł, że jego słowa przepływają obok oficerów, jakby ich zupełnie nie dotyczyły. Właściwie powinno go to dodatkowo rozzłościć, ale zamiast tego skłoniło do refleksji. Aż do dzisiejszego dnia podczas rozmów zachowywali się zupełnie inaczej, jego protesty i żądania uwolnienia zbywali znaczącymi uśmiezkami, kpinami, a szczególnie celował w tym major. Ten sam major, który siedział teraz z ponurą miną, czekając aż zatrzymanemu rozładują się akumulatory rozdrażnienia.

— Co się właściwie stało? — Piwnicki zmienił nagle ton, stał się spokojny i rzeczowy.

— Potrzebne nam wszystkie informacje, jakie udało się panu zebrać na temat Aleksandra Walasa. Nie mamy teraz czasu sami się z tym bawić.

— Skąd wam przyszło do głowy, że obserwowałem kogoś takiego? I kto to w ogóle jest?

— Teraz to już trochę pan przesadził z zawodową ostrożnością —

odezwał się Michał. — Szef policji w małym mieście najdalej po tygodniu powinien znać nazwiska najgroźniejszych lokalnych szumowin. Nawet takich, które pozostają w stanie spoczynku albo zdają się przebywać na przestępczej emeryturze.

— No dobrze — odparł niechętnie Piwnicki. — Ale dlaczego miałbym specjalnie obserwować akurat Saszkę? Myślicie, że wysłano mnie do Bolkowa, żebym się zajmował starym złodziejem?

— Myślmy, że został tam pan oddelegowany, żeby pilnować wszystkiego, co wiąże się z wykopkami pod Wzgórzem Ryszarda. Proszę nie zaprzeczać, bo to bez sensu. Nas zupełnie nie interesuje sprawa tej góry, chyba żeby wiązała się z naszym dochodzeniem, a to nie wydaje się prawdopodobne. Bardziej rusza nas kompleks zamkowy. Ale przede wszystkim jednak Saszka. To niezmiernie ciekawa postać. Maczał swego czasu palce we wszystkich większych przestępstwach na tamym terenie... i poza nim.

— Rozumiem — uśmiechnął się Piwnicki — a was bardziej interesuje oczywiście to, co robił poza...

— Nas najbardziej interesuje z kim się spotykał w ostatnim czasie — powiedział Bzowski zmęczonym głosem. — Czy pojawił się w jego otoczeniu ktoś nowy, czy wyjeżdżał z miasta na dłużej lub krócej... wszystko.

— I uważacie, że udostępnię wam dane operacyjne?

— Bardzo byśmy byli wdzięczni.

— Nie wątpię. Ale nie widzę powodu, żeby współpracować z kimś, kto mnie potraktował jak zwykłego szpiega.

— Daj pan spokój — Wroński miał już dość sztucznej uprzejmości. — Koniec końców okazało się przecież, że pracuje pan dla wywiadu!

— Ale polskiego.

— Ale wywiadu. Nie chce pan przypadkiem wiedzieć, dlaczego Łazarz nam pana wystawił?

— To podobno wasz pracownik. Powinniście się doskonale orientować...

— Nasz pracownik, ale teoretycznie pańskie osobowe źródło informacji. To gość, który gra nie na dwóch, ale na stu dwóch frontach.

Piwnicki zmierzył majora ostrym, taksującym spojrzeniem.

— Nie zapomnieliście o mnie, prawda? — to było bardziej

stwierdzenie niż pytanie. — Nie chciał mnie pan, majorze Jak-Się-Pan-Tam-Naprawdę-Nazywa, wypuścić przed dzisiejszą rozmową.

— Może pan tak myśleć.

— Proszę podać jeden powód, dla którego miałbym z wami współpracować.

Major zaciął zęby, na szczupłych policzkach wyskoczyły wężły mięśni.

— W ostatnich dniach zginęło trzech naszych ludzi. Tu obecny porucznik uniknął śmierci tylko dlatego, że uratował go kolega. Inaczej byłoby czterech. Nie mam ochoty tracić więcej pracowników. Chyba pan to rozumie?

— Oczywiście. Rozumiem też, że gotów jest pan użyć każdego podstępu, żeby wydobyć ze mnie informacje.

— Mogłem się tego spodziewać. Dobrze, w takim razie bardzo proszę — Bzowski rzucił na stół plik zdjęć. — Fotografie z miejsc zbrodni. Skutki działania miny kierowanej, następnie efekt użycia jakiegoś gadżetu służb kobiecych, a na deser ciało mojego przyjaciela, poddanego wymyślnym torturom.

Piwnicki wziął zdjęcia, zaczął je przeglądać. Widać było, że zrobiły na nim wrażenie. Szczególnie te pokazujące skatowane zwłoki Mirka. Podniósł wzrok na majora. Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Na dnie źrenic oficera kontrwywiadu były komisarz mógł dostrzec ból i straszne zmęczenie. To go przekonało bardziej niż poprzednie argumenty i fotografie.

— Muszę to uzgodnić z szefem — powiedział powoli, nie spuszczać wzroku z Bzowskiego. — A właściwie przekonać go, a to może nie być łatwe, nie wiem czy w ogóle okaże się możliwe.

— Oczywiście — kiwnął głową major. — Ale proszę się postarać. To nie byle co, mała przepychanka służb różnych krajów. Mamy problem na własnym podwórku, właśnie z Łazarzem. Ten facet dużo wie i dużo może, a przy tym jest bezwzględny i skuteczny. A poza tym muszę dopaść tych, którzy tak bestialsko potraktowali mojego podwładnego... przyjaciela... I tę, która poderżnęła gardło naszemu człowiekowi.

— Postaram się — Piwnicki wstał. — A teraz mogę już opuścić waszą kwaterę?

Bzowski bez słowa szerokim gestem wskazał drzwi.

— Tylko jedno pytanie do was obu — Piwnicki zatrzymał się z ręką na kłance. — Po co właściwie był ten cały cyrk w Bolkowie? Mogliście przecież załatwić to bardziej zwyczajnie.

— To proste — roześmiał się Bzowski. — Porucznik musiał zaliczyć sprawdzian działalności operacyjnej w warunkach bojowych. Wy też macie takie egzaminy, prawda? A jeśli przy okazji można załatwić jakąś ważną sprawę, tym lepiej. Michał zyskał nowe doświadczenie, a pan grubą wpadkę. Te wszystkie drobiazgi i pozorne niedopatżenia, których nie zauważyłby ktoś niewyczulony...

— Fajnie — roześmiał się Piwnicki. — Super metoda. Cudowna. Jest tylko jeden problem. W ogóle nie zwróciłbym uwagi na jakiegoś sztajmęsa w areszcie, gdybym nie został uprzedzony, że pojawi się podejrzany typ, najprawdopodobniej związany z obcą agenturą. Mam powiedzieć, kto mi dał cynk czy sami zgadniecie?

— Łazarz — powiedział Bzowski. — Żeby do tego dojść nie trzeba od razu pracować w departamencie wywiadu parapsychologicznego i mieć na usługach jasnowidza. Wystarczy posłużyć się logiką.

\*

Michał siedział w swoim ulubionym fotelu. Major wygnał go do domu. Zawsze twierdził, że najlepsze pomysły przychodzą jego podwładnemu do głowy w zaciszu mieszkania, w zupełnym spokoju. Na ławie stała butelka czeskiego czarnego piwa z Krušovic. Kiedyś Wroński nie przepadał za ciemnymi piwami. Kojarzyły mu się ze słodką, karmelową ciecżą, którą za grosze można było kupić w jednej z restauracji na Dworcu Głównym we Wrocławiu. Oczywiście była w ofercie jeszcze za komuny i niedługo potem, w początkach lat dziewięćdziesiątych. Napój ów charakteryzował się mocną pianą, mocnym zapachem i całkiem niezłym smakiem. Niezłym jednak tylko dla tych, którzy piwo traktowali jak gorzką oranżadę, przy każdej okazji psując szlachetny smak cukrem. Jeszcze jako uczeń liceum pijał dworcowe karmelowe, czując powiew dorosłości. Jednak potem zaczął pogardzać podobnymi wybiegami. Zasmakował w prawdziwym nektarze chmielowym. Kiedy to było? W klasie maturalnej czy ciut wcześniej? Do piwa trzeba dojrzeć, odnaleźć w nim smak i przyjemność. Wiele razy widział młodzież popijającą z puszek, z wyrazem cierpienia na twarzach. Dla mody człowiek jest gotów na każde poświęcenie. Picie browarów jest

na topie, jest cool, więc trzeba je pić. Nieważne, że zawartość butelki albo puszki to podła lura zepsuta przez masową produkcję koncernów i tendencje do ujednolicania smaku. Nieważne, że piwo tej samej marki produkuje się w browarach o zupełnie innej nazwie, w różnych częściach kraju, nieważne, że zamiast brzeczkę zagotować, jak to robiono przez całą historię piwowarstwa, parzy się ją. Skutek może być tylko jeden — zamiast pianistego nektaru o smaku i zapachu przywodzącym na myśl rajskie rozkosze, powstaje szczyzna, w której można doszukać się odoru spirytusu. Michał przez jakiś czas podejrzewał, że do piwa dolewa się wysokooktanowego alkoholu, ale oświecił go pracownik jednego z dużych browarów... Nieprzyjemny posmak okazuje się zasługą parzenia brzeczki i dodawania różnych substancji, nawet syropu kukurydzianego. Porucznikiem aż wstrząsnęło na myśl o podobnym barbarzyństwie. Sięgnął czym prędzej po Krušovice, z lubością pociągnął łyk.

Mirek... natychmiast stracił całą przyjemność delektowania się ulubionym płynem. Mirek także był koneserem, uwielbiał piwo. Ładnych parę nocy zarwali degustując najróżniejsze rodzaje bursztynowego napoju. Mirek bardzo lubił piwo ze Zwierzyńca. Rzeczywiście miało w sobie coś z czeskich, ukraińskich czy litewskich unikalnych smaków. Stosunkowo nieduży browar w miasteczku pod Zamościem zyskał swego czasu europejską sławę za sprawą aromatycznego portera. Od dawna nie produkowano już tam ciemnych piw, ale jasne także było naprawdę przedniej jakości. „Pijmy go jak najwięcej — mawiał Mirek. — Diabli wiedzą, jak zacznie smakować jeśli browar przejmie większy konkurent. A przejmie prędzej czy później z całą pewnością, bo w tym kraju jak coś jest dobre, należy to jak najszybciej spieprzyć. Trzeba mieć o czym opowiadać wnukom. Chociaż... Czy nasze wnuki będą chciały słuchać opowieści starych alkoholików?”

Michał zacisnął mocno powieki. Przyjaciel nie chciałby, żeby po jego śmierci ktoś rozpaczał. Był pełen radości życia. Wrońskiemu często wydawało się wręcz niemożliwe, żeby tak pogodny człowiek pracował w którymkolwiek departamencie ponurego kontrwywiadu.

— Twoich opowieści wnuki już nie będą słuchać, przyjacielu — powiedział cicho do siebie. — Nawet gdyby bardzo chciały. Zostaną fotografie, może twoja żona wspomni im o dziadku. Ale jakie to będą wspomnienia? Cóż ona może wiedzieć o twojej pracy? Nawet się nie

domyśla, jak naprawdę zginął. Może to i lepiej, bo po co ma ją boleć?

Najlepsi fachowcy i balsamiści dostali polecenie doprowadzić zmasakrowane zwłoki do porządku. Więcej w trumnie będzie wosku i chemii niż ciała, ale rodzina pożegna się z ojcem przekonana, iż zginął w górach przebywając na delegacji czy firmowym szkoleniu, zależy jaką legendę przedstawił w domu na okoliczność tego wyjazdu. Podczas wyprawy odłączył się od wycieczki, zabłądził na osuwisko...

Lekarze sądowi odtworzyli dość dokładnie ostatnie chwile oficera. Oprawcy skatowali go wprost niewyobrażalnie. Śladów po nich zostało niewiele, a jeśli już, były zatarte, niemożliwie do odczytania. Jedynie na prawej dłoni denata znaleziono wyraźne odciski palców. Natychmiast poszły do ekspertyzy, a wyniki powinny być najdalej rano. Oczywiście, jeśli jest jakiś materiał porównawczy w bazie daktyloskopijnej laboratorium kryminalistyki. Rzeźnikom, którzy doprowadzili Mirka do takiego stanu nie wystarczyło, że pozbawili go zębów, genitaliów, odbili nerki, zmiażdżyli wątrobę. Po wszystkim pędzili nieszczęśnika kilka kilometrów w górach, żeby go dobić ciosami w potylicę i pogrzebać w oddalonym od turystycznych szlaków osuwisku. Mógł tam leżeć nawet miesiącami i latami, gdyby nie dwa fakty — po pierwsze coś spowodowało, że kamienie obsunęły się, odsłaniając ciało, po drugie od czasu do czasu zaglądali w to miejsce żołnierze straży granicznej podejrzewając, że w pobliżu mogą chodzić przemytnicy. To były rutynowe patrole, które wydawały się pozbawione głębszego sensu ze względu na wyjątkowe niebezpieczeństwo, jakie grozi w tym miejscu każdemu, kto odważy się zapuścić zbyt daleko po luźno usypanych kamieniach. Czasem takie wojskowe, strupieszające mogłoby się zdawać, nawyki mogą przynieść nieoczekiwany efekt.

Michał zacisnął pięści. Poczł podchodzącą do gardła wściekłość. Rodziła się gdzieś poniżej serca i pełzła ku górze gorącą, gorzką falą. To, co spotkało nieszczęsnego Mirka było prawdziwą Golgotą. Biedak idąc już umierał. Tak naprawdę agonia zaczęła się z pewnością w tym miejscu, gdzie go przesłuchiwali. Gdzie? Być może w jakimś schronisku po czeskiej stronie, może w jakimś domu po polskiej? Nieważne. Tak czy inaczej, wyprowadzili go w góry. Nie mieli litości.

— Kurwa mać — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Jak znajdę, zajebię bez zmrżenia oka!

Nie lubił kląć, niezmiernie rzadko używał wulgarnych słów. Wystrzegał się tego pracując w policji, żeby nie powielać utrwalonego przez filmy stereotypu gliniarza-chama, ale teraz, na wspomnienie udręczonego ciała przyjaciela, nie potrafił się powstrzymać. A poza tym był przecież zupełnie sam.

Kaci pewnie mieli wspaniałą zabawę, śmiali się i dogadywali patrząc na udręczonego, umierającego człowieka, który potykał się i przewracał, znacząc drogę kroplami krwi.

— Krew! — prawie krzyknął. — Rany, że też o tym nie pomyśleliśmy!

## 9.

Łazarz wysiadł z pociągu. Rozejrzał się, z lubością wciągnął zapach dworca. Nad nim rozciągała się stalowa, gęsto nitowana, przeszklona konstrukcja — projekt samego Eiffla. W całej Europie jest bodaj siedem dworców zbudowanych według planów opracowanych przez jednego z najsłynniejszych inżynierów w historii ludzkości. Jeden znajduje się właśnie we Wrocławiu.

— Witaj, Robercie — dobiegł z tyłu lekko schrypnięty głos.

Łazarz odwrócił się. Przed nim stał uśmiechnięty mężczyzna po sześćdziesiątce o bujnych, siwych włosach.

— Jak się masz, przyjacielu.

Uścisnęli się serdecznie.

— Co słysząc, Saszka? — Łazarz odgarnął niesforny kosmyk opadający na czoło.

— Gęsto się robi. Miałem ogon. Z pół godziny kluczyłem po mieście, żeby go zgubić.

— Ogon? — Miguła zmarszczył brwi. — Ale jaki? Wiesz, że jeden drugiemu nierówny. Kryminalny czy z wywiadu?

— Tego nie wiem nigdy do końca. Ale od dawna nie zajmuję się pospolitymi przestępstwami, więc...

Łazarz prychnął z niedowierzaniem.

— Nie no, poważnie! — pośpieszył z zapewnieniem Saszka. — Owszem, zdarzało mi się dawniej..

— Zdarzało ci się! — znów prychnięcie. — To eufemizm tego stulecia! Jeśli w ogóle wiesz, co to jest eufemizm.

Saszka poczerwieniał.

— Pół życia spędziłem w pierdłu — mruknął. — Dawniej nie było tam telewizji i różnych atrakcji. Mogłeś rznąć w karty, grać w szachy, nudzić się, trzepać kapucyna albo czytać. Ja właśnie czytałem.

— Nie denerwuj się tak zaraz — Łazarz klepnął kompana w plecy. — Ale musisz przyznać, że nie mogłeś wytrzymać tygodnia, żeby kogoś nie okraść, pobić, żeby nie zaczepić jakiejś dziewczuchy. Ile razy wyciągałem cię z dołków? A przecież miałeś forsy jak lodu odkąd



zacząłeś dla mnie pracować.

— To przez goudę — Saszka skrzywił się. — Od gorzały zawsze dostawałem małego rozumu. Teraz nie piję. A właściwie piję, ale dużo mniej.

— Zmądrzałeś, słyszałem.

— Wątroba — padła krótka odpowiedź. — Mam wybór: albo chlańsko i cmentarz, albo względna abstynencja i jeszcze parę lat życia.

— Zmieniłeś się. Kiedy ostatnio cię spotkałem? Ze trzy lata temu. Nie wiem tylko, czy to zmiana na lepsze...

— Nie jesteś zadowolony z wykonania ostatniego zlecenia?

— Nie do końca. Miałem cynk z biura, że znaleziono trupa. Mieliście go ukryć tak, żeby nikt...

— Czasem się tak zdarza. Ryzyko zawodowe. Pewnie kamienie się osypały. Może przelazł tamtędy jakiś jeleń, a może same z siebie.

Łazarz uważnie przyjrzał się twarzy Saszki.

— Nie mówisz mi wszystkiego — stwierdził nieprzyjemnym, syczącym tonem.

— Nie pieprz. Co miałbym ukrywać?

— Wiem co ukrywasz, Olek, wiem też dlaczego. Ale czasem należy powiedzieć prawdę. Mnie nie oszukasz. Nie na długo. A jeśli sprawa jest poważna, sam wiesz.

— Tak, tak — machnął ręką Saszka — Ręka, noga, dupa. Znam to na pamięć.

— To dobrze — uśmiechnął się Łazarz. — Takie rzeczy należy pamiętać.

Weszli do holu dworca. Dawniej jego przestrzeń była wypełniona ludźmi, wzdłuż galerii ciągnęły się rzędy ławek dla podróżnych. Jednak po remontach i renowacjach ta część kompleksu zupełnie zmieniła oblicze.

— Wolałem tak, jak było dawniej — Łazarz pociągnął nosem. — Pamiętasz zapach bigosu, króla dań wszystkich restauracji? Wiedziałeś nawet, z którego przeglądu chłodni pochodzi rzadkie mięsko, przypalona cebula i podła kiełbasa. Brakuje mi tego.

— Teraz jest o wiele ładniej — wzruszył ramionami Saszka.

Łazarz obrzucił wzrokiem przeszklone wystawy, sklepy i butki.

— Może i tak. Tu salon fryzjerski, tam kafeja internetowa, ciuchy,

płyty, wszystko czyściutkie i kolorowe. I zapach fast foodów. Ładnie, pięknie, tylko nie ma tej atmosfery. Kible pewnie też wyszorowane. Wtedy można było utonąć w gównie. A co parę metrów stały cichodajki. Za kilka złotych mogłeś liczyć na uczciwie zrobioną laskę, a za odrobinę więcej zakisiłeś jak należy ogóra i miałeś pełną satysfakcję.

— Razem z rzeźączką.

— A to już jak wypadło. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

— Teraz też można tu wyrwać dziewczynki. Trzeba tylko wiedzieć, w który rejon dworca pójść. A co, chciałbyś może...

— Daj spokój — Łazarz machnął ręką. — Za stary jestem, żeby się gzić po kątach. Ale założę się, że w promieniu paru kilometrów znajdzie się chyba jakiś burdel?

— Ze cztery. I to z bardzo porządną obsługą.

Łazarz rozejrzał się, pociągnął nosem, a na jego pokrytej drobnymi zmarszczkami twarzy pojawił się wyraz niesmaku.

— No to prowadź, mój cicerone. Zanim obgadamy sprawy, nim dostaniesz opierdziel, trzeba trochę spuścić z krzyża. Wiesz co lubię.

\*

Kiedy Michał dotarł do biura, zastał Bzowskiego zakopanego w teczkach.

— Kurna macana — powiedział na widok podwładnego. — Dobrze, że jesteś. Trzeba jechać na Mochnackiego. Tu masz dokładny adres. Jest tam już ekipa techniczna i policja.

— Co się stało?

— Trup. Przecież nie zespół pieśni i tańca z Grójca!

— Ważny trup?

— Zaskakujący. Były oficer FSB, Jefim Bałanow, dawniej rezydent KGB przy ambasadzie. Ostatnio formalnie zajmował się robieniem interesów. Wiesz, taki niby *nowyj ruskij*. Ropa naftowa, narkotyki i tak dalej. Mieliśmy go na oku, ale niezobowiązująco, bo zdawało się, że jest na szpiegowskiej emeryturze.

— Podejrzewasz kto go załatwił? Może to porachunki?

— To zawsze są porachunki. Mafijne, szpiegowskie, zupełnie prywatne, nieważne. A podejrzenia mam. Ale...

— Ale ci ich nie zdradzę — wyręczył go Wroński. — Jak zawsze. Mam dochodzić do samodzielnych wniosków.

— Właśnie.

— Nie jedziesz ze mną?

— Nie mogę. Minister zażądał raportu z postępów śledztwa. Nie rób takich oczu. Tego śledztwa, które prowadzimy. Coś mi się zdaje, że coraz więcej jest na rzeczy. Stary podobno łązi wściekły i przewraca krzesła. A ja muszę napisać co trzeba i jak trzeba.

— Współczuję.

— Nie współczuj, tylko zasuway na Mochnackiego.

— Jest tylko jedna sprawa. Chodzi o Mirka.

Bzowski uważnie wysłuchał, co Michał miał do powiedzenia.

— Jak tylko skończysz z tym Rosjaninem, przyjeżdżaj z wynikami. A ja już załatwię transport do Wałbrzycha i dalej.

— Znów helikopter! — jęknął porucznik.

— Nie narzekaj. Znam gorsze sposoby podróżowania.

Wroński wyszedł bez słowa. Przed bramą czekał już kierowca. Czarnym mercedesem pomknęli przez zatłoczone ulice. Szofer był jednym z tych cyrkowców, których zatrudnia się w ważnych państwowych instytucjach. Potrafił wcisnąć samochód tam, gdzie zdawało się to fizycznie niemożliwe.

— Nie wiem, ile panu płacą — powiedział Michał wysiadając. — Ale na pewno za mało.

Kierowca uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Spróbuję znaleźć miejsce gdzieś w pobliżu i przyjdę, żeby nie musiał pan mnie szukać.

— Bez pośpiechu. Pewnie mi trochę zejdzie.

Wszedł do chłodnej klatki schodowej. Mieszkanie numer siedem znajdowało się na drugim piętrze. Przed drzwiami stał młodziutki policjant o surowym wyrazie twarzy. Wroński machnął legitymacją. Chłopak najpierw odsunął się, zasalutował, ale zaraz przypomniał sobie o obowiązkach.

— Proszę okazać dokument jeszcze raz.

— A idź w cholere... — zaczął Michał, ale natychmiast przypomniały mu się czasy, kiedy zaczynał służbę w policji. Teraz był kimś nieporównanie ważniejszym i bardziej wpływowym od tego funkcjonariusza, ale przecież jeszcze nie tak dawno sam pracował jako zwykły glina. Owszem, oficer, ale co z tego. — Dobra, masz synku,

pooglądaj sobie.

Policjant rzucił okiem na zdjęcie, nazwisko, pieczętkę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, znów zasalutował i otworzył drzwi przed porucznikiem.

W mieszkaniu leniwie snuło się kilku techników. W powietrzu unosił się słodkawy odór. Jeden z ludzi w białym fartuchu podszedł do Michała.

— Cześć.

— Czołem, Adaś. Wyciągnęli cię z za biurka? To znaczy z za stołu laboratoryjnego?

To był Adam, który swego czasu zaryzykował karierę, żeby pomóc dawnemu koledze w prywatnym dochodzeniu dotyczącym serii morderstw. Wroński z ogromną ulgą przyjął wiadomość, że Bzowskiemu udało się potem zatuszować udział pracownika Centralnego Laboratorium Kryminalistyki w nielegalnym śledztwie.

— Czasem i mnie każą ruszyć tyłek. Szczególnie jeśli idzie o grubszą sprawę. Tak jak tutaj — wskazał brodą sąsiedni pokój. — Obywatel obcego państwa, poważny biznesmen...

— I były agent.

— To już ty powiedziałaś. Nie ma tego wypisanego na czole.

— Znaleźliście coś?

— Gdzie tam — Adam potrząsnął głową. — Fachowa robota. Żadnych wyraźnych śladów, co najwyżej jakieś smugi, plamy... Zebraliśmy trochę materiału, ale nie liczyłbym na zbyt wiele.

— Skończyliście? Mogę tam wejść?

— Chłopcy jeszcze pracują, ale możesz iść. Jeśli lubisz takie widoki...

Wroński skrzywił się. Podobno są ludzie, których bardzo kręci widok zmasakrowanych zwłok. Trzeba mieć straszliwie robaczywą duszę, żeby coś podobnego sprawiało przyjemność. Ale człowiek to istota pod tym względem niezwykle skomplikowana. Nigdy nie wiadomo, co siedzi w kimś, kogo mijasz na ulicy.

— Lubię nie lubię, muszę.

Wszedł do niedużego pomieszczenia. Było urządzone wygodnie i elegancko, ze smakiem. Antyczna komoda, pewnie z osiemnastego wieku, pianino Buergel z końca lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego stulecia. Tego Wroński był pewien, gdyż u jego krewnych stał identyczny

egzemplarz. Świeczniki, obrazy, lampa w rogu — wszystko stylowe, pachnące ekskluzywną starością i dolarami.

Jednak tym, co najbardziej uderzyło Michała były same zwłoki. Spodziewał się jatki, widoku podobnego temu, jaki przedstawiał trup Mirka. Powinny być bryzgi krwi, pocięte mięso, oznaki tortur. Sam nie wiedział do końca dlaczego, ale w jego umyśle te dwa morderstwa połączyły się w jedno. Tak, jakby podświadomie uważał, że obu dokonał ten sam sprawca. Tymczasem zobaczył w fotelu wzdęte rozkładem zwłoki półnagiego mężczyzny, ale poza paroma siniakami i rozcięciem na policzku nie mógł dostrzec niczego szczególnego. No i jeszcze wyraźnymi śladami strzałów w klatkę piersiową. Wokół szyi denata luźno zwisał pas materiału, obok fotela leżał skłębiony szmaciany gałgan.

— Trzy kule — powiedział Adam. — Wszystkie śmiertelne, tak przynajmniej twierdzi łapiduch. Patolog powie coś więcej. A knebel założony naprawdę fachowo. Tak, żeby odebrać głos, a nie zadusić.

— Długo tu leży?... Siedzi — Wroński poprawił się natychmiast. — Sądząc po smrodku, pewnie tydzień.

Adam pokręcił przecząco głową.

— Też tak myślałem na początku. Ale... zresztą wszystko opowie glina, który rozpytywał sąsiadów. W końcu to jego robota.

— Rozejrzę się.

— Nie ma problemu.

Michał zaczął krążyć po pokoju. Nie miał wielkiej nadziei, że znajdzie jakikolwiek ślad. Po technikach, specjalistach od zbierania materiałów dowodowych, niewiele pozostaje do zrobienia. Staął bezradnie. Mieszkanie czyste, wręcz sterylne. Przeszedł do kuchni. Przy stole siedział znudzony policjant w cywilu.

— Kto go znalazł?

— Gospoia. Przyszła posprzątać koło piętnastej. Faceta nie powinno być w domu. Ale był.

Gospoia. To tłumaczyło wzorowy porządek.

— Rozumiem. A jak jest z ustaleniem daty śmierci? Szef techników mi mówił..

— Właśnie. Widział pan ciało. A okazuje się, że jeszcze przedwczoraj wieczorem sąsiedzi widzieli, jak wchodził do mieszkania. Jeden lokator minął się z nim nawet na schodach, pogadali chwilę o pogodzie. Rosjanin

miał tutaj coś w rodzaju garsoniery. Załatwiał poufne interesy, zabawiał się z panienkami.

— Dziwne — mruknął Michał. — Tak daleko posunięty rozkład. Jest ciepło, ale przecież... to niemożliwe.

— Właśnie — Adam stanął w wejściu do kuchni. — Ale tutaj tego nie wyjaśnimy. Trzeba poczekać na wyniki badań. Jednak mamy coś. Nie wiem tylko, czy to ma jakieś znaczenie.

— Wszystko może mieć. Wiesz przecież.

— Jeden z chłopaków znalazł pod fotelem trupa coś takiego.

Technik podał Michałowi foliowy woreczek. W środku znajdowała się maleńka czarna kuleczka.

— Ziarenko pieprzu — wyjaśnił Adam.

Michał najpierw zastygł, a potem powoli wyciągnął rękę.

— Widzę, że coś ci to mówi.

Wroński zacisnął wargi w wąską kreskę.

— Cholernie dużo — wycedził przez zęby. — O wiele za dużo.

\*

Krzyk był straszliwy. Saszka porzucił erotyczną zabawę, pobiegł tam, skąd dochodził głos i bez chwili namysłu wyważył drzwi. Drzazgi poleciały na dywan, ze szczytu framugi spłynął wapienny kurz. Łazarz klęczał nad dziewczyną przywiązaną za nadgarstki i kostki nóg do prętów łóżka. To właśnie prostytutka wrzeszczała, ile sił w płucach. Właścicielka lupanaru przecisnęła się obok Saszki.

— Co to ma znaczyć? — zapytała groźnie. — Panie Sławku, proszę tutaj!

Z pomieszczenia w głębi korytarza wyszedł zwalisty typ o grubym karku i wielkich bicepsach.

— Co jest, szefowo?

— Niegrzeczny klient. Proszę go wyrzucić! Nie wolno wiązać panienek wbrew woli.

Sławek wypełnił sobą cały otwór drzwi. Saszka musiał wejść do pokoju razem z burdelmamą.

— Spadaj dziadku — zahuczał ochroniarz. — Słyszałeś?

— Wypierdalać! — syknął Łazarz. — Nie widzisz, że właśnie miałem zaruchać?

— A to co? — właścicielka wskazała strzykawkę leżącą na podłodze

obok łóżka.

— Wstrzyknął mi jakieś gównno! — załkała prostytutka. — Boli! Jezu, jak boli! Ratunku!

Sławek zacisnął dłonie w pięści tak mocno, że zatrzeszczały stawy.

— Koniec! Już cię tu nie ma!

Ruszył w kierunku Łazarza. Saszka skorzystał natychmiast z okazji, że wejście się zwolniło, wyskoczył do holu, pobiegł tam, gdzie zostawił ubranie.

— Boli! — jęczała dziewczyna. — Jak tylko dotknie, strasznie boli. I plecy... ręce... Boże!!!

— Zamknij mordę — Łazarz uderzył ją niezbyt mocno otwartą dłonią w policzek. Dziewczyna zawyła jakby przyłożono jej do skóry płonące żelazo.

— Ty skurwysynu! — krzyknął ochroniarz.

Chwycił Migułę za ramiona. Zdawało się, że potężne ręce zgniotą starszego mężczyznę. Jednak stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Łazarz zwinął się błyskawicznie. Dłonie ochroniarza uderzyły o siebie, zupełnie jakby osiłek zamierzał klaskać. A stary był już za jego plecami. Zanim olbrzym zdołał odwrócić głowę, palec Łazarza wylądował w oczodole, a kant dłoni trzasnął w nasadę nosa. Potem na ochroniarza spadł potężny cios oburącz w tętnice szyjne. Mężczyzna wydał dziwny odgłos, przypominający ni to szloch, ni syk wypuszczanego gwałtownie powietrza. Osunął się bezwładnie na podłogę. Tymczasem do pokoju wpadł Saszka z pistoletem w dłoni. Spojrzał na ochroniarza, potem na Migułę.

— Nadal jesteś niezły — rzekł z mimowolnym podziwem.

— A ty myślałeś, że skapcianałem? — Łazarz z rozmachem kopnął leżącego w twarz. — Zabieramy się stąd — Przelotnym ruchem pogładził udo przywiązanej dziewczyny. Znów zawyła, szarpnęła się, a szczupłe ciało pokryło się grubymi kroplami potu.

— Co jej podałeś?

— Gównno. Schowaj kopyto.

Spojrzał na skamieniałą z przerażenia stręczycielkę.

— Oddawaj forszę, suko!

— Ale — wybełkotała. — Tak się nie robi...

Uderzył ją nagle, bez ostrzeżenia. Prawa pięść wyskoczyła do

przodu błyskawicznie niczym atakujący wąż. Kobieta z jękiem padła na kolana.

— Forsa, kurwiszonie!

— Chodź już — powiedział Saszka. — Tak ci żal tych paru złotych?

— Ma oddać. Dla zasady — Łazarz podniósł burdelmameę za włosy.

— A jeśli zgłosisz cokolwiek policji, wrócę tutaj szmato, zrozumiałaś?

\*

Ekspertyzy dotarły bardzo szybko. Michał czekał w gabinecie Bzowskiego. Było po dwudziestej drugiej, kiedy wszedł dyżurny z plikiem papierów. Porucznik zaczął przeglądać dokumentację. Nie spodziewał się rewelacji. Uczestniczył przecież w sekcji zwłok, która nie wykazała w zasadzie nic poza tym, co i tak było widać na pierwszy rzut oka. Niezbyt liczne ślady użycia przemocy, potwierdziło się zdanie lekarza, że każdy z trzech strzałów był śmiertelny. Tym, co zastanowiło Wrońskiego, była analiza krwi denata. Znaleziono substancję, którą laborant określił jako WYW-72. Z podobnym terminem Michał jeszcze się nie spotkał. Podniósł słuchawkę.

— Połączcie mnie z laboratorium — polecił. — Kodowanym łączem.

W tej chwili otworzyły się drzwi, w wejściu stanął major. Miał zmęczoną twarz, na widok podwładnego uśmiechnął się z przymusem.

— Poczekajcie — rzucił Michał do telefonu. — Później zadzwonię.

— I co? — spytał Bzowski.

— Kiepsko wyglądasz. Tak było źle?

— Dostałem opierdół od ministra. Za brak postępów w sprawie. A ty co ustaliłeś? Znalazłeś coś na miejscu zbrodni?

— Niewiele i sporo zarazem. Jefim Bałanow został zastrzelony z pistoletu kaliber 7,62 mm. A konkretnie z tetetki z tłumikiem, która należała do niego.

— Sentymentalny facet z tego szpiega — Bzowski usiadł w skórzanym fotelu przeznaczonym dla gości. — Rosjanie dawno wycofali ten model z uzbrojenia. Mów dalej.

— Zabójca nie pozostawił żadnych śladów. Nic, o co można by się zaczepić — zawiesił głos. Na widok zawiedzionego wyrazu twarzy majora uśmiechnął się lekko i dokończył — Poza jednym. W pobliżu ciała ofiary znaleziono ziarenko pieprzu.

Bzowski wstał gwałtownie. Podeszedł do ciemnego prostokąta okna,



wyjrzał na plac między budynkami.

— Łazarz — syknął.

— Łazarz — potwierdził Wroński. — Ciekawe tylko czy ten pieprz to zwykła nieostrożność, czy zostawił ślad celowo.

— W przypadku Miguły nie wierzę w przypadki — odparł major. Odwrócił się, wrócił na fotel. — Wiem, że to zdanie brzmi idiotycznie, ale oddaje istotę rzeczy. Z jednej strony chce nam pokazać, że wyprzedza nas o krok, a nawet dwa, a z drugiej to ostrzeżenie, żebyśmy dali mu spokój. Coś jeszcze?

— To — Michał podał mu wyniki badania krwi. — Nie znam tej substancji.

Bzowski rzucił okiem na wydruk.

— WYW-72 — przeczytał z namysłem. — Pewnie, że nie znasz. To jedna z tych rzeczy, które posiadamy, ale których w naszej robocie po prostu się nie używa. A właściwie używa się, ale jedynie w zupełnej ostateczności. To mieszanka narkotyków i różnych paskudnych substancji ze strychniną włącznie. Powoduje bardzo silne pobudzenie receptorów skóry, a także wzmacnia niesamowicie czucie głębokie. Skutek jest taki, że nie trzeba bić przesłuchiwanego, żeby sprawić mu ból. Wystarczy silniejszy nacisk, lekkie klepięcie. Podobno cierpienie jest niewyobrażalne. Ma jeszcze jedną paskudną właściwość. Podana w nadmiarze przyspiesza rozkład tkanek.

— To by tłumaczyło stan zwłok — zauważył Michał. — Ustaliłem, że Bałanow został zabity zaledwie przedwczoraj, a trup wyglądał, jakby leżał w upale kilka dni.

— Tak. Jeśli ofierze zafunduje się nieco mniejszą dawkę, skóra po niedługim czasie zaczyna ulegać zmianom. Człowiek wygląda gorzej niż Juszczenko po dioksynach. Ten sukinkot Łazarz musiał rąbnąć WYW-72 z magazynu. I to nie naszego, bo od dawna tego nie mamy, tylko z wywiadu. A Ruskiego potraktował potężną dawką, skoro ciało zaczęło już cuchnąć. Bałanow i tak by umarł, ale Miguła wykończył go z pistoletu, pewnie dla przyjemności.

Zapadło milczenie. Michał trawił informacje, Bzowski bawił się długopisem, czekając na nieuchronne pytania.

— Jacek, powiedz wreszcie — odezwał się Michał.

— Co?

— Czego właściwie szukamy? Za czym się uganiamy? Jaką część akcji „Żelazo” mamy rozpracować? W górach zacząłeś coś mówić, ale potem nie było okazji.

Major wstał ciężko, podszedł do biurka, wyjął z szuflady gruby plik zbindowanych kartek.

— O Bursztynowej Komnacie słyszałeś?

— Co za pytanie. Każdy słyszał.

— Ale od czterdziestego czwartego roku mało kto ją widział.

Michał spojrzał na trzymany przez majora dokument.

— Za tym się teraz mamy uganiać? Za legendarną Bursztynową Komnatą? Przecież miała spłonąć podczas bombardowania Królewca. Tak czytałem.

— Istnieje wiele hipotez. Kilkaset. Ale przecież najbardziej prawdopodobnych, tych ustalonych przez fachowców pracujących dla służb wywiadowczych, nie podaje się do publicznej wiadomości.

— A jak to się ma do akcji „Żelazo”?

— To jeden z aspektów tego przedsięwzięcia. Sam doszedłeś do wniosku, że działalność braci Janosz i ich wrednych kumpli stanowiła jedynie fasadę, przykrywkę. Ta afera jest jedną z najgłośniejszych i najlepiej wyświetlonych spraw komunistycznego wywiadu. Za bardzo wyświetloną, prawda?

— Prawda. Według wszelkich zasad dawni koledzy powinni uciszyć tych, którzy za dużo gadają. Najlepiej uciszyć ich ostatecznie. A tutaj...

— Właśnie. Mówiliśmy już o tym w górach. Władze chciały i chcą nadal, żeby afera „Żelazo” w powszechnej świadomości łączyła się tylko z rozbójniczą działalnością. Z dwóch oczywistych powodów. Po pierwsze stawia to w złym świetle skompromitowane służby komunistyczne, a po drugie odwraca uwagę od clou zagadnienia.

— Ale jak ma się do tego Bursztynowa Komnata?

— Ma się. Bardzo ściśle się ma. Nie powiedziałem ci jeszcze, że wśród turystów, którzy zginęli w Białym Jarze były osoby zajmujące się poszukiwaniami tego skarbu tak z ramienia służb rosyjskich, jak i niemieckich.

— Mam rozumieć, że celem akcji „Żelazo” było odnalezienie tego zabytku?

— Masz rozumieć, że sprawa komnaty tkwi gdzieś w środku tego

wszystkiego. „Żelazo” przypomina wielką ośmiornicę ukrytą w wiecznych ciemnościach, na samym dnie oceanu, zagrzebaną w mule. W całości zobaczyć jej nie można, czasem tylko człowiek natknie się na jedną z macek. A takie spotkanie może się okazać śmiertelne.

— Poetycko to ująłeś.

— Szkoda tylko, że niewiele ma to z poezją wspólnego.

Rzucił Michałowi na kolana plik papierów.

— Masz dwa dni wolnego, chyba że coś się wydarzy.

— Miałem przecież jechać w góry, zbadać ślady krwi...

— Chyba ja pojedę — odparł z niechęcią major. — Minister zażądał, żebym każdy ważniejszy trop badał osobiście. Po drodze sam zapoznam się z drugą kopią tych bazgrołów, bo na razie zdążyłem je przejrzeć tylko pobieżnie. A tobie przyda się odpoczynek i trochę czasu na oswojenie się z kolejną niespodzianką. Zresztą może wcale nie ostatnią — dodał ciszej i ciągnął dalej — Przeczytaj sobie ten dokument. Stanowi kompendium wieloletnich dociekań i ustaleń. To nasze wewnętrzne opracowanie. Najbardziej wiarygodne, jakie znam.

— Co miałeś na myśli mówiąc, że to może nie być ostatnia niespodzianka?

— Nic szczególnego — wzruszył ramionami Bzowski. — W tej pracy niespodzianki to norma. Ale zanim pójdziesz do domu, czeka nas jeszcze jedna rozmowa.

## 10.

Piwnicki upił łyk kawy. Rozglądał się z ciekawością po gabinecie Bzowskiego.

— Komfortu to tu wielkiego nie macie — rzekł ironicznie.

— Bo nie grzejemy tyłków w fotelach, kapitanie — odpalił Michał, zanim Bzowski zdążył zareagować. — Wysoki komfort zapewniają sobie ci, którzy niewiele robią.

— W takim razie powinniście koniecznie wstawić tu sporą kanapę.

— Do rzeczy — uciął major, widząc, że Wroński zbiera się do odpowiedzi. — Jest za późno na słowne przepychanki. Ma pan nam coś do powiedzenia, panie Jerzy?

Piwnicki wydał wargi.

— Nie wiem, jak zdołaliście przekonać mojego dyrektora...

— Nie my. To była osobista interwencja ministra. Może to uzmysłowi panu, że idzie o naprawdę ważne rzeczy.

— Dobrze by było, gdybym wiedział, o co.

— Nie jestem uprawniony, aby udzielać takich informacji. Podobnie nie oczekuję od pana ujawniania rewelacji dotyczących waszej działalności w rejonie Bolkowa. Interesuje nas tylko osoba Aleksandra Walasa.

— Przedtem odniosłem wrażenie, że interesuje was dokładnie wszystko.

— Przedtem był pan dla nas szpiegiem obcej agentury, a poza tym nasze zainteresowania mocno się skonkretyzowały. Obserwował pan Saszkę. Proszę nie zaprzeczać.

— Nie zamierzam. Musiał znajdować się w polu działań operacyjnych jako przestępca związany z komunistycznymi służbami wywiadowczymi. A poza tym... — Piwnicki urwał, jakby bał się powiedzieć zbyt dużo.

— A poza tym — pomógł mu Michał — przepychacie się tam z wywiadem niemieckim przy Wzgórzu Ryszarda i zamku bolkowskim.

Bzowski z Piwnickim spojrzeli zdziwieni na porucznika.

— A skąd przyszedł ci do głowy także zamek? — spytał major. — Do

tej pory nie było o nim mowy.

— Pamiętaj, że jestem z Dolnego Śląska. A tam prawda z opowieści o niemieckich skarbach i archiwach miesza się z legendami. Przed zakończeniem działań wojennych Niemcy zadołowali coś nie tylko we wzgórzu, ale też w zamku. A może przede wszystkim w zamku. Różnie się o tym mówiło — Znacząco spojrział na przełożonego i opracowanie na temat Bursztynowej Komnaty. — Jak dotąd nikt tego nie wygrzebał, a przynajmniej oficjalnie nic o tym nie wiadomo. A poza tym Bolków to idealny teren na skrzynkę kontaktową dla agentów. Miasteczko turystyczne, obce twarze nie budzą zdumienia i zainteresowania, a przy tym sporo w okolicy zakamarków, miejsc, w których można się spotykać z dala od oczu ciekawskich.

Bzowski sapnął z zadowoleniem.

— I właśnie dlatego tak bardzo chciałem cię ściągnąć do mojego biura. Bywasz czasem zaskakująco tępy — kiwnął uprzejmie głową na michałowe „dzięki serdeczne” — ale jak ci już coś w głowie zaskoczy, potrafisz rozumować zaskakująco trafnie. Jemu — zwrócił się do Piwnickiego — trzeba wydzielać informacje partiami, stopniowo. Wtedy uzyskuje się najlepsze wyniki. Jeśli by dostał cały materiał na raz, zacznie błądzić jak dziecko we mgle. A właściwie nie tyle błądzić, co natychmiast działać... Trudno wtedy za nim nadażyć i naprawiać błędy.

— Mogę wiedzieć — spytał ze złością Michał — z jakiegoż to powodu dzielisz się takimi informacjami z naszym gościem?

— Żeby oczyścić atmosferę i wprowadzić trochę luzu i zaufania w naszych stosunkach. Michał — znów zwrócił się do kapitana wywiadu — bywa zastraszająco skuteczny. Ale to potrafi przysporzyć wielu problemów, jeśli jest skuteczny nie w porę.

— A może jednak — warknął Wroński — wysłuchamy, co ma do powiedzenia na temat Saszki nasz gość? Na przykład czy przebywał w Bolkowie w czasie, kiedy zginął Mirek.

— Oczywiście — powiedział Piwnicki. — Przygotowałem materiały według wskazówek pana majora. Mogę stwierdzić z całą pewnością, że Walas w tym okresie przebywał poza miastem. Nasz obserwator stracił go z oczu w Karpaczu. Saszka wypłynął po dwóch dniach w Szklarskiej Porębie. Co robił w tym czasie, jest tajemnicą. Podejrzewacie go o zamordowanie waszego człowieka?

— Szukamy punktu zaczepienia. Na pewno kontaktuje się z Migułą, a to może oznaczać bardzo różne rzeczy. Łazarz załatwił i nas, i was na mikado. Po pańskim aresztowaniu Saszka zyskał spore możliwości manewru.

— Ale to nie oznacza — uśmiechnął się Piwnicki — że został zupełnie bez opieki. Jutro powinien wpłynąć raport. Nie doceniacie nas. Kontrwywiadowi zawsze się wydaje, że wywiadowcy własnego kraju to głupcy.

— I vice versa. Może rzeczywiście trochę się nawzajem nie doceniamy.

Kapitan skinął głową i bez słowa podał raport Bzowskiemu. Major spojrzął na Wrońskiego.

— Niczego wielkiego już nie ustalimy. Idź do domu odpocząć i poczytać.

\*

— Spapraliście robotę — powiedział spokojnie Łazarz.

— Ile razy to jeszcze powtórzysz? Daj już spokój — jęknął błagalnie Saszka. — nie spapraliśmy. Tak po prostu bywa...

— Nie mówisz mi wszystkiego.

— Znów zaczynasz?

Siedzieli przy obskurnym stoliku w melinie Walasa. Na blacie stała półlitrowka, druga, opróżniona już, leżała na podłodze. Saszka z zazdrością spoglądał na kompana wychylającego kieliszek za kieliszkiem. Miguła z kolei wyglądał jakby pił nie alkohol, ale czystą wodę.

— Nie zaczynam. Po prostu wiem, że nie mówisz wszystkiego. Pamiętaj, z kim masz do czynienia. Nie tacy jak ty próbowali robić ze mnie wała. Jak było z tym trupem? Chcę usłyszeć prawdę.

— Przestań pieprzyć, człowieku. Powiedziałem przecież wyraźnie: zagrzebaliśmy ciało w kamienisku. Coś się musiało stać, że na wierzch wylazła ręka!

Łazarz wbił w Saszkę ciężkie spojrzenie. Walas zmieszał się, spojrzął w bok.

— Nawet nie próbuj! — Miguła znienacka chwycił w żelazny uścisk nadgarstek towarzysza, przycisnął z całej siły do stołu. W drugiej ręce pojawiła się małeńka strzykawka. W ułamku sekundy igła przeszła skórę, trafiając nieomylnie w wyraźną żyłę na wierzchu dłoni. — Trzeba

było spluwę położyć pod udem, a nie zostawiać byle gdzie. A teraz pogadamy jak rozsądni ludzie. Pamiętasz tę dziewczuchę w burdelu? Pamiętasz jak wyła ledwie ją dotknąłem? Wstrzyknąłem jej właśnie to świństwo. Ale tobie zrobię tak, że będzie bolało o wiele bardziej. Chyba że wykażesz się rozsądkiem. Proszę, przyjacielu, powiedz, jak było — głos mu nagle zmiękł. Przez tę udawaną łagodność wydawał się jeszcze straszniejszy niż wtedy, gdy chłodne oczy ciskały zimne błyskawice kontrolowanego gniewu.

— Ale ja naprawdę...

— Zamknij lepiej ryj, jeśli masz znów skłamać! Skąd wiesz, że z rumowiska wystawała ręka? Albo na dzień dobry źle ukryliście trupa, w co nie wierzę, albo wiesz jak doszło do ujawnienia zwłok.

Saszka był spocony z przerażenia. Łazarz czuł drżenie ręki przyciśniętej do blatu, widział, że tamten dygoce na całym ciele.

— Gadaj!

— Jeden przemytnik go znalazł — zaczął niepewnie Walas. — Szedł tym osuwiskiem z towarem, spowodował małą lawinę i wtedy ta ręka...

— Jaki przemytnik?

— Jeden taki. Przypadkowy...

— Przypadkowy? Ty skurwysynu! To był twój człowiek! Jak byś się inaczej dowiedział? Działasz na własną rękę, za moimi plecami.

Wstał, pochylił się nad Saszka, który skulił się, spróbował uwolnić rękę.

— Bez numerów! — ostrzegł Łazarz. — Bo nacisnę tłok. Co przynosił ten gość?

— Nic wielkiego. Prochy, karty pamięci z fotkami, takie tam...

— Nie pierdol! Takie rzeczy może przez granicę przenieść byle kto, chociażby w dupie. Nie wysyła się kuriera zielonym szlakiem z drobnicą! Albo powiesz...

— Ikony — wymamrotał Saszka. — Ikony, złote lichtarze...

— Ikony, powiadasz? Co jeszcze?

— Złoto. Złote sztaby.

— Zacząłeś przetapiać nasze łupy?

— Coś ty, Łazarz! — Walas był przerażony. — Przecież ja nie jestem samobójcą! Twoich dzieł sztuki bym nie ruszył!

Migęła dmuchnął mu w twarz. Saszka owiał odór alkoholu,

kiszonych ogórków i czosnku.

— Wcale nie jestem tego taki pewien — wyszeptał sykliwie Łazarz, pochylając się jeszcze bardziej. — Pieniądz potrafi człowieka zaślepić. Pamiętasz braci Janosów? Robiłeś z nimi skoki. Czy oni choć raz zastanowili się, czemu to wszystko właściwie służy? Uwierzyli, że chodzi tylko i wyłącznie o zbieranie forsy na pracę wydziału. Wystarczały im łupy. Ty byłeś mądrzejszy. Przyszedłeś do mnie, spytałeś co jest grane. I dowiedziałeś się.

— Nie pamiętam, żebyś wydziwiał przy podziale fantów z naszych napadów...

— Bo każdy lubi mieć więcej gotówki niż mniej. A poza tym właśnie z tych rabunków finansowaliśmy ważniejsze działania, przekupywaliśmy kogo trzeba...

— ...i wynajmowaliście zabójców.

— Zabójców i opryszków. Takich jak ty. Ale okazałeś się trochę inteligentniejszy od innych. Dlatego dałem ci szansę uczestniczenia w najtajniejszych operacjach akcji „Żelazo”, o których takie płotki jak Janosze nie miały bladego pojęcia. Dlatego zyskałeś możliwość kontynuowania pracy wtedy, kiedy zmienił się ustrój. Nasze cele bowiem się nie zmieniły. Tak przynajmniej myślałem do dzisiaj. Ale spuściłem cię z oczu na chwilę, a już za moimi plecami dogadałeś się z przeciwnikiem.

— No co ty, człowieku — wymamrotał Saszka. — Z kim miałbym się skumać?

— Jefim Piotrowicz Bałanow, prezes koncernu Siewiernyj Petrol — wycedził Miguła. — Mówi ci coś to nazwisko? Tak naprawdę pułkownik Wadim Belidze. To już zresztą bez znaczenia.

— Bez znaczenia?

— Trupowi jest zasadniczo wszystko jedno jak się nazywa. Zanim pójdziesz dalej w zaparte dowiedz się, że tuż przed śmiercią pogawędziłem z panem pułkownikiem. Świat jest mały. Szukałem u niego czegoś zupełnie innego, a okazało się, że mamy wspólnego znajomego. Ciebie, Saszka. Jefim opowiedział mi bardzo zajmującą historię.

Nagle Łazarz wyprostował się, wyjął igłę z dłoni rozmówcy.

— No, no — pokazał zęby w imitacji uśmiechu. — Spryciarz z ciebie, Saszka. Cholerny spryciarz. Tak pogrywać! Albo jesteś naprawdę mądry,



albo wręcz przeciwnie. Tak czy inaczej pozwolę ci żyć. Pod warunkiem, że z powrotem będziesz pracował dla mnie i tylko dla mnie. A teraz powiedz, co się stało z tym przemytnikiem?

— Zniknął — odparł niechętnie Walas. — Opowiedział, co się stało na szlaku, a potem spieprzył, najpewniej do Czech.

— Taki szybki, że nie zdążyłeś go załatwić?

— Wyczuł pismo nosem. Któryś z chłopaków pewnie się wygadał przy wódce. Już z nimi załatwiłem co trzeba, więcej pary z ust nie puszczą. Ale ten gość przecież gównu wie... Ani co nosił, ani dla kogo.

— Nie wolno lekceważyć niczego. Gównu nie gównu, ale wie gdzie są punkty, rozpozna przecież ludzi, z którymi miał do czynienia, nie masz gwarancji, że nam w jakimś momencie nie zaczną bruździć. Musisz go odszukać, Saszka, zanim zrobi to kto inny.

— Ale jak? — jęknął Walas. — Całe Czechy mam przetrząsnąć?

— Rusz głową, popytaj. Przecież facet nie mieszkał na księżycu. Ktoś coś musi o nim wiedzieć! Może nawet dowiesz się, gdzie mógł znaleźć schronienie w Czechach.

\*

Michał wrócił do mieszkania przed północą. Do mieszkania... Nie nauczył się jeszcze nazywać tego miejsca domem i nie wiedział czy nadejdzie chwila, kiedy się na to zdecyduje. Opracowanie ciążyło w torbie, przypominając o swoim istnieniu. Postanowił, że weźmie się do niego dopiero rano. Nastawił czajnik, ale zaraz go wyłączył. Na kolejną kawę było za późno, a herbatę pijał tylko kiedy był chory. I zawsze z rumem. Otworzył lodówkę, przez chwilę przeglądał zawartość, zastanawiając się, na co ma właściwie ochotę. Wreszcie wydobył brązową butelkę Svyturys. Niepasteryzowane litewskie piwo, lekkie i treściwe zarazem. Zasiadł w fotelu, zapadł się głęboko, pociągnął długi łyk. Czuł jak wraz z cierpkim, chodnym napojem do zmęczonego ciała wraca życie. Sięgnął po teczkę, wyjął zszyty plik papierów. „Bursztynowa Komnata, opracowanie do wyłącznego użytku Departamentu Spraw Archiwalnych”. Michał odruchowo szukał pieczętki albo dopisku „tajne spec-znaczenia”, czy chociaż „poufne”, ale niczego podobnego nie było. To oznaczało tylko jedno — kompendium naprawdę było dokumentem na tyle utajnionym, żeby podobne zastrzeżenia pominąć. I tak nikt niepowołany nie mógł mieć do niego dostępu. Z drugiej jednak strony

podobnych rzeczy nie pozwala się pracownikom wynosić z pracy. Tak, ale zdyscyplinowanego z zasady majora Bzowskiego stać nie na taką niesubordynację i lekceważenie regulaminów jeśli zachodzi potrzeba.

Michałowi przeszła ochota na sen, choć myśl o konieczności położenia się krążyła gdzieś na granicach świadomości. Przeczytam tylko wstęp, pomyślał, a resztę zostawię na jutro.

Jednak kiedy przeczytał wstęp temat wciągnął go, więc zaczął czytać dalej. Dokument był napisany suchym językiem raportów, ale to co zawierał sprawiło, że porucznika ogarnęło wrażenie, jakby czytał powieść sensacyjną. Losy Bursztynowej Komnaty począwszy od początku osiemnastego wieku aż do roku 1944 były jasne i dalekie od posmaku przygody i wielkiego wyzwania. Najpierw umieszczona została w petersburskim pałacu, jednak tylko do czasu objęcia rządów przez Katarzynę Wielką. Caryca nakazała przenieść ją do monarszej siedziby w Carskim Siole. Tam gabinet cieszył oczy dostojnych gości, był jednym z symboli potęgi imperium. Nie zaszkodziła zabytkowi nawet rewolucja październikowa. Zapewne gdyby komnaty nie przeniesiono do oddalonej rezydencji, padłaby łupem rozżartej tłuszczy podczas plądrowania Pałacu Zimowego. Dramat Bursztynowej Komnaty zaczął się z chwilą, kiedy do Związku Sowieckiego wkroczyły wojska niemieckie. Hitlerowcy, jak wiadomo, rabowali wszystko, co tylko mogli. Przecież z Ukrainy wywieźli do Reichu nawet pociągi czarnoziemiu. A dzieła sztuki stanowiły szczególnie łakomy kąsek. Ich zbieranie było konikiem zarówno fuehrera, jak i jego partyjnych kacyków. Komnata została rozebrana, bursztynowe panele zapakowano w skrzynie i przewieziono do Królewca. Tam otoczył je troskliwą opieką dyrektor muzeum, doktor Alfred Rohde. Mimo podchodów innych instytucji, zakusów oficjeli i zainteresowania tajnych policji, nie pozwolił wyrwać sobie cennego nabytku. Gabinet został poddany zabiegom konserwatorskim i wystawiony w królewieckim muzeum do zwiedzania. Idylla trwała krótko, do pierwszych poważnych bombardowań, po których komnata została rozmontowana i złożona w skrzyniach. Początkowe rajdy lotnictwa sowieckiego nie przstraszyły jakoś szczególnie Rohdego, który lekcewał zagrożenie powietrzne z tej strony. Dopiero akcja RAF-u z końca sierpnia czterdziestego czwartego roku uświadomiła dyrektorowi skalę zagrożenia. Powstała nawet plotka, że podczas nalotu

Bursztynowa Komnata znacznie ucierpiała, a nawet została doszczętnie zniszczona. Prawdopodobnie jednak spłonęły w tamtym czasie eksponaty z innej wystawy bursztynu, nazywanej identycznie jak wojenny łup z Carskiego Sioła. Według relacji naocznych świadków jakieś szkody były, bo widziano okopcone skrzynie, nad którymi unosił się ciemnożółty dym, a wypływała z nich żółta maź. Rohde jednak zawiadomił Berlin, że Bursztynowa Komnata ocalała, a uszkodzeniu uległy jedynie elementy kolumny. Postanowiono wywieźć zabytek z Królewca.

Od tego miejsca zaczyna się tajemnica. Michał nieraz słyszał opowieści o losach Bursztynowej Komnaty. Nie interesował się tym może szczególnie, ale w telewizji nadawano przecież programy na ten temat, przeczytał kiedyś nawet książkę, zawierającą kilka mniej i bardziej prawdopodobnych hipotez. Co tu dużo mówić, uśmiechnął się w duchu, każda możliwość wydawała się właściwie równie prawdopodobna. I ta, według której skarb uległ zniszczeniu zanim zdołano ewakuować skrzynie z Królewca. I ta, która mówi, iż komnatę przejęli Rosjanie i wszystkie ich poszukiwania miały na celu jedynie uśpienie czujności przeciwnika, a Bursztynowa Komnata cieszyła potem — na Kremlu czy w jakiejś posiadłości — oczy sekretarzy generalnych, zaś po pierestrojce prezydentów Rosji. Także ta, z której wynika, iż skrzynie zostały ukryte gdzieś na terenie Polski. Przecież w Bolkowie zatrzymała się niemiecka kolumna transportowa, a dowodzący nią oficer ukrył jakiś ładunek w głębokich podziemiach zamku. Jest też możliwość, że koniec końców komnata wylądowała w Niemczech, gdzie do dzisiaj jest pilnie strzeżona. Ale istnieje także jeszcze inne rozwiązanie. W Karkonoszach, w rejonie Śnieżki i Białego Jaru znajdują się głębokie sztolnie. Częściowo są pozostałością po wydobywaniu srebra w dawnych wiekach, częściowo rozbudowali je Niemcy po rozpoczęciu wojny. Jest pewne, że ukryto w nich coś niezmiernie ważnego albo cennego, a także to, iż w Karpaczu zamieszkali dwaj hitlerowscy funkcjonariusze o imionach Gustaw oraz Heinrich, mający za zadanie strzec tajemnicy. Jako żywo przypominało to Michałowi sprawę podziemi w Oleśnicy. Tam też hitlerowcy pozostawili uśpionego, wyszkolonego agenta, który pilnował, żeby niepowołane osoby nie mogły odkryć sekretów. Niemcy bardzo często tak właśnie postępowali w podobnych przypadkach. To zresztą

najzupełniej zrozumiały. Ale już stronę dalej kompendium rozwiewało nieco znaczenie śladu karkonoskiego. Panowie Heinrich i Gustaw najprawdopodobniej nigdy nie istnieli. Tak po prostu nazwano stare szyby, do których wejścia znajdowały się w Białym Jarze. Czy ukryto w nich Bursztynową Komnatę to już inna sprawa. Tak czy inaczej, nikomu nie udało się zgłębić tajemnicy karkonoskich sztolni. Jeśli Niemcy coś tam zostawili, sami stracili możliwość wydobycia. Teren bowiem znajduje się pod czujną obserwacją wszystkich zainteresowanych stron. Całkiem interesujący wydawał się ślad saski. Są ludzie, którzy utrzymują, iż skrzynie z bursztynowymi panelami trafiły do Niemiec i tam zostały ukryte przed pazernością sowieckiego okupanta.

Całe opracowanie było pełne mniej i bardziej prawdopodobnych hipotez. Dopiero w połowie stało się naprawdę interesująco. Tego nie można znaleźć w żadnych reportażach, książkach popularnonaukowych czy sensacyjnych. To była rzecz, która spowodowała, że uśpiona sprawa odżyła dwadzieścia lat po wojnie, a po upływie kolejnych czterdziestu lat znów znalazła się w polu zainteresowania kontrwywiadu. W sześćdziesiątym siódmym roku na południowo-wschodnim stoku Śnieżki znaleziono ciało żołnierza Wojsk Ochrony Pogranicza. Nie byłoby może w tym nic bardzo dziwnego, bo pogranicznicy czasem giną, szczególnie w bardziej niebezpiecznych partiach gór. Jednak było coś, co wzbudziło zainteresowanie obcych służb wywiadowczych. Ów żołnierz miał w chlebaku kawałek dziwnego planu. Fachowcy z drugiego wydziału Służby Bezpieczeństwa stwierdzili bez najmniejszych wątpliwości, że to ni mniej ni więcej, tylko fragment ponemieckiej twierdzy, co do której istniały podejrzenia, że złożono w niej skrzynie ze skarbem. Wtedy rozpętało się piekło. Nagle okazało się, jak bardzo polski kontrwywiad jest infiltrowany przez przyjaciół ze wschodu, jak dokładne informacje o jego pracy posiadają radzieccy towarzysze. Pojawił się sam Krolewski, podczas wojny komisarz wywiadu sowieckiego, który poszukiwał bursztynowego skarbu w Królewcu, a potem był chyba w każdym możliwym miejscu jego ukrycia. Zjawili się także delegaci ze strony enerdowskiej Stasi, wraz z niejakim Ringelem, który w swoim czasie wspomagał Rosjan w poszukiwaniach skarbu. Oczywiście Rosjanie niezwłocznie podzielili się operacyjnymi ustaleniami z niemieckimi kolegami. W schronisku „Orlinek” w Karpaczu opracowywano szczegóły

polskiego przedsięwzięcia, niesławnej akcji „Żelazo”, której rozpoczęcie planowano na następny rok. Ale pertraktacje dotyczyły także innej sprawy. Wszystko wskazywało na to, że „Żelazo” jako zdobywanie środków finansowych miało być czymś, co można nazwać działaniami „przy okazji”, a w istocie powinno odwracać uwagę zachodnich wywiadów od jądra zagadnienia. Obecność Krolewskiego i Ringela świadczyła niezbicie, że gdzieś musi być na rzeczy sprawa Bursztynowej Komnaty. Zarówno Niemcom, jak i Rosjanom bardzo zależało na odzyskaniu zabytku. Oprócz motywacji finansowej chodziło o sprawy ideologiczne i prestiż. Zresztą w podobnych sprawach z reguły najważniejsze są ambicje przywódców państw i wszelkich czynników decyzyjnych. I w tym miejscu autor opracowania pozwolił sobie na wysunięcie odważnej hipotezy. Otóż istnieje możliwość, że strona Polska zezwoliła na prace eksploracyjne na terenie kraju służbom NRD i ZSSR. W zamian strony miały przymknąć oczy na działalność osób związanych z organizacją środków finansowych dla polskiego wywiadu, czyli tego, co później nazwano aferą „Żelazo”. Świadczyło to o trzeźwym spojrzeniu na sprawę ze strony Polaków. Przecież gdyby strona polska odnalazła legendarne skrzynie ze skarbem, i tak musiałaby je zwrócić towarzyszom ze wschodu, jak to się mówi za bezdurno. Ustępując w tej sprawie, zyskiwała wolną rękę jeśli idzie o gromadzenie łupów z przestępstw, a na pewno rozmawiano o jeszcze innych możliwościach wykorzystania pozostawionej Polakom swobody. Jednak stało się coś, co sprawiło, że podczas wspólnej wycieczki polscy uczestnicy konferencji otworzyli ogień do poprzedzających ich grup.

Michał przerzucił dokument na ostatnie strony, gdzie znajdowały się aneksy. Ciekaw był, kto reprezentował w „Orlinku” Polskę. Przeleciał prędko nazwiska. Nic mu nie mówiły. Z jednym wyjątkiem... Wroński przetaił oczy, żeby zetrzeć z nich senny osad. Czy to przywidzenie? Nie, chociaż wolałby się mylić. Do bezpośredniej ochrony narady został wyznaczony między innymi młody podporucznik kontrwywiadu, niejaki Robert Miguła...

\*

Michał obudził się rano skulony w fotelu, zziębnięty. Opracowanie leżało na podłodze, otwarte, grzbietem do góry. Szarość pochmurnego dnia wciskała się przez okno przygnębiająca, a zarazem wszechobecna.

Niedopite piwo stało obok nogi fotela. Michał podniósł butelkę, obejrzał zawartość pod światło. Westchnął ciężko i z miną męczennika przyłożył szyjkę do ust. Był mile zaskoczony. Płyn nie wygazował się jeszcze całkowicie, nabrał nowego, dziwnego, ale przyjemnego smaku. Teoretycznie nie powinno się pozwolić, aby piwo ulegało zbyt niemu utlenieniu. Staje się wtedy kwaśne i zaczyna niezbyt przyjemnie pachnieć. Jednak tym razem doświadczenie pokoleń spożywców bursztynowego nektaru nie zgadzało się z rzeczywistością. Svyturys smakował wyśmienicie.

Pokrzepiony nieco na duchu niespodziewanym odkryciem Wroński wstał, przeciągnął się. Trzeba wziąć prysznic. Powinien to zrobić zaraz po przyjsciu z biura. Bardzo pilnował rytuału higieny, choć kawalerskie życie nie sprzyjało regularności obyczajów. O wiele łatwiej było, kiedy mieszkał z żoną i synem. W rodzinie takie rzeczy przychodzą niejako automatycznie, na dobrą sprawę wręcz bezwiednie. Poczul ściskanie w piersiach, jak zawsze kiedy przypominał sobie o Patryku. Za Magdą nie tęsknił w ogóle. Zbyt wiele ich dzieliło w ostatnim okresie przed rozstaniem, za bardzo go zraniła, odchodząc do kochanka w chwili, kiedy jemu świat walił się na głowę. Miała wtedy z małym wyjechać do rodziny, gdzieś, gdzie byłaby bezpieczna. A ona wybrała dom gacha... Podobno czas goi rany. Tak jest z całą pewnością. Jednak małe cięcie pozostawia pewnie nic nie znaczącą bliznę, zaś cios, który zadała mu żona spowodował coś w rodzaju pęknięcia duszy. To też się z czasem nieco zasklepiło. Ale taka rozległa blizna sprawia, że człowiek po prostu traci dawne uczucie. Rana zamienia się w odrętwiały spłacheć. Ale syn... to co innego. Michał nie widział go już prawie rok. Kontakt mieli tyle tylko, ile rozmawiali przez telefon, jeśli Magda była w humorze i w ogóle godziła się na cokolwiek. Zaś przez ostatnie miesiące i ta forma komunikacji zaczęła bardzo zanikać, odkąd była żona wyjechała z kochankiem i Patrykiem do Londynu.

Michał odkręcił prysznic, czekając aż spłynie zimna woda, wziął się za mycie zębów. Piecyk gazowy umieszczony był daleko, po przeciwległej stronie mieszkania, w kuchni. Czasem trwało dwie, trzy minuty zanim woda nabrała znośnej temperatury. Ledwie wypłukał usta, usłyszał gong. Spojrzał na zegarek. Kogo niesie kwadrans przed ósmą? Może coś się stało i Jacek wysłał po niego kierowcę? Tak się czasem

zdarzało. Zakręcił kurek, powlókł się do drzwi wejściowych. Dwa dni wolne, też coś! Odkąd rozpoczął pracę w departamencie, może ze dwa razy zdarzyło się, żeby dali mu tak długo odpocząć. Jak nie robota, to szkolenia, jak nie szkolenia, to alarmy. Tym razem też może się okazać, że to jakieś treningowe bzdury. Gong znów się odezwał, teraz, dwa razy pod rząd, niecierpliwie.

— Już otwieram! Moment!

Wyjrzał przez wizjer. Tego zwyczaju nabrał w nowej pracy. Dawniej po prostu otwierał, nie pytając. Postać po drugiej stronie nie była ani kierownicą, ani żadnym znanym mu pracownikiem firmy. Oderwał oko od judasza, potrząsnął głową z niedowierzaniem, spojrzął jeszcze raz. Poczucił się, jakby został obudzony z nienacka w innym, nowym i zupełnie nieznanym świecie. Odetchnął głęboko i otworzył.

Stała i uśmiechała się odrobinę niepewnie. Michał musiał mieć zabawny wyraz twarzy, bo na jego widok parsknęła. Natychmiast zakryła usta dłonią, skuliła się lekko, jakby bała się spłoszyć niezmiernie ostrożne zwierzę. Wroński patrzył osłupiały, w głowie czuł zupełną pustkę. Gdzieś tam bardzo głęboko, na granicach świadomości zaczęły się pojawiać uczucia, wypierające powoli zdumienie.

— Berek — mrugnęła do niego. — Teraz powinnam się odwrócić i zniknąć, a ty mnie poszukać.

— Dorota... Co ty tu... — zaczął, ale urwał, bo pytanie „co ty tu robisz” zabrzmiałoby co najmniej nieuprzejmie. — Jak mnie znalazłaś?

— Chcesz rozmawiać na korytarzu? — spytała. — Może zaprosimy do pogawędki sąsiadów? A może powinnam sobie pójść?

— Boże, no coś ty, Dorotko! — odsunął się pośpiesznie od drzwi. — Ależ wejdź!

Kobieta przekroczyła próg, stanęła czekając, aż wskaże jej drogę. Poszedł przodem do dużego pokoju. Obrzucił wewnątrz krytycznym okiem. Jak dla Jacka albo innego faceta pewnie mogło ująć. Ale Dorota na pewno zauważy od razu wszelkie ślady zaniedbania.

— Napijesz się czegoś? — wskazał fotel, odepchnął nogą zalegające na dywanie kompendium.

— Kawy, jeśli byłbyś tak dobry. Z mlekiem.

Poszedł do kuchni, nastawił ekspres. W głowie kołatały mu się różne myśli, ale nie potrafił ich zebrać. Wrócił do pokoju, chociaż miał

ochotę poczekać aż kawa spłynie do dzbanka, skorzystać z pretekstu, żeby przemyśleć niespodziewaną sytuację w samotności przez te kilka minut. Ale przecież nie wypadało zostawiać jej samej.

Siedziała wygodnie, na jego widok uśmiechnęła się. Zapomniał już prawie, jaka jest ładna... właściwie piękna — tym pięknem, które promieniuje z kobiety pewnej siebie, świadomej własnej klasy. Miał już powiedzieć coś miłego, kiedy nastąpiła katastrofa. Potknął się i wyłożył jak długi. Przekłęte opracowanie, które przed chwilą potraktował tak niedbale, nagle wyrosło na jego drodze. Wroński padł twarzą tuż przed stopami w wiśniowych czółenkach. Kobieta podkurczyła odruchowo nogi. Michał, klnąc w duchu, zaczął się podnosić. Nieświadomy ruch Doroty sprawił, że spódniczka podjechała nieco w górę. Jej nogi zawsze wyglądały zabójczo, ale teraz, kiedy materiał odsłonił część ud i krągłe kolana, widok był po prostu powalający. Gapił się na te wspaniałe kończyny przez kilka sekund, aż kobieta poruszyła się niecierpliwie.

— Może byś wreszcie wstał? A może też mam się położyć, żebyśmy mogli pogadać?

Zerwał się czym prędzej, czując gorąco na twarzy.

— Wybacz — wymamrotał — to przez te cholerne papiery.

— Uciekłeś ode mnie — stwierdziła, nadal z uśmiechem. — Dlaczego? Tak bardzo cię rozczarowałam?

— Co ty opowiadasz! — obruszył się. — Po prostu się bałem...

— Siebie czy mnie?

— Bałem się, że cię mogę skrzywdzić. Te wszystkie wydarzenia, mój rozwód, musiałem wyjechać... Przecież nie chciałaś ze mną jechać. Wyrzuciłaś mnie właściwie z domu.

— Porozmawiamy o tym później. Na razie zrób kawę, a ja pójde się odświeżyć. Nie trudź się — zaprotestowała widząc, że otwiera szafę. — Mam własny ręcznik. W gospodarstwie samotnego mężczyzny nie można liczyć na zbyt wiele.

— Nie jest ze mną tak źle — odparł nieco urażonym tonem.

— Widzę. Ale skoro mam własny ręcznik, nie widzę powodu, żebyś czegoś teraz szukał. Gdzie mogę się opłukać?

Wskazał jej drogę i poszedł do kuchni. Wyłączył ekspres. Po chwili z łazienki doleciał szum wody. Michał przypomniał sobie nagle, że nie uprzedził jej o konieczności odczekania przed wejściem do kabiny.



Pobiegł do drzwi, za którymi znikła Dorota, zapukał.

— Wejdz — zawołała.

Nieco oszołomiony nacisnął klamkę. Kobieta była już zamknięta w kabinie, a on nagle zdał sobie sprawę, że przecież kilka minut wcześniej sam uruchomił prysznic, więc woda w rurach nie zdążyła jeszcze ostygnąć. Zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze. Patrzył na zamazane kształty za pleksiglasową powierzchnią i próbował odgadnąć, a raczej przypomnieć sobie, jak dokładnie wygląda.

— Coś się stało? — spytała. — Czemu się nie odzywasz.

Michał poczuł, że dłużej tego nie znieśie. Zdecydowanym ruchem odsunął skrzydło kabiny. Dorota krzyknęła i odruchowo zasłoniła piersi. Uczyniła to tak gwałtownie, że strumień z prysznica trafił Wrońskiego prosto w tors. Nawet tego nie zauważył, wpatrzony w zgrabną sylwetkę.

— Co robisz?

Nie odpowiedział. Wszedł do kabiny, zasunął drzwi. Ze znieruchomiłej dłoni Doroty wyjął prysznicową słuchawkę, umieścił ją w uchwycie na ścianie. Krople spadały na nich niczym wiosenny, ciepły deszcz.

— Co robisz? — powtórzyła ciszej.

— Tęskniłem.

Pochylił się ku niej. Nie odsuwała się, nie próbowała uciec. Bez trudu odszukał miękkie, pełne wargi. Połączyli się w pocałunku. Czuł się tak, jakby robili to po raz pierwszy, ogarnęło go identyczne jak wtedy podniecenie połączone z niepewnością. Języki splotły się w obłędnym tańcu. Powoli wracało poczucie realności. Zrobił to, co oboje bardzo lubili — przeciągnął koniuszkiem języka po jej gładkich zębach, zagłębił się między owe białe perełki a wnętrze ust. Kobieta zadrżała. Zaczęła rozpinać mokrą koszulę kochanka. Pomagał jej, bo guziki opornie poddawały się zabiegom. Wyrzucił materiał górami, słyszał jak plasnął o podłogę. Po chwili to samo uczynił ze spodniami i resztą garderoby. Przez cały ten czas trwali złączeni pocałunkiem, jakby bali się, że jeśli oderwą wargi, czar chwili pryśnie. Wreszcie Michał zdecydował, że trzeba pójść dalej. Ujął w dłonie twarz Doroty, zaczął ją pokrywać pocałunkami. Następnie objął ją w pasie i mocno przytulił. Napotkał figlarny uśmiech, kiedy poczuła nabrzmiałą męskość.

— Jesteś cudowna — szepnął.

Znów zaczęli się całować, tym razem z pełną świadomością wszystkiego, co się dzieje. Wroński ujął mocno pośladki kochanki, a jej ręce błędziły po jego ramionach i plecach.

— Chodź — powiedział ochryplym z emocji, wibrującym głosem.

Odwrócił ją tyłem. Oparła dłonie na kafelkach pochyliła się lekko do przodu. Wszedł w nią zachłannie, prawie sprawiając ból. Najpierw drgnęła, zaskoczona jego żądzą, ale zaraz rozluźniła się, podjęła wyzwanie. Michał miał wrażenie, że nie zdoła się nią nasycić, że choćby nie wiadomo, co się stało, pragnienie nie zgaśnie w odmętach spełnienia. Takie uczucia towarzyszyły mu za każdym razem, kiedy kochał się z Dorotą. Ale tym razem były o wiele mocniejsze.

— Uwielbiam cię — zamruczał.

— A ja ciebie — jęknęła. — Jesteś niesamowity...

— To ty jesteś niesamowita.

— Nie... — chciała się przekomarzać, ale nie pozwolił.

Wszedł z niej równie niespodziewanie jak przedtem wtargnął, klęknął, zagłębił się wargami i językiem w najintymniejsze zakamarki. Poddawała się pieszczocie, pomagała mu jak tylko mogła dotrzeć tam, gdzie pragnął. Wroński czuł, że kolana jej drżą, że ledwie stoi, szarpana paroksyzmami rozkoszy. Wstał, odwrócił ją przodem. Chciał odsunąć drzwi kabiny, jednak nie pozwoliła.

— Teraz ja — tchnęła mu prosto w ucho.

Powoli zsuwała się po nim, drażniąc nabrzmiałymi sutkami najpierw skórę na piersiach, potem na brzuchu. Wreszcie uklękła, objęła go ustami, podjęła pieszczotę. Czuł, że jeszcze chwila, a nie wytrzyma i eksploduje. Nie chciał na to pozwolić, jeszcze nie teraz, jeszcze było za wcześnie. Powinni się sobą nacieszyć o wiele dłużej. Zdecydowanym gestem powstrzymał kobietę, ujął pod ramiona, pociągnął w górę.

— Jest jeszcze coś takiego jak łóżko — powiedział.

— Najcudowniejszy wynalazek ludzkości — roześmiała się.

To była dawna Dorota. W tej chwili czuł, jakby od ostatniego spotkania minęły dni, a nie długie miesiące, a właściwie ponad rok.

Wyszli spod prysznic. Michał wziął ją na ręce. Ze śmiechem pomogła otworzyć drzwi łazienki. Zaniósł ją w głąb mieszkania, tam gdzie malutki pokoik zawsze był przygotowany, by przyjąć i utulić w

pościeli zmęczone ciężką pracą ciało mężczyzny. Tym razem miał stać się jaskinią rozkoszy, świątynią szeptów i wyznań.

\*

Saszka nie wiedział, co ze sobą zrobić. Od dwóch dni błąkał się po mieście, na darmo szukając spokoju w knajpach i domach publicznych. Wątroba zaczęła dokuczać, przypominając, że wiek i stan zdrowia robią swoje. Nie może liczyć na zupełną bezkarność, szczególnie po długotrwałych hulankach. Rozmowa z Łazarzem wytrąciła go zupełnie z równowagi. Zdał sobie jasno sprawę, że już nie zależy od siebie. Wrócił koszmar lat siedemdziesiątych, udziału w akcji „Żelazo”, skąd Miguła zabrał go do poważniejszej roboty. Koszmar... Nigdy przedtem ani potem nie miał więcej pieniędzy. Ale też nigdy nie uświadomiono mu tak dokładnie, jak wtedy, że jest tylko małym, słabym żuczkiem, że nie ma wielkiego wyboru — albo może stać się trybikiem w wielkiej maszynie, albo go ta machina zmiążdży nie zatrzymując się nawet na mgnienie oka. Teraz tamto poczucie wróciło. Nadciągnęły wspomnienia czasów, kiedy włączył się z Łazarzem po dziwnych miejscach, krążyli w starych górniczych szybach, jeździli to do Niemiec, to do Rosji, uganiali się za czymś nieuchwytnym. Patrząc na zegar przy podziemnym przejściu na Świdnickiej wspominał czas, gdy sterczał pod podobnym czasomierzem w Berlinie i czekał na przybycie łącznika.

Zadzwoiła komórka. Spojrzał na wyświetlacz, skrzywił się i odebrał.

— Gdzie się włączysz? — głos Łazarza nie był gniewny, wręcz przeciwnie, uprzejmy i miękki. — Znalazłeś jakiś trop?

— Staram się — skłamał Saszka. — Wyjechałem do Wałbrzycha.

— Ale już jesteś we Wrocławiu, jak sądzę. Wracaj na metę. Musisz kogoś poznać.

Saszka nie był pewien czy Łazarz uwierzył w bajeczkę o Wałbrzychu. Ale skoro przybrał taką miłą maskę, może nie będzie źle. Chociaż z takimi typami nigdy nie można być pewnym do końca. Walas widział kilka razy na własne oczy, jak Miguła ze swobodnym, uprzejmym, a nawet przyjacielskim uśmiechem wykańcza niczego nie spodziewającego się człowieka. Trzeba wracać...

Wszedł po drodze do irlandzkiego pubu przy Ruskiej. Szklanka whisky powinna mu dobrze zrobić przed kolejną rozmową. Potem

powlókł się na postój taksówek. Przed meliną wylądował kwadrans później. Łazarz otworzył drzwi, zanim Saszka zdążył włożyć klucz do zamka.

— Jesteś nareszcie. Co ustaliłeś?

— Tyle, że gość ma rzeczywiście rodzinę w Czechach. A konkretnie w Pradze lub jej okolicach.

— To już coś — kiwnął głową Łazarz.

O praskich koneksjach przemytnika Saszka wiedział od dawna. Nie powiedział tego Łazarzowi w czasie pierwszego spotkania. W ciągu długich lat współpracy z Migułą nauczył się, że nie wolno wyrzucać w rozgrywce od razu wszystkich atutów.

— W takim razie jutro pojedziesz do Pragi. Chodź, kogoś ci przedstawię. A raczej ciebie przedstawię komuś.

W obskurnym pokoju, na starej kanapie, jedynym bodaj meblu na tyle czystym, że nie można się było do niego od razu przyklepić, siedziała bardzo atrakcyjna kobieta. Wyglądało to, jakby do filmu o zapitych, brudnych doliniarzach przeklejono kadry z obrazu o życiu arystokratów. Kobieta miała na sobie elegancki kostium, nogę założyła na nogę i z ciekawością przyglądała się przybyłemu.

— Niech pani nie zwiedzie jego wygląd — odezwał się Łazarz po chwili milczenia. — Ta męska, przystojna twarz i ujmujący uśmiech skrywają duszę bestii. Mój przyjaciel bardzo lubi krew, jej widok, zapach, a podobno nawet smak.

Saszka zmarszczył brwi. W jakim celu Miguła opowiada takie rzeczy obcej osobie? Kim ona w ogóle jest?

— To pani Irmina — wyjaśnił Łazarz, widząc zaskoczenie i irytację na twarzy Walasa. — O ile mi wiadomo, upodobania macie podobne. Powinniście się bez trudu porozumieć. I polubić — dodał po chwili. — To ważne, bo odtąd działacie razem.

Kobieta wstała, podeszła i wyciągnęła rękę. Poruszała się z niezwykłą gracją, a kiedy Saszkę doleciał zapach drogich perfum, poczuł pewne podniecenie. Pomyślał nawet, że gdyby nie był tak wyszlajany po wrocławskich burdelach, z miejsca nabrałby na tę babkę ogromnej ochoty.

— Irmina — powiedziała.

— Aleksander — ujął szczupłą dłoń — Dla przyjaciół Olek albo

Saszka.

Chciał szarmancko cmoknąć ją w nadgarstek, ale nie pozwoliła. Kobięca ręka okazała się nieoczekiwanie silna. Powstrzymała jego ruch, zmusiła do suchego uścisku, mocno potrząsnęła, zupełnie jak to robią na powitanie mężczyźni.

— No to jesteśmy w komplecie — sapnął z zadowoleniem Łazarz. — Pani Irmina reprezentuje interesy Niemców — pogroził jej żartobliwie palcem. — To pani ambasada nasłała na mnie zbirów w Warszawie.

— O ile wiem, mieli pana tylko śledzić.

— „Tylko” jest nieodpowiednim określeniem — odparł z uśmiechem. — Tak czy siak, nie wyszło. Dzięki mojej czujności i pani ostrzeżeniu. Idźmy dalej. Saszka jest, nazwijmy to, delegatem ze strony wschodniej. Nie zaprzeczaj, koleżko sympatyczny, wiem, że w połowie lat dziewięćdziesiątych podjąłeś współpracę z FSB. Jefim Bałanow może nie wiedział, kim naprawdę jesteś, ale to co znalazłem w jego papierach wystarczyło, żebym się dowiedział wszystkiego, co powinienem wiedzieć. Ja reprezentuję coś, co możemy nazwać centrum, czyli stroną polską. Oczywiście wszystkie te podziały niniejszym możemy o kant dupy roztrzaskać, bo wszyscy postanowiliśmy porzucić ideologię, a zająć się własnymi sprawami i zacząć wyciągać korzyści z wieloletniej ciężkiej pracy. Pani Irmina się ze mną zgadza, prawda?

Kobięta kiwnęła głową. Łazarz spojrzał pytająco na Saszkę. Do Walasa dopiero zaczęło w pełni docierać, o co w tym wszystkim chodzi, skąd łaskawość Miguły, skłonność do odpuszczania zaniedbań. Skończyła się praca na dwie strony. Łazarz chwycił go za jaja i nie popuści. Saszka nieraz zastanawiał się, przed kim powinien odczuwać większy strach — przed wszechmocnym KGB przemianowanym potem na FSB, czy przed tym pojedynczym człowiekiem, zwykłym oficerem polskiego kontrwywiadu. Teraz znał odpowiedź.

— Jasne — mruknął. — Praca z tobą to czysta przyjemność.

— Nie pieprz — roześmiał się Łazarz. — Przyjemność to praca z taką pięknnością jak pani Irmina. Za to przy mnie, jak zawsze, możesz liczyć na zysk.

Pięknnością... Tak, była bardzo ładna. Ale kiedy witała się z Saszką, zauważył, że coś w niej jest nie tak. Dopiero kiedy Miguła zaczął wysławiać jej urodę, dotarło do niego co. Oczywiście — zimne, o gadzim,

nieruchomym spojrzeniu. Nie lubił takich ludzi, choć wiedział, że sam patrzy na świat bardzo podobnie. Sądząc z wyglądu, mogła mieć około czterdziestu lat, a może nieco więcej, nawet pod pięćdziesiątkę. W przypadku zadbanej, eleganckiej kobiety trudno coś dokładniej określić w takim przedziale wiekowym. Od razu wiedział, że nie zdoła jej polubić. Zresztą tacy jak on i ona nie nadawali się do lubienia. Pewnie zaczynała karierę jeszcze w enerdowskiej Stasi. Może była jedną z tych wywiadowczyń, nazywanych nieco żartobliwie Juliami, które zbierały informacje świadcząc usługi seksualne osobom na wysokich stanowiskach albo takim, które w ogóle mogły coś wiedzieć. Ciekawe czy już wtedy miała okrutne spojrzenie, czy przyszło potem, wraz z wiekiem i doświadczeniem. Zaraz skarcił się za tę myśl. Starzeję się, przeleciało mu przez głowę, zaczynam się bawić w idiotyczne psychologiczne analizy.

— Skoro mamy razem pracować — odezwała się Irmina — powinniśmy może przejść na ty.

Miała przyjemny, dość niski głos. Po polsku mówiła doskonale, z ledwie wyczuwalnym akcentem. Saszka był jednak pewien, że jeśli trzeba, tego akcentu w ogóle nie słychać.

— Ach, ta wasza niemiecka bezpośredniość — zaśmiał się Łazarz. — Ale zgoda, też uważam, że oficjalne formy są pozbawione sensu. Dobrze, w takim razie wysyłam was z Saszką do Pragi. Razem, razem — uprzedził pytania. — Odszukacie tam naszego przemytnika. To leży w interesie wszystkich. Będziecie udawać zakochaną parę przeżywającą drugą młodość. Tu masz — rzucił Walasowi kopertę — paszport na nazwisko Władysław Czekaaj, przedstawiciel firmy Makro Consulting. Irmina ma własną legendę. Na jutro rano wykupiłem wam miejsca w ekspresie.

— Moglibyśmy pojechać samochodem — powiedział Saszka. — Nie lubię...

— Pojedziecie pociągiem — uciął ostro Miguła. Przestał się uśmiechać. — W samochodzie łatwiej kogoś namierzyć. Zgadzasz się ze mną? — spojrzał na Irminę.

Kiwnęła głową, wstała.

— W takim razie do jutra — obrzuciła przelotnym spojrzeniem Saszkę. — Tylko błagam, ogarnij się trochę. Jedzie od ciebie wódą i

tanimi dziwkami.

— Moment — zatrzymał ją Walas. Nagle dotarło do niego, co to wszystko znaczy, jaki cel postawił sobie Łazarz. Zwrócił się do niego. — Przebukuj bilety na pojutrze. Coś mi się przypomniało. Muszę jeszcze raz skoczyć do Wałbrzycha, kogoś odwiedzić.

— Nareszcie — westchnął z udawaną ulgą Miguła. — Już myślałem, że przestałeś kumać co i jak w tym fachu.

## 11.

Michał ocknął się z przyjemnego odrętwienia. Promień światła, prześwitujący przez szczelinę żaluzji, padł na jego twarz, wdarł się w głąb źrenicy.

— Nie śpisz? — spytała Dorota leniwie. Przekręciła się na brzuch, spojrzała mu prosto w oczy. — Myślałam, że zasnąłeś.

— Nie spałem. Napawałem się myślą, że jesteś przy mnie. Nie przypuszczałem... — przerwał nagle, tknięty niepokojącą myślą.

— Jak mnie w ogóle znalazłaś? Przecież nie miałaś pojęcia, gdzie mieszkam!

— Zapominasz, że nieźle sobie radzę z komputerami — uniosła się na łokciach, położyła policzek na jego piersi. Mówiła teraz w stronę pokoju, głos odbijał się i wracał dziwnym, odrobinę drażniącym pogłosem. — W końcu dostałam od ciebie maila na święta i na imieniny. Dlaczego nie odpowiadałeś na moje listy?

— Byłem przekonany, że między nami koniec. Że ci nie zależy.

— Dlatego pisałam, że mi nie zależało? Tak uważasz?

— Nigdy nie mogłem zrozumieć kobiet. Pewnie dlatego moje małżeństwo skończyło się tak, jak skończyło.

— A może po prostu trafiłeś na niewłaściwą osobę? Może nie pasowaliście do siebie? Istnieje taka możliwość, ale nie wiem, czy przyszła ci w ogóle do głowy.

— Wszystko mi przyszło, chyba każda ewentualność. Ale potem pomyślałem, że to moja wina. Przecież gdyby nie robota w policji, mogło być inaczej. Ale nie, musiałem wybrać psią służbę, być dyspozycyjnym, chodzić na dyżury. A ona nie miała ochoty ciągle na mnie czekać.

— Bo męska rzecz być daleko, a kobieca wiernie czekać. Znasz ten kawałek? Jest bardzo prawdziwy. Tylko że nie każda z nas umie cierpliwie wyglądać powrotu męża. Mnie bardziej ciekawi, dlaczego postanowiłeś skończyć naszą znajomość.

— Ja?! — zdumiał się. Chciał usiąść, ale Dorota uparcie trzymała głowę na jego piersi. Musiałby ją mało delikatnie zrzucić, a tego na pewno nie zamierzał robić. — O ile pamiętam, to ty wyrzuciłaś mnie z



domu, kiedy po raz setny zaproponowałem wyjazd.

— Zaproponowałeś? Nie, Misiu, ty po prostu swego czasu oznajmiłeś, że zmieniasz pracę i miejsce pobytu. A potem tylko mnie namawiałeś. Nie zamierzałeś podać szczegółów, jeśli nie zadeklaruję, że pójdę za tobą w ciemno.

— Nie mogłem... czasem tak bywa.

— Czego nie mogłeś? Powiedzieć mi, że podejmujesz pracę w kontrwywiadzie? Nie drgaj tak za każdym razem, kiedy coś mówię, bo mnie w końcu ucho rozboli. Masz mnie za głupią? Spiknąłeś się z Bzowskim. Wiesz ile razy odwiedzał mnie ktoś od niego? Niby wypytywali o mój udział w sprawie oleśnickich podziemi, o śmierć mojego ojca, ale zawsze w końcu bardziej interesowali się tobą. To były takie niespodziewane pytania, zaskakujące, czasem nawet pozornie pozbawione sensu. Sprawdzali cię. Więc kiedy powiedziałaś, że wyjeżdżasz do pracy, od razu zgadłam, że będziesz pracował w jakiejś ich delegaturze. Nie myślałam tylko, że wylądujesz w samej Warszawie.

— Ciebie powinni zatrudnić zamiast mnie — mruknął. — Radziłabyś sobie lepiej z tymi wszystkimi zagadkami.

— Pomyślę czy nie złożyć podania — zaśmiała się.

— Ale zaraz — Michał zmarszczył brwi. — Pytałem, jak mnie znalazłaś, ale sprytnie zmieniałaś temat. Znasz się na komputerach, jednak co z tego? Możesz uściślić?

— Co z tego? Ano tyle, kochany, że wiem, jak odszukać nadawcę wiadomości. Wystarczy odpowiedni program szpiegujący, trochę wiedzy, wytrwałości i determinacji. W pracy masz na pewno łącza doskonale zabezpieczone. Z takimi bym sobie nie poradziła. Ale prywatne maile nadajesz z domu. Bez większego trudu zdobyłam twój stały numer IP, poszukałam, pogrzebałam w sieci i z radością stwierdziłam, że nie jesteś w jakiejś wielkiej sieci osiedlowej, ale masz własne stałe łącze.

— Jednak pełny adres, numer domu i mieszkania... Tego się nie zdobędzie tak łatwo bez odpowiedniej pomocy.

— Zapominasz chyba, że jestem kobietą. Podobno pełną uroku i powabu, a przynajmniej tak twierdziłeś zanim uciekłeś. Zadzwoiłam gdzie trzeba, z jednym facetem umówiłam się nawet na spotkanie... Znów cię podrzuciło? Nie bój się, nie poszłam z nim do łóżka. Od naszego rozstania żyję jak zakonnica.

— To tak, jak ja — pogładził ją po włosach.

Zmieniła pozycję. Znów opierała się o niego brodą, a błyszczące oczy patrzyły z mieszaniną rozbawienia i niedowierzania.

— Naprawdę? Jakoś mi się nie wydaje.

— Nie zamierzam przysięgać — burknął — ani cię przekonywać. Chcesz wierzyć, nie chcesz, nie musisz. Zresztą przez większość czasu nie miałem głowy ani czasu na głupoty. Nawet nie wiesz, jak ciężkie i upierdliwe są szkolenia w tej robocie.

— Niech będzie. Najważniejsze, że udało się cię namierzyć.

— Najważniejsze — przytaknął gorliwie. — A teraz może zrobimy sobie mały replay?

Uniosła brwi, zaskoczona.

— Jeszcze raz? Naprawdę masz siłę? Chyba zacznę wierzyć, że żyłeś w celibacie.

\*

Nie dane im było zbyt długo się sobą nacieszyć. Tuż przed piętnastą Michała poderwał telefon od majora.

— Chcę cię zobaczyć u siebie za pół godziny!

— Nie jesteś w górach?

— Nie zdążyłem wyjechać. Nie gadaj, tylko przyjeżdżaj. Zaraz zgłosi się u ciebie kierowca.

O wpół do czwartej wszedł do gabinetu Bzowskiego.

— Przyszła ekspertyza. Odciski palców na dłoni Mirka należą do pewnego wielokrotnie notowanego gościa.

— Jakiś bandzior? Płatny morderca?

— Właśnie nie. Gdyby tak było, nie zawracałbym ci głowy. Odciski zostawił zwykły przemytnik. Przypuszczam, że natknął się na ciało, niosąc jakąś kontrabandę. Facet nazywa się Franciszek Żyła. Z tego co mi w tej chwili wiadomo, przemytem zajmował się chyba od urodzenia, a może nawet wcześniej, w brzuchu matki, bo jego rodzicielka parę razy właśnie za to siedziała. On sam urodził się w więziennym szpitalu. Po wprowadzeniu nowych przepisów celnych pewnie znacznie mu się pogorszyło, a w każdym razie stracił się z oczu pograniczników. Wygląda jednak, że od jakiegoś czasu znów pracował. Ale pewnie dla jakiejś grupy, a może nawet większej organizacji, bo zwykły, marny kontrabandziarz nie bardzo ma możliwości rozwoju przy czeskiej i

niemieckiej granicy.

— No to każ go przymknąć. Trzeba faceta rozpytać.

— Właśnie — westchnął Bzowski. — To nie takie proste. Policja w Wałbrzychu załatwiła rzecz błyskawicznie, byli u niego w domu pięć minut po moim telefonie. Ale nasz pieszczołek zniknął.

— Jak to zniknął?

— Wyjechał. Zostawił żonę i prysnął. Dla niej to zresztą żadne zaskoczenie, bo Żyła często tak robił w przeszłości.

— Aha. I nie wiadomo dokąd wyjechał.

— Komendant z Wałbrzycha okazał się nadspodziewanie łebski i operatywny. Zanim dał nam znać o fiasku poszukiwań, kazał zebrać więcej informacji. Żyła mógł się przenieść albo w głąb Polski do rodziny, albo do Pragi, gdzie też ma jakichś krewnych i sporo znajomych. Zanim do ciebie zadzwoniłem, dostałem wiadomość z przejścia w Bogatyni. Kilka dni temu nasz figurant przekroczył granicę. Mieliśmy trochę szczęścia, bo teraz można sobie swobodnie łązić w obie strony, ale rozpoznał go jeden ze starszych celników. Rozpoznał i zapamiętał. Wiesz, oni mają w sumie paranoję gorszą niż nasz szef, ale czasem to się przydaje.

Michał podrapał się w głowę.

— Dobrze. Ale Praga to wielkie miasto. Potrwa, zanim go zdołamy zlokalizować. Oczywiście zakładając, że nie prysnął gdzieś dalej.

— Już poprosiliśmy o pomoc czeską policję. Wiedzą, że to sprawa priorytetowa. Musimy przecież znaleźć przemytnika, zanim go załatwią ci, przed którymi zwiął. Jest jeszcze trochę czasu, poczekamy do jutra. A nuż praskie gliny coś wywęszą. A ty pogłówkuj, poczytaj jeszcze, jeśli znajdziesz trochę czasu...

— Właśnie — powiedział Michał przez zaciśnięte zęby — a propos. Czy mógłbyś nie wtrącać się w moje prywatne sprawy?

Bzowski spojrzał zdumiony.

— O czym ty do mnie rozmawiasz?

— O czym ja do ciebie rozmawiam? Nie rznij głupa, dowódco. Kto dał moje namiary Dorocie Walberg?

— Co ty gadasz...

— Sam mnie ściągnąłeś do centrali, kazałeś wyszkolić, więc teraz nie traktuj mnie jak jakiegoś idioty bez pojęcia. Wczoraj wspominałeś coś

o niespodziankach i byłeś bardzo tajemniczy. Dzisiaj rano zjawia się Dorota i opowiada głodne kawałki, jak to mnie namierzyła za pomocą Internetu. Udawałem, że to kupuję, ale nie myśl sobie, że na tyle mi rozum odebrało.

— Myślałem, że się ucieszysz — major tym razem był naprawdę zdezorientowany. — Łaziłeś jak struty. Żebyś widział swoją minę, kiedy zamyślony gapiłeś się w okno... Wyglądałeś jak srający kot na puszczy. Gdybym wiedział, że sobie nie życzysz...

— Nie życzę sobie — Michał dalej cedził każde słowo — żeby firma ingerowała tak głęboko w moje życie. Ale... No dobra — zlitował się wreszcie nad wyraźnie zbitym z tropu przełożonym. Szerokim gestem wyciągnął prawą dłoń. — Dzięki, stary. Sam nigdy bym się nie zdecydował, żeby... Nieważne. Dzięki.

Bzowskiemu wyraźnie ulżyło.

— Masz u mnie dobre piwo — dodał Michał — i to niejedno. Jak tylko będzie trochę więcej luzu.

— Dobra. Tylko tym razem bez browarowych opowieści. Twój zajob na punkcie tego płynu nie był wcale ostatnią przyczyną, która skłoniła mnie do złamania żelaznych zasad. Miałem nadzieję, że obecność pani Walberg coś pomoże.

\*

Kobieta z przerażeniem patrzyła na intruza. Wdarł się do domu przemocą, prawie wbił ją w ścianę, kiedy pchnął drzwi. A teraz trzymał nóż przy buzi zaleknionego ośmiolatka.

— Skąd mam wiedzieć, gdzie się ten skurczybyk podział? — powtórzyła to piąty czy szósty raz.

— Radzę pomyśleć — warknął Saszka. Chwycił mocniej chłopca. — Bo zabiję szczeniaka! Nie za stara jesteś na takie małe dziecko?

— To wnuk — szepnęła.

— Świetnie — zarechotał mężczyzna. — Podobno wnuki kocha się bardziej niż dzieci. Najpierw pokażę ci, suko, jak wyglądają ząbki z prawej strony mordeczki tego szkraba, potem z lewej, a później wymyślimy coś ciekawego.

— Nie rób mu krzywdy — zbladła, z oczu puściły się łzy.

— Powiedz, gdzie się urwał twój stary, a pójde sobie i więcej mnie nie zobaczysz.

— Pytali o niego już rano. Czego wszyscy chcecie?

— Kto pytał? — Saszka drgnął. Nagły ruch sprawił, że ostrze noża drasnęło delikatną skórę dziecka. Pocięła strużka krwi. Kobieta patrzyła bezradnie.

— Policjanci.

— Co im powiedziałaś?

— To samo, co tobie. Nie wiem, gdzie uciekł. Pewnie do Pragi.

— Do jakichś znajomych?

— Do kochanicy! Kurwę sobie tam przygruchał.

— Jej adres!

Popatrzyła na niego jak na szaleńca. Saszka nie miał wielkiej nadziei, że żona Żyły będzie znała zamiary metresy męża, ale nie zaszkodziło spróbować.

— Dobra — powiedział. — Nie było pytania. Co możesz jeszcze powiedzieć?

— Gównu. Franek całe życie był gównu wart, to i tyle można o nim powiedzieć. Szlajał się tylko gdzie popadło z różnymi podejrzanymi typami. Dzieci narobił, a potem skąpił na utrzymanie, chociaż sam forsą srał. A jak go potem przycisnęło, przypomniał sobie nagle o rodzinie. Siedział nawet na tyłku rok czy dwa, póki znów go nie poniosło.

Saszka pomyślał, że powinien w tym momencie zacząć odczuwać wyrzuty sumienia, bo sam przecież skaptował Żyłę do roboty. Uśmiechnął się w duchu. Najpierw musiałby w ogóle posiadać coś takiego jak sumienie.

— Praga, mówisz. A jak nie u kochanki, to u kogo mógłby być?

— Nie wiem... — urwała widząc, że nóż mocniej napiera na policzek dziecka. — Ma paru znajomych. Ale wiem tylko o jednym.

— Gadaj!

— Ma na imię Petr. Nie wiem, jak nazwisko, ale wołają go Pilma. Mieszka w dzielnicy Žižkov albo Nové Mesto. Raz w życiu stary mnie tam zabrał, ze dwadzieścia lat już będzie. Nie wiem nawet czy ten Pilma jeszcze żyje.

— Psom o tym powiedziałaś?

— Nie pytali.

Saszka kiwnął głową z zadowoleniem. Pchnął chłopca na kobietę. Chwyciła go w objęcia, zaczęła wycierać zakrwawioną twarzyczkę. Walas

patrzył obojętnie.

— Mnie tu nie było, rozumiesz? Jeśli komuś o mnie wspomnisz, mogę wrócić i dokończyć robotę. Pozdrowić od ciebie Franciszka, jak go znajdę?

— Mam go gdzieś — warknęła. — Tak samo jak on mnie i dzieciaki. Możesz mu nawet mordę oberznąć, co mi do tego.

— Kochająca się rodzinka — zauważył cierpko Saszka. — Naprawdę nie martwisz się o męża?

— Pies z nim tańczył.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Wszedł na brudny korytarz starego domu. Cuchnęło kocim moczem i rzygowinami. Saszka uśmiechnął się triumfalnie. Od wczoraj, od chwili kiedy zrozumiał, o co chodzi Łazarzowi, wstąpił weń nowy duch. Miguła nie przyjechał policzyć się z nim za konszachty z Rosjanami i za wyprzedawanie łupów zadołowanych w latach osiemdziesiątych. Było coś ważniejszego, co czekało od ponad ćwierćwiecza na swój czas. Łazarz najwyraźniej uznał, że ów czas nadszedł.

\*

— Przeczytałeś do końca opracowanie? — Bzowski spojrzał na Michała znad sterty papierów. — Dobra, nie odpowiadaj. Jeleń na rykowisku też nie zajmuje się pogładową analizą układu wnyków w zagajnikach. Nie ma się o co obrażać. Porównanie jak porównanie.

— Nie obrażam się. A materiał przejrzałem dokładnie. Nie mam osiemnastu lat, żeby seks zupełnie zaćmił mi umysł.

— Miło słyszeć. W takim razie...

— Trzeba jechać w miejsce, gdzie znaleziono Mirka — przerwał niecierpliwie porucznik. — Zanim spadnie porządny deszcz! Miałeś...

— Posłałem Witka. Lepiej od nas obu razem wziętych radzi sobie ze sprzętem. Znajdzie co trzeba, jeśli w ogóle jest coś do znalezienia.

— Przecież minister kazał ci wszystkiego dopilnować osobiście.

— Minister nie ma pojęcia o operacyjnej robocie. Mogę znosić jego fanaberie, ale nie wtedy, kiedy mam coś ważniejszego do roboty — Milczał przez chwilę, wpatrzony w jakiś dokument. — Nieważne. Skoro przeczytałeś, mów.

Michał od razu wiedział, o co chodzi przełożonemu. To, co Bzowski powiedział Piwnickiemu podczas ostatniej rozmowy, a na co Wroński tak

się oburzył, było świętą prawdą. Sam nie wiedział, skąd to się wzięło, ale niespodziewanie potrafił dochodzić do interesujących, niekonwencjonalnych wniosków, które niejednokrotnie zaskakiwały jego samego.

— Uganiamy się za widmem — zaczął.

— Tak uważasz? Dlaczego?

— Z materiałów wynika, że nikt nie wie, gdzie Bursztynowa Komnata znajdowała się wiosną czterdziestego piątego, a być może nawet wcześniej, jesienią poprzedniego roku.

— Niemcy potrafili zacierać ślady jak nikt. Prześcignęli nawet fachmanów z NKWD czy GRU, u których pobierali nauki.

— Właśnie. Ale coś mi się wydaje, że tym razem mogli je zatrześć zbyt dobrze. Na przykład ten konwój do Bolkowa. Samochody Wehrmachtu ze skrzyniami. Ukryli transport w podziemiach zamku, wysadzili wejścia, zaminowali część terenu, o czym na własnej skórze mogli się przekonać zbyt ciekawi. Co tam ukryli, nie wiem. Wiem tylko, że to było jedno z działań pozoracyjnych, wpisujące się w większe przedsięwzięcie.

— Skąd ten wniosek?

— To oczywiste. Takiego transportu nie można przeoczyć, nie da się go zapomnieć. Przecież w Bolkowie, czy też jeszcze podówczas Bolkau, pojawiło się nagle wojsko. Miejskowe kobiety musiały zapamiętać nie tylko fakt, iż dotarł tam konwój, ale były w stanie podać liczbę żołnierzy. W dodatku nie liczyły wojaków z przyczyn statystycznych, ale czysto erotycznych — samotne od lat, bo w mieście pozostali tylko starcy i paru wyrostków. Właśnie dlatego myślę, że ze strony Niemców to były działania częściowo pozorowane, nakierowane na to, żeby po wojnie ludzie zaświadczyli o możliwości ukrycia Bursztynowej Komnaty właśnie w tym miejscu. Ktoś nawet widział kawałek okładziny... To jednak zbyt czytelne.

— Ciekawe — kiwnął głową major. — Czytałem pewną książkę na temat skarbu, w której autor doszedł do podobnego wniosku, przynajmniej jeśli chodzi o te niemieckie kobiety. Nie wiem, ile mu zajęło przemyślenie tej kwestii, ale przypuszczam, że o wiele dłużej niż tobie. Dawaj dalej.

— Czytałeś przecież. Dzików, Weimar, Śląsk, może nawet Wartburg,

szyby pod Śnieżką, Góry Sowie... Wszędzie wjeżdżały transporty i wszędzie ludzie mówili o skarbach, a nawet konkretnie o gabinecie z Carskiego Sioła. A przecież Rosjanie przyjęli początkowo za pewnik, jakoby skrzynie zostały zadołowane na miejscu, w Królewcu. Ten oficer, komisarz Krolewski, uwierzył zapewnieniom dyrektora Alberta Rohde, a delegat naukowy, profesor Briusow też nie wykazał się specjalną inteligencją ani intuicją w tym względzie.

— Uważasz, że Rohde dokładnie wiedział, gdzie ukryto skrzynie zawierające komnatę?

— Tak uważam. Dlatego nie pożył zbyt długo. Spełnił swoją rolę, zdezorientował Sowietów, a w grudniu nagle zmarł. Dziwne. Zastanawiam się, kto jeszcze mógł posiadać pełną wiedzę w tym względzie.

— A ślad karkonoski? Brednie o strażnikach, których hitlerowski wywiad pozostawił na straży w Karpaczu?

— Właśnie. To bardzo interesujące. Ukrycie skrzyń w Karkonoszach jest jak najbardziej możliwe. Tak możliwe i oczywiste, że trudne do uwierzenia. To, moim skromnym zdaniem, zbyt oczywiste. Szyby po wydobyciu srebra, korytarze wyryte w ciągu wieków, zmodernizowane w latach trzydziestych i czterdziestych... Pod Śnieżką przed wojną była spora koleba, prawdopodobnie z głębokimi korytarzami, może nawet łączącymi się ze starymi chodnikami poniżej, właśnie w Białym Jarze. Po wojnie wejście do tej koleby zostało albo zasypane, albo zamaskowane tak, że nie można go zlokalizować. Ale mnie się wydaje to wszystko niezbyt prawdopodobne. Tam się kręci zbyt dużo ludzi, to był zawsze ruchliwy region. Myślisz, że nie znalazło się paru śmiazków, którzy poleźli do szybów? Myślisz, że obce agentury potrafią upilnować naprawdę wszystkich? Może pod Wielką Sową albo nawet na Ślęży. Ale na pewno nie w miejscu, gdzie łążą regularne pielgrzymki i naprawdę nie wiadomo, komu patrzeć na ręce.

— A ten żołnierz, przy którym znaleziono fragment planów? Z tego co wiem, znaleziono na jego mundurze ślady po wspinaczce, błoto i pył typowy dla składu skał w szybie Gustaw. Może miał przy sobie jeszcze inne plany, a może zszedł do starej kopalni, żeby je właśnie zdobyć?

— Może — Wroński nie dał się zbić z tropu. — Wszystko się niby zgadzało. Jednak kto powiedział, że wopista rzeczywiście znalazł jakieś



konkretne dokumenty? Pamiętaj, że w latach sześćdziesiątych tak Rosjanie, jak i Niemcy wzmogli aktywność w poszukiwaniach komnaty.

— Uważasz, że to była podpucha?

— Uważam, że mogła być. W tej sprawie trudno cokolwiek twierdzić kategorycznie. Ale to zbyt grubymi nićmi szyte. Przecież po gabinecie zostały jakieś złomki, fragmenty mozaik posadzkowych. To wygląda, jakby ktoś chciał zwrócić uwagę właśnie na karkonoski trop. Pod koniec roku trup żołnierza z bursztynami, a już trzy miesiące później w „Orlinku” odbyła się narada trzech wywiadów.

— Narada zakończona tragedią.

— Tak. To się nazywa tragedia kontrolowana. Powiedz mi, skąd się tam wzięły nagle dwa plutony Wojsk Ochrony Pogranicza? Dlaczego przepędzono polskich i czeskich ratowników?

— Zapewne wopięści mieli za zadanie chronić delegatów.

— Nie kpij. Mieli zapewnić ochronę, ale miejsca, a nie ludzi. Kazano im za wszelką cenę zablokować dostęp do ofiar. Tam była przecież strzelanina. Nie powinni pozostać niewygodni świadkowie. Żołnierze, a może raczej przebrani w mundury pracownicy wydziału drugiego, mieli zadbać, żeby okolica była pusta. Lawina zeszła jako efekt niezamierzony, pewnie zaskoczyła także ich i dlatego w pierwszej chwili pozwolono wejść na teren zdarzenia ratownikom. Jacek, taka ochrona? Nie uważasz, że agenci specjalni wywiadu i kontrwywiadu sami są dostatecznie wyszkoleni, żeby o siebie zadbać? Wystarczyłoby paru pistoletów jako warta. Takich jak nasz przyjaciel Łazarz.

— Byłem ciekaw, kiedy o nim wreszcie wspomnisz.

Michał machinalnie wziął ze stołu kubek majora, łyknął kawy.

— Wspominam, bo uważam, że młody esbek Robert Miguła maczał palce w zgładzeniu wycieczek. Już wtedy na pewno był wprowadzony w założenia akcji „Żelazo”. Znając jego spryt i inteligencję, mogę śmiało przypuścić, że bardzo prędko wiedział o Bursztynowej Komnacie mniej więcej tyle, co uczestnicy obrad. Może nawet założył im podsłuch. Na spotkaniach w „Orlinku” od ważnych informacji było pewnie gęściej niż od dymu papierosowego. Nie można wykluczyć niczego. Może nawet strony podzieliły się ważnymi informacjami na temat komnaty?

— Tu wkraczamy na teren twoich domniemań i domysłów. O ile mi wiadomo, a opracowanie mówi to samo, narada w „Orlinku” dotyczyła

warunków organizacji akcji „Żelazo”. Owszem, Polacy zgodzili się ułatwić poszukiwania ekspedycjom Rosjan i ernerdownców, ale...

— Ale nie możemy wykluczyć, że ktoś od nas przehandlował ważne wiadomości w zamian za inne korzyści. A może nawet była to inicjatywa jak najbardziej uzgodniona z dowództwem. Bo zachodniemiecki wywiad, BND, też nagle zaczął się bardzo interesować poczynaniami Stasi i KGB na terenie Dolnego Śląska. Może chodziło o ułatwienie rozszerzenia „Żelaza” na nowe tereny działalności? A może o ułatwienie naszym agentom wywozu dzieł sztuki z Niemiec, Francji, Austrii, Włoch a nawet Stanów Zjednoczonych? Im bardziej uwaga Zachodu była skierowana tutaj, tym mniej energii i środków przeznaczali na pilnowanie jakichś tam bandyckich napadów nawet na własnym terenie.

Bzowski zmrużył oczy, badawczo spoglądał na rozmówcę. Wroński znalazł się w tym stanie, w którym jego hipotezy uwalniały się pozornie zupełnie niezależnie od przesłanek, zdawały się niebotycznie głupie, a potem niezwykle często okazywały się rozsądne i bliskie prawdy. Major nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, ale niektórzy wykazują podobny dar. Miał go też, niestety, Łazarz. Właśnie dzięki niesłychanym umiejętnościom analitycznym został pozytywnie zweryfikowany po osiemdziesiątym dziewiątym. Bzowski z niejaką ulgą pomyślał, że to wielkie szczęście, iż trafił się w jego wydziale ktoś, kto mógł dorównać Migule.

— A czemu wspominasz o swobodnym wywozie dzieł sztuki?

— Jacek, pytasz jak dziecko i jak dziecku trzeba to tłumaczyć? Przecież po wojnie do Polski nie wróciła cała masa skarbów. Te wszystkie obrazy Rembrandta, Leonarda, Tycjana... Nie chciano ich zwrócić komunistom, chociaż jedno trzeba przyznać tamtemu reżimowi — zadbałyby i o obrazy, i o precjoza, i o każdą cenną rzecz. Niektóre eksponaty wprawdzie mogłyby się znaleźć w prywatnych kolekcjach aparatczyków. Ale czy to zbyt wysoka cena dla społeczeństwa pozbawionego dziedzictwa? Cóż jednak, każdy pretekst jest dobry, żeby usprawiedliwić rabunek. Do dzisiaj złodzieje są w posiadaniu naszej własności. Najgorsi złodzieje, bo nieosiągalni dla prawa. Przecież nie sądzi się rządów najsilniejszych państw świata.

— Dobrze, że nasi przełożeni tego nie słyszą — mruknął major. — Dawniej takie gadanie nazywało się godzeniem w sojusze.

— Powiedziałem może coś niezgodnego z prawdą? — zaperzył się lekko Michał.

— Skąd. Święte słowa. Ale wytłumacz mi, jak się mają do siebie Bursztynowa Komnata, akcja „Żelazo” i odzyskiwanie dzieł sztuki.

— Na początku myślałem, że chodzi nam o wyjaśnienie niektórych zagadek „Żelaza”.

— Ja też tak myślałem na samym początku — mruknął Bzowski.

— Nie przerywaj. Zapoznałem się ze stosem teczek, raportów, rozliczeń, poufnych informacji i zwykłych donosów. Doszedłem do przekonania, że jednym z głównych celów akcji „Żelazo” było właśnie odzyskanie niektórych przynajmniej dzieł sztuki, przed wojną należących do Polski.

— Ja też przeglądałem dokumenty — wtrącił major. — Ale nie znalazłem śladu, żeby coś do nas w ten sposób wróciło.

— Skąd wiesz? Przecież od czasu do czasu pojawiały się informacje o odkryciu gdzieś na strychu albo w prywatnych zbiorach skarbów kultury. Naprawdę myślisz, że to nie były właśnie owoce działań służb? Uważasz, że podobne informacje znajdują się w formalnych raportach, można je wygrzebać z archiwum?

— Nic nie sądzę — roześmiał się Bzowski. — Ja to wiem. Ale mnie o tym powiedziano, a ty doszedłeś do sedna sprawy sam.

— Nie lubię, jak mnie tak podpuszczasz.

— Ale ja bardzo lubię. Dawaj dalej.

— Wydaje mi się, że ten aspekt „Żelaza” w pewnym momencie spalił na panewce. Możliwe, że bruździła tutaj bandycka działalność takich grup jak ta sławetna, kierowana przez braci Janosz. Gdzieś utonął szlachetny cel, a zabawa stała się strzelaniem do jednej bramki. Towarzysze z Komitetu Centralnego PZPR, a także wszyscy krewni i znajomi królika woleli się szybko i łatwo dorobić, niż myśleć o potomności.

— Jest taka możliwość. A gdzie tutaj Łazarz? Bo nie skończyłeś o nim mówić.

— Uważam, że Łazarz jakimś sposobem wszedł w posiadanie utajnionych informacji o miejscu ukrycia Bursztynowej Komnaty... Nie, to za wiele powiedziane. Gdyby posiadał należyłą wiedzę, albo byłby już dzisiaj miliardерem, albo trupem. Łazarz ma jakąś część cennych

wiadomości. A poza tym on i cały jego wydział miał po tragedii w Białym Jarze masę szczęścia. Jak zwykle zresztą. Czasem zaczynam myśleć, że Bóg sprzyja szubrawcom.

— A dokładniej?

— Tajemnicza sprawa lawiny utonęła przecież w fali wydarzeń marcowych. Gomułka i jego zaufani nie mieli czasu zastanawiać się nad tragedią. A po marcu w kraju wrzało, musieli zwrócić uwagę na coś innego niż odzyskiwanie zabytków i gonitwę za mrzonkami. A teraz najwidoczniej Miguła uznał, że może sobie pozwolić wreszcie na wykorzystanie tego, co wie albo nawet posiada...

— Tak. Może ten przemytnik naprowadzi nas na jakiś trop.

— Najpierw musimy jednak wpaść na jego trop.

Major uśmiechnął się promiennie.

— Mamy pewne informacje. Praska policja szuka, a kapitan Mroczek dał nam cenne wskazówki.

— Kapitan Mroczek? — zmarszczył brwi Michał. — Nie znam.

— Znasz, znasz. To nasz dobry znajomy, komisarz Piwnicki.

— Rozumiem. Wywiad ruszył tyłek? Że też niektórzy dobierają sobie takie fałszywe nazwiska. Mroczek kojarzy się z Piwnickim tak jak mrok z piwnicą. Mało oryginalne.

— Ale łatwo zapamiętać. Dość o tym. Masz tutaj kartkę z danymi konfidenta, miejsce i czas spotkania. Zniszcz ją jeszcze przed wyjściem z biura. Jutro musicie być w Pradze.

— Musimy? — zmarszczył brwi Wroński.

— Musicie — powtórzył Bzowski.

## 12.

Pociąg kołysał się miarowo. Jazda w ekskluzywnym wagonie Intercity nawet na wyłomotanych polskich torach nie wydawała się zbyt uciążliwa. Irmina siedziała z nogą założoną na nogę, zagłębiła się w lekturze jakiejś książki, której niemiecki tytuł nic Saszce nie mówił. On sam czytał gazetę, jednak nie mógł się skupić. Od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenia na odsłonięte kolana i szczupłe, choć zarazem mocne łydki towarzyszki podróży.

— No, teraz jakoś wyglądasz — powiedziała na peronie. — Widzisz? Jak się człowiek ogarnie, sam czuje się o wiele lepiej, a innym też miło.

Nie odpowiedział wtedy. Miał ochotę burknąć coś złośliwego na temat czterdziestolatki udającej dwudziestkę, ale darował sobie. Nie zamierzał wszczynać wojny przed wspólną podróżą. Potem trafił go szlag, kiedy zajęli miejsca w przedziale.

— Gdybyś mógł nie palić — spojrzała wymownie na fajkę, którą wydobyl — byłabym wdzięczna.

— To przedział dla palących — zaprotestował.

— Możliwe. Ale to nie znaczy, że masz mnie wędzić. Możesz się wynieść gdzie indziej. Pociąg prawie pusty, konduktor nie będzie się czepiał, że masz miejscówkę nie z tego przedziału.

Tym razem miał ochotę zaproponować, żeby sama się wyniosła, skoro tak jej przeszkadza dym, ale znowu zmilczał. Łazarz wyraźnie powiedział, że ma jej strzec jak oka w głowie, patrzeć na ręce. Saszka był na sto procent przekonany, że Irmina dostała identyczne wskazówki. Stary ubecki lis nie ufał nikomu. W tym wypadku zresztą zapewne miał całkowitą rację. W końcu Walas, nie zważając na nic, wypchnął za Zachód sporo złomu z dawnych lat. W dodatku oddawał dzieła sztuki za bezcen. To znaczy za bezcen dla nabywców, ale nie dla niego i pomocników. Często zastanawiał się, czy za odbiorcami nie stoi przypadkiem jakaś agenda państwowa. Brali wszystko jak leci, bez grymaszenia. Płacili też bez protestów żądane sumy. Świeczniki, naczynia liturgiczne, ikony, obrazy czy stare foliały, wszystko to znikało po drugiej stronie granicy niczym w paszczy lewiatana. Tylko jednej rzeczy Saszka nigdy nie

odważył się ruszyć. Zawartość czterech wielkich walizek była święta. Parę razy kusiło go nawet, żeby odbić szyfrowe zamki, zagarnąć ładunek. Jednak czuł całym sobą, że to by była gruba przesada. Miguła mógł darować wiele, ale nie to.

— Masz szczęście — powiedział, oglądając uważnie zamknięcia. — Patologiczny morderca z ciebie i straszny skurwysyn, ale wiesz, kiedy trzeba przestać. Tylko dlatego zresztą masz jeszcze obie ręce.

— Dzięki za ciepłe słowo — mruknął cierpko Saszka.

Znajdowali się wtedy w piwnicy jednej z wrocławskich melin pozostałej po dawnych czasach. To było jedno z tych miejsc, o których nie mieli pojęcia ani ich współpracownicy z akcji „Żelazo”, ani nadzorujący ją oficerowie z ministerstwa. Ci ostatni w ogóle podchodzili niedbale do takich szczegółów. Z początku Saszka, młody podówczas pistolet, był zdumiony niefrasobliwością władz, ale Łazarz mu to wytłumaczył w kilku słowach. Wyżsi urzędnicy nie chcą wiedzieć o podobnych nielegalnych sprawach. Wtedy z czystym sumieniem mogą się wyprzeć udziału, nawet poddać badaniu na wariografie. Ludzie od czarnej i mokrej roboty powinni sami sobie radzić i trzymać pysk na kłódkę. A jakiś czas potem, na początku lat dziewięćdziesiątych, Miguła zdeponował w starej skrytce te cztery walizy.

Pociąg zahamował gwałtownie. Saszka poleciał do przodu, oparł się rękami o siedzenie naprzeciwko. Skład prawie w tej samej chwili ruszył ostro do przodu tak, że mężczyzna odbił się od przeciwległego fotela i wylądował z głuchym hukiem z powrotem na miejscu.

— Ożeż ku... — mruknął wściekły. Irmina patrzyła pytająco. — Pewnie coś wylazło na tory — wyjaśnił — albo maszynista urządził ekstremalną próbę hamulców. Nie cierpię pociągów.

Kiwnęła głową, wróciła do książki. Saszka zmiął gazetę. Gapił się na przemian na widok za oknem i nogi kobiety. Rzuciła mu jedno i drugie szybkie spojrzenie, zmarszczyła brwi, kąciki ust powędrowały ku dołowi. Walas wzruszył w duchu ramionami. Nieprzystępna jak lodowiec. Żeby chociaż zagadała, powiedziała cokolwiek. Ale nie. Czyta to powieścić, jakby od tego zależało życie. Wbił wzrok w odległy zarys wzgórz. Jeszcze kilkanaście kilometrów i monotony płaski krajobraz nabierze rumieńców, zamieni się w przyjemne dla oka wypiętrzenia.

Długo nie wytrzymał. Zupełnie nieświadomie znów przeniósł wzrok

na łydki, obciążone lśniącem materiałem. Irmina wstała. Wyglądała na poważnie rozdrażnioną.

— Tylko jedno wam w głowie — warknęła.

Podeszła do drzwi. Saszka skrzywił się. Co jej tak bardzo zależy? Przecież nie cisnął się z łapami. A chłop jak chłop, lubi popatrzeć. Jednak Irmina, zamiast wyjść, przekręciła blokadę, zasunęła szczelnie firanki.

— Jak sobie spuścisz z krzyża będzie lepiej? — spytała.

Walas zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał.

— Dobrze — odwróciła się tyłem, podciągnęła spódniczkę. Oczom mężczyzny ukazały się uda zwieńczone elegancką koronką pończoch. Irmina oparła się rękami o poręcze fotela. — Na co czekasz? Może zawołać kogoś do pomocy?

Saszka, wciąż nieco oszołomiony, wyciągnął dłoń, wsunął między jej nogi. Nagle ogarnęła go fala podniecenia. To był przecież seks, jaki lubił najbardziej — bez zbędnej gadaniny, wstępów i podchodów. Od razu można przejść do rzeczy. Wyjął rękę, wstał, podciągnął spódnicę Irminy jeszcze wyżej. Pasek stringów był niewidoczny między pośladkami. Mężczyzna pociągnął od góry, szarpnął mocno. Skrawek materiału spłynął na podłogę. Widok gotowej na wszystko kobiety, nogi na wysokim obcasie, zapach jej ciała, wszystko to sprawiło, że poczuł zawrót głowy. Chwycił ją mocno za biodra, rozchylił pośladki.

— Czekam — powiedziała głośno.

Zamek błyskawiczny syknął cicho. Saszka jednym ruchem uwolnił nabrzmiały członek.

— Jest twardy jak stal, dziwko — miał ochryply z podniecenia głos. — Przygotuj się.

— Nie gadaj tylko rób swoje, bo...

Nie dokończyła. Jęknęła, kiedy wszedł w nią niespodziewanie. Zaczął się poruszać bardzo mocno, brutalnie. Uchwyt twardych rąk na biodrach sprawiał ból. Saszka czuł, że Irmina staje się równie mocno podniecona jak on.

— Kocham takie rżnięcie — mruknął.

Kołysała się w rytm jego ruchów z ogromną wprawą. Widać było, że to jest to, co umie i lubi robić.

— Jak kochasz to rżnij — odpowiedziała.

Odwróciła głowę. Saszka natychmiast znacznie ostygł. Powinna mieć zamglony, nieobecny wzrok. Tymczasem patrzyła na niego trzeźwo, wręcz badawczo.

— Nigdy nie tracisz zimnej krwi? — zapytał.

— Nigdy. Dlatego jeszcze żyję.

Nadal mocno poruszała biodrami, przyciskała się do niego maksymalnie, żeby od razu odejść na taką odległość, na jaką potrzeba, żeby go podrażnić najbardziej. Saszka postanowił, że da nauczkę tej zimnej suce. Naparł jeszcze mocniej, stał się gwałtowniejszy. Ale ona patrzyła na niego cały czas w ten sam sposób. Wreszcie powoli odwróciła głowę, pochyliła się jeszcze bardziej, stanęła na palcach. Ta nagła zmiana sprawiła, że Walas najzupełniej niespodziewanie i w niekontrolowany sposób osiągnął szczyt. Stał jeszcze chwilę, nie do końca zdając sobie sprawę, że to już koniec, a Irmina już zdążyła przekreślić blokadę i rozsunąć zastony.

— Schowaj go — ruchem brody wskazała rozporek. — Wprawdzie teraz zmęczony ptaszek nigdzie nie odleci, ale najesz się wstydu, jeśli cię ktoś zobaczy.

Zadzwoiła komórka. Minęła chwila, zanim dotarło do niego, że to jego sygnał. Czym prędzej doprowadził się do porządku, odebrał.

— Dobrze się bawicie? — zabrzmiał głos Łazarza. — A może dzwonię nie w porę?

— W porę, w porę — odparł Saszka, zadowolony, że nie musi wysłuchiwać kąśliwych uwag Irminy. — Co jest?

— Dostałem cynk. Znajdziecie tego gościa bez większego kłopotu, jeśli sami nie zdołacie złapać śladu. Trzeba tylko będzie za kimś bardzo dyskretnie pochodzić. Liczę na ciebie, przyjacielu. A jak już znajdziesz swojego byłego pracownika, pozdrów go ode mnie bardzo serdecznie. I pożegnaj czule, utul do snu. Wiecznego snu.

— W porządku. Daj namiary.

— Słuchaj uważnie. Skup się, bo nie zamierzam dzwonić potem do Czech albo wysłuchiwać twoich narzekania, że się coś popierdoliło. Ustaliłem też, na której ulicy mieszka ten cały Pilma. Będzie ci teraz o wiele łatwiej.

Saszka spojrział na Irminę. Siedziała jak poprzednio, pogrążona w wyimaginowanym świecie książki. Poczuł mieszaninę podziwu, złości i



strachu. Takich kobiet naprawdę należy się bać.

\*

Hotel nie był może sześciogwiazdkowy, ale przytulny i miły, położony od centrum dość daleko, żeby dać turystom nieco spokoju i wytchnienia, ale nie na tyle, by podróż do najciekawszych rejonów miasta zajmowała zbyt wiele czasu. Michał bardzo sobie chwalił bar na dole. Na dębowych półkach stały rzędy butelek z whisky, koniakami, grappą, najróżniejszymi wódkami z całego świata. Jednak dla Wrońskiego ważniejsza była część, w której podawano jego ulubione napoje. Pierwszy raz w życiu miał okazję napić się beczkowego Staropramena, wyrobu jednego ze sztandarowych praskich browarów. Można też było kupić mocnego, czarnego Branika. Ten, który kupował w polskim sklepie nie umywał się do tutejszego. Ale najbardziej ucieszyło go piwo Orawskie.

— Będiesz zachwycona — oznajmił radośnie towarzyszcze. — To wspaniały napój. Co prawda warzą go na Słowacji, ale widać ktoś tutaj poszedł po rozum do głowy, skoro można się tego cuda napić również w Pradze. Pachnie płatkami róży. Nie wiem, w którym momencie dodają ich w cyklu produkcyjnym, ale zapach i smak są bardzo wyraźne. Zamówię dla nas po jednym, a w międzyczasie napijemy się czegoś innego. Orawskie trzeba łać długo i ostrożnie, bo daje obfitą pianę, gęstą niczym bita śmietana.

Zamienił z barmanem kilka słów. Tamten wyglądał na mocno niezadowolonego, że musi podać aż dwa orawskie piwa. Dorota patrzyła ze zdumieniem i pewnym zgorszeniem na minę mężczyzny za ladą. Przestała się dziwić dopiero, kiedy z pieczołowitością zaczął napełniać kufle — z kranu zdawała się wyciekać sama piana. Tymczasem Michał przyniósł dwie wysokie szklanki wypełnione ciemnopomarańczowym płynem.

— Patrz, mają tu nawet żytnie piwko — usiadł naprzeciwko, podsunął kobiecie naczynie. — Spróbuj. Nazywa się Hyma. Pierwszy raz widzę tę markę.

Pociągnął łyk, przymknął oczy. Do rzeczywistości przywołał go śmiech partnerki.

— Taki jestem zabawny?

— Wyglądasz jak kiper smakujący dwudziestoparoletni cabernet, a

nie spożywca zwykłego piwa.

— Myślisz, że smakowanie browaru jest czymś gorszym od próbowania wina? Piwo to przecież najstarszy napój świata. Ludzie zaczęli wytwarzać je wcześniej niż nauczyli się wypiekać chleb.

— To faktycznie jest dobre — umoczyła usta. — O wiele lepsze niż te w naszych sklepach.

— Bo to jest prawdziwe, niepodrabiane, bez zbędnych dodatków i konserwantów. Zrobiono je według starej receptury, na pewno tradycyjnie w miedzianych kotłach, a nie w instalacji ze stali kwasoodpornej, jak to się praktykuje w dużych browarach.

Uśmiechnął się do niej szeroko. Był niezmiernie zdziwiony, gdy Bzowski poinformował go, że może zabrać ze sobą Dorotę. Dowódca uznał, że akurat ta misja nie jest bardzo niebezpieczna, a zawsze lepiej, jeśli wywiadowca porusza się w towarzystwie i z dobrą legendą. W ich wypadku była to romantyczna podróż. Major śmiał się, bo naprawdę nie musieli niczego udawać. Uczucie biło od nich na odległość. Michał miał tylko wątpliwości, bo do wakacji zostało jeszcze parę tygodni, sezon matur, więc bał się, żeby ukochana nie miała kłopotów.

— Panna Walberg — rozwiął obawy major — jest na zwolnieniu lekarskim, przebywa w klinice z powodu jakichś problemów z sercem. To o sercu właściwie nawet się zgadza — zaśmiał się. — Na czas egzaminów maturalnych wyznaczono zastępstwo. Do siedzenia w komisji nie potrzeba nie wiadomo jakich kwalifikacji.

— Dlaczego to robisz? — Michał poczuł w tamtej chwili wzruszenie.

— Bo ci się należy. Dość miałeś w życiu przechłapanie. Żona odeszła, drugą kobietę sam rzuciłeś... A poza tym panna Walberg bardzo dobrze mówi po czesku. To może się przydać.

— Skąd wiesz, że zna czeski? — W chwili, kiedy zadał pytanie, zdał sobie sprawę, że jest idiotyczne. Kto jak kto, ale major kontrwywiadu powinien wiedzieć takie rzeczy. Odpowiedź przełożonego jednak zaskoczyła go.

— Wiesz, Michał... Sam byłem nią zainteresowany jako mężczyzna. Był taki moment, że nawet bardzo. Wtedy, kiedy się rozstaliście. Myślałem, że to koniec waszego związku, że uczucia odeszły. Zebrałem więc informacje na jej temat, ustaliłem to i owo. Przygotowałem się do boju.

— No tak — parsknął śmiechem Michał. — Nie dziwię się, że wciąż jesteś sam jak palec. Nie wiesz, w jaki sposób zdobywa się kobietę? Kwiaty, staromodne spojrzenia, piękne słówka. Robota operacyjna nie załatwi sprawy.

— Może i tak. Ale ta praca potrafi okaleczyć — odparł beztrąsko Bzowski. Wręczył Wrońskiemu dwa paszporty i bilety na samolot. — Szerokiej drogi. Powietrznej — dodał po chwili. — Na miejscu skontaktuje się z tobą czeski łącznik. Z nim ustalisz co trzeba.

Michał otrząsnął się ze wspomnienia rozmowy, opróżnił do połowy szklankę. Obejrzał się na barmana.

— Zaraz skończy — powiedział. — Pójdę tam. Jest taki wnerwiony, że gotów po drodze rozbić kufle. A nie mam ochoty czekać następne dziesięć minut.

Wrócił po chwili, niosąc ostrożnie dwa naczynia.

— Spróbuj — zachęcił kobietę. — Ale najpierw powąchaj.

Sam wciągnął w nozdrza upojny zapach słodu, zmieszany z wonią róży.

— To dziwne, ale coś, co razem powinno pachnieć niezbyt zachęcająco, zlewa się w jedno i człowiekowi zdaje się, że za moment pośrodku białego pola piany zakwitnie kwiat, wyłoni się z głębin niczym Afrodyta.

Dorota pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Przy piwie stajesz się poetą. Gdybyś na moją cześć potrafił przemawiać chociaż w połowie tak żarliwie, nie wychodzilibyśmy z łóżka.

— Nie mów, tam też potrafię powiedzieć coś ładnego.

— Ale nie tak ładnego. „Pośrodku białego pola piany zakwitnie kwiat” — przedrzeźniała go. — Normalnie Słowacki, a nie zwykły gli...

— Cśśś — położył palec na jej ustach. — Jestem dyrektorem wykonawczym dużej firmy komputerowej. Pamiętaj o tym.

— Przepraszam — szepnęła. — Trudno się przyzwyczaić.

Do ich stolika podszedł niski, krępy mężczyzna w fatalnie skrojonym garniturze. Michał pomyślał, że to nic dziwnego. Na faceta o tak szerokich barach trudno znaleźć pasujące jak ulał eleganckie ubranie.

— Pan Paweł Ligota? — spytał przybysz.

— Zgadza się. A pan to pewnie Petr Navratil?

— Tak jest. Mogę się przysiąc?

— Oczywiście. To pani Beata Kalicka.

Navratil ukłonił się lekko. Dorota odpowiedziała uprzejmym skrzywieniem warg. Widać było, że sprawia jej przykrość ukrywanie prawdziwego nazwiska. W samolocie oglądała swój paszport tak długo, że Michał musiał wreszcie odebrać jej dokument, bo mogło się to wydać podejrzane. Zapewnił tylko, że jest jak najbardziej autentyczny. Tak bardzo, jak tylko mogą być wydane zupełnie legalnie papiery. Kontrwywiad nie musi fałszować blankietów paszportów własnego kraju. Ma do nich nieograniczony dostęp.

— Napije się pan piwa? — Michał wskazał przybyszowi miejsce obok siebie. — A może czegoś innego?

— Dziękuję, nie mogę. Zaraz wracam do pracy. Mój szef, jeśli coś wyczuje, od razu każe dmuchać w alkomat, a potem wywała na zбитy pysk. Ale jakiś sok jak najbardziej wchodzi w grę.

— Byłabyś taka dobra, Beatko? — Wroński zwrócił się do Doroty. — Na mnie ten barman już patrzeć nie może.

Czech roześmiał się, palcem trącił kufel z Orawskim.

— Nie znam nikogo, kto by był zachwycony nalewając ten płyn — mówił po polsku całkiem poprawnie, chociaż z zabawnym, śpiewnym akcentem.

— Ma pan mi coś do przekazania. Teraz jest najlepsza sposobność — mruknął Michał.

— Na ulicy Letenskiej, pod numerem siódmym jest knajpka. Dzisiaj punktualnie o siedemnastej pojawi się tam pewien człowiek, niejaki Januar Molnar, Węgier z pochodzenia, ale wszyscy wołają na niego po swojacku, Honza. On będzie miał dalsze informacje.

— Jak go poznam?

— Trudno faceta przeoczyć. Postawny, z okazałą brodą, wygląda jak milion dolarów. Drugiego takiego na pewno pan nie zobaczy w tamtym lokalu.

— Jest tylko jeden problem. Słabo znam czeski.

— Ale on doskonale mówi po niemiecku, jak to Węgier starszej daty. W angielskim też się pan dogada.

— To dobrze.

Wróciła Dorota z sokiem ananasowym.

— Innego nie miał — powiedziała po czesku.

Navratil rozpromienił się. Natychmiast przeszedł na mowę ojczystą.

— Nie dość, że piękna, to jeszcze doskonale mówi pani w moim języku. Szkoda, że jest pani w towarzystwie pana Pawła.

— I na razie nie planuję większych zmian w tym względzie — odparła z filuternym uśmiechem.

— Gdyby pani jednak kiedyś zmieniła zdanie, zapraszam na ulicę Uhelny Trh, do restauracji „U dwóch kotek”. Bywam tam codziennie.

— Dziękuję za propozycję. Ale...

— Dobrze się bawicie? — przerwał Michał. — Rozumiem piąte przez dziesiąte, dość jednak, żeby zacząć się niepokoić.

— No cóż — Navratil wychylił sok jednym haustem — jeśli się przyjeżdża do romantycznej Pragi z tak piękną towarzyszką, trzeba mieć się na baczności i liczyć z różnymi możliwościami — Wstał, ukłonił się Dorocie. — Niestety, muszę uciekać. Obowiązki wzywają.

— Szkoda — Wroński wstał, podał rękę Czechowi. — Miło było poznać.

— Konspiracja? — odezwała się cicho Dorota, kiedy Navratil wyszedł.

— Nie. Konspiracja to działalność przestępcza. A my jedynie wymieniamy się informacjami.

— Cennymi?

— Ważnymi.

— Wielu znasz takich Navratilów?

— Dlaczego jesteś uszczypliwa?

— Bo jesteśmy w Pradze, jak powiedział ten facet, romantycznym mieście, a ty wciąż trzymasz mnie w hotelu.

Michał roześmiał się.

— Zaraz pójdziemy na długi spacer. Po południu wyskoczę na godzinkę coś załatwić i wymyślimy jakąś atrakcję na wieczór. Może teatr albo kino?

— Nie jesteśmy w Warszawie — teraz ona się zaśmiała. — Masz ochotę siedzieć w teatrze i słuchać monologu Hamleta po czesku?

— No to zabiorę cię do jakiejś dobrej restauracji.

## 13.

Saszka zatrzymał samochód. Obrzucił krytycznym spojrzeniem inne auta, zaparkowane przy ulicy.

— Ten wózek lśni woskiem i nowością — powiedział do Irminy, kiedy dokonywali transakcji w wypożyczalni. — Będę potem musiał jechać do dzielnicy, gdzie bardziej pasuje stary mercedes albo dwudziestoletni ford. W ostateczności przechodzona z lepsza renówka. Ale na pewno nie nowiutkie audi!

— Nie będę jeździć śmierdzącym gratem — odparła ze złością.

Potem pojechali do hotelu. Zameldowali się w osobnych pokojach, ale naprzeciwko siebie. Recepcjonista uśmiechał się na wpół ironicznie, na wpół domyślnie. Saszka zmroził go wystudiowanym przez lata odsiadek odstręczającym spojrzeniem. Gość za kontuarem natychmiast starł z twarzy kpiący grymas, z powagą podał klucze.

— Załatw, co masz do załatwienia i wracaj pomóc w obserwacji — Irmina zasiadła w miękkim fotelu za wielką szybą hotelowego holu. — Chwilę tu pobędę, odpocznę, a potem idę do pokoju. Trzeba zrobić, co do nas należy.

— Tych dwoje wygląda na takich, co z łóżka nie wychodzą — mruknął Saszka. — Nie wiem, czy Łazarz nie pomylił się w ich przypadku.

— Może i wyglądają na zamroczonych miłością i seksem. Ale Łazarz chyba wie, co mówi. Nie na darmo przysłał ci na komórkę zdjęcie tego faceta.

— Ciekawe, skąd je miał.

— Robert nie jest zwyczajnym agentem kontrwywiadu. To ktoś, kto ma kontakty i możliwości.

— A wiesz, że jest ścigany? Pochwalił się wyczynem z amerykańską miną?

— Coś wspominał — wzruszyła ramionami. — Dla niego zabić to jak splunąć.

— Dla ciebie też, co? — uśmiechnął się krzywo.

— Jedź już.

Przebijając się przez śródmiejskie korki przeszło czterdzieści minut. Wreszcie dojechał do tego zakazanego zaułka. Wysiadł z auta, nacisnął guzik pilota. Drzwi zablokowały się przy wtórze idiotycznego piknięcia. Od razu zwrócił na siebie uwagę trzech miejscowych żuli, siedzących na kamiennej podmurówce. Wstali, skierowali się ku niemu. Nie wyglądali na takich, co znienacka wydobędą tacę z chlebem i solą, by godnie powitać gościa. Saszka czekał, oparty o maskę wozu.

— Dawaj — powiedział ten w środku, największy i najbardziej dziobaty, wskazując kieszeń, w której zniknęły kluczyki. — *Tady ne je cesta pro Rockefelleru.*

Dwaj pozostali wyszczerzyli zęby. Bandzior z lewej nie miał obu górnych jedynek — pewnie był to rezultat jakiejś niedawnej bójki, bo dziąsła wciąż jeszcze były trochę nierówne, jakby wystrzępione. Gość z prawej zaszwargotał coś ni to po czesku, ni po rosyjsku, ni po niemiecku. Herszt krótko odpowiedział. Walas nie zrozumiał ani słowa. Nic dziwnego. To tak, jakby ktoś z zagranicy słuchał grypsery na warszawskiej Pradze.

— Dawaj — przywódca wyciągnął rękę.

Saszka sięgnął lewą ręką do kieszeni spodni, a jednocześnie wykonał szybki ruch prawą. W jego dłoni załśnił pistolet. Zaskoczeni żule znieruchomieli, a potem zaczęli się wycofywać, wykonując przyjazne gesty.

— Moment — zatrzymał ich Polak. — Jedna informacja. *Wiesti mnie nužno* — spróbował po rosyjsku, widząc, że nie rozumieją. — *Tolko odin wopros. Tuda żywiot moj znakomyj graždanin, z kotorom ja chocz wstrietitsia.*

Zatrzymali się. Ten bez zębów przestępował z nogi na nogę.

— *Ty ponimajesz?* — zwrócił się do niego Saszka. — *Tak skaży mnie, gdie żywiot Petr.*

Szczerbaty zaśmiał się, z obawą patrząc w wylot lufy. Saszka schował pistolet.

— *Gowori* — mrugnął. Znów sięgnął za marynarkę. Tamci przyczaili się, gotowi do ucieczki. Tym razem jednak w dłoni Walasa zamiast broni pojawił się portfel.

— *Tuda żywiot czetyry Petry w každy domie* — wydukał żul, z trudem szukając w głowie zapomnianych słów. — *Kakij Petr? Novak?*

*Valik, Koval? Eto oczeń* — zastanawiał się przez dłuższą chwilę, wreszcie znalazł słowo kompletnie nieprawidłowe, ale, jak mu się zdawało, oddające istotę rzeczy. — *Eto oczeń czaste imeno* — wyrzucił wreszcie z ulgą, mieszając rosyjski z czeskim.

— *Ty chotieł skazat'* — uśmiechnął się Saszka — *szto u was oczeń mnogo Petrow?*

— *Jo, jo* — szczerbaty gorliwie kiwał głową, nie spuszczając wzroku z portfela.

— *Petr tak nazywajemyj Pilma.*

— A, Petr Pilma! — ucieszył się herszt. Jak widać i jemu nieobca była rosyjska mowa.

— *Da, Petr Pilma* — Saszka wyjął z portfela stukoronowy banknot. — Dam taki każdemu, jeśli mnie zaprowadzicie — zrezygnował z ruszczyzny. Pieniądze sprawiają, że ludzie potrafią o wiele lepiej rozumieć obce języki.

Okazali się niesłychanie gorliwi. Pokazali mu klatkę, poinformowali, który to numer mieszkania i że trzeba pukać trzy razy, przerwa, potem dwa razy, bo inaczej Pilma nie otwiera.

— Macie — Saszka rozdał banknoty. Wyjął jeszcze jedną setkę. — A to premia, żebyście popilnowali samochodu — machnął w stronę audi.

Szczerbaty z radości kiwnął głową tak mocno, że wyglądało, jakby chciał Saszkę pocałować w rękę. Walas wszedł do śmierdzącej sieni. Na drugie piętro prowadziły skrzypiące, drewniane schody. Drzwi były równie obskurne jak wszystko dookoła. Zaśniedziała, mosiężna cyferka sześć wisiała na jednym gwoździu. Saszka zapukał zgodnie z instrukcją. Odpowiedziała kompletna cisza. Zapukał jeszcze raz. Już miał po prostu zabębnić pięścią w rozeschnięte, popękane wzdłuż słojów deski, ale usłyszał po drugiej stronie delikatne szuranie.

— Kto je? — spytał ochrypły głos.

— *Przitele* — Walas wypowiedział jedno z nielicznych czeskich słów, jakich znaczenia był pewien.

— *Przitele* — powtórzył z przekąsem głos. Mruczał coś do siebie dłuższą chwilę. — *Przitele* — powtórzył.

Szczęknęła zasuwa. W szparze drzwi, tuż nad zabezpieczającym zardzewiałym łańcuchem, ukazało się przekrwione oko. Spojrzało czujnie i zamarło, sparaliżowane bliskim widokiem pistoletu.



— Otwórz — poprosił Saszka niezwykle uprzejmie. — Mam do ciebie kilka pytań.

Przerażony człowiek zaczął mówić bardzo szybko.

— Otwieraj — rzekł groźnie Saszka. — I nie udawaj, że nie rozumiesz po polsku. Mam strzelić ci między oczy czy rozwalić podbródek?

— Chwileczka — powiedział trzęsącym się głosem gospodarz. — Muszę zamknąć drzwi, żeby zdjąć łańcuch.

— Mowy nie ma — warknął Walas.

Znienacka odskoczył krok w tył, obcasem rąbnął ponad klamką, na wysokości łańcucha. Człowiek w środku odskoczył z okrzykiem przestachu. Puściło jakieś słabsze ogniwo, drzwi stanęły otworem. Zanim drewniane skrzydło uderzyło we wbity w podłogę kołek ogranicznika, już był wewnątrz, celując w skulonego pod przeciwległą ścianą Czecha. Zaledwie dzień wcześniej Saszka podobnie wtargnął do mieszkania Franciszka Żyły. Pomyślał przelotnie, że musi uważać, bo jeśli mu to wejdzie w krew, straci wszystkich znajomych.

— Nie ze mną takie sztuczki, Pilmo. Zobaczmy... — zajrzał w kąta za drzwiami, zdjął z haka podłużny kształt. — Bardzo ładny obrzyn — złamał kolbę — i załadowany. Chciałeś mnie tym powitać?

Pilma milczał z ponurą miną.

— Zastanawiasz się pewnie, czego chcę — ciągnął intruz swobodnym, przyjacielskim tonem. Schował pistolet, uniósł w kierunku gospodarza lufy dubeltówki. — Pragnę zasięgnąć informacji, drogi przyjacielu, gdzie się podziewa twój kumpel od kontrabandy, dziwek i kielicha, Franek Żyła.

Pilma splunął tylko, łypiąc wrogo.

— Zła odpowiedź — stwierdził Saszka tym samym tonem, co przedtem. Znienacka przyskoczył do Pilmy, dźgnął go lufą w splot słoneczny. Kiedy mężczyzna się zgiął, wyprostował go uderzeniem kolana w podbródek. — Mnie nie zależy. Powiesz mi to będąc albo w jednym kawałku, albo w kilku.

Chwycił Pilmę za kołnierz, wrzucił do brudnej kuchni. Kopnięciem w tył, nie oglądając się, zatrzasnął drzwi wejściowe. Po chwili Petr klęczał przy stole, a Walas trzymał jego rękę w żelaznym uścisku.

— Zaczniemy od paluszków. Nie myśl jednak, robaczku, że na

początek oberżnę mały. Zacznę od wskazującego. Prawej ręki — dodał po chwili. Czuł jak Pilma zadrżał. — Wiem, zajmujesz się podrabianiem papierów. Jeśli nie będziesz rozsądny, będziesz musiał się nauczyć pracować lewą ręką albo w ogóle zmienić zawód. W twoim wieku to może być dość uciążliwe, o ile w ogóle możliwe. To jak?

Pilma próbował się wyrwać. Osiągnął jednak tylko tyle, że Saszka mocniej wykręcił rękę, a Czech uderzył mocno czołem o blat.

— Nieładnie, panie Piotrze, bardzo nieładnie.

Ból przyszedł znienacka. Pilma zawył, kiedy cicho trzasnęła kość.

— Ciszej, bo będę cię musiał zakneblować. Gadasz, czy nie?

Pilma z trudem odwrócił głowę, spojrział na stół. Złamany palec spoczywał pod dziwnym kątem. Wisiało nad nim ostrze szerokiego noża do krojenia chleba. Czech z niedowierzaniem patrzył, jak stal opada w dół. Zdawało mu się, że czas stanął w miejscu, a w każdym razie znacznie spowolnił bieg. Jakby oglądał film klatka po klatce. Lśniaca krawędź zbliżała się nieubłaganie. Pilma widział każdy szczegół — maleńką szczerbę na ostrzu, okruszki na spękanej blacie, brud za paznokciem. Wreszcie nóż dotarł do skóry. Przekroił wierzch palca, zagłębił się, zatrzymał się na kości, ześliznął milimetr, przechodząc przez więzadła i staw, oddzielił środkowy palec od reszty. Widać było otwartą ranę, połyskującą żółtawo tkanką ścięgien. Krew nie leciała. Najwidoczniej ofiara była tak przerażona, że adrenalina spowodowała obkurczenie naczyń krwionośnych.

— Nie wrzeszcz — Saszka trzasnął go łokciem prosto w twarz.

Wszystko wróciło do normy, czas wskoczył w zwyczajne ramy.

— Ty gnoju!

— Zamknij się — ryknął Walas. — Nie rozumiesz, idioto? Koniec żartów. Koniec kariery fałszerza. A jak już zrobię porządek z palcami, zabiorę się do jaj. Pytanie jest tylko jedno: w którym momencie pęknie.

— Powiem! Powiem wszystko! Po co mnie okaleczyłeś? Nie zdążyłem nawet...

— Żebyś nie oszukiwał. A teraz gadaj, gdzie jest Żyła i co ci powiedział? Bo był tutaj na pewno.

— Był — zaszlochał Pilma. — Przenocował nawet. Ale potem poszedł. Mówił, że ktoś go może szukać, więc musi znaleźć pewną metę.

— U kochanki?

— Nie u kochanki. To zbyt oczywiste. W ogóle jej nie odwiedził, żeby nie narażać.

— A czego się tak bał? — Saszka puścił Petra. Ten skulił się na podłodze, przycisnął okaleczoną dłoń do brzucha, nakrył ją drugą. — Wie coś, czego nie powinien?

— Gównu właśnie wie! Powiedział tylko, że ci, dla których przemycał to jakieś straszne skurwysyny, że nie chce się z nimi zadawać.

Saszka zmrużył oczy, otworzył lekko usta, wysunął koniuszek języka i oblizał krawędzie zębów.

— Wiesz, gdzie go mogę znaleźć?

— Nie mam pojęcia. Choćbyś mnie kroił na kawałki, nie umiem powiedzieć. Franto to stary lis. Potrafi sobie znaleźć kryjówkę. A w Pradze ma takich znajomych, o których nie wiem ani ja, ani ta jego Marzenka.

— Wie suka albo i nie, gadaj, gdzie ona mieszka.

— A skąd mam wiedzieć?

Saszka poderwał go z podłogi, rzucił na stół, znów uwięził dłoń. Po chwili trzasnął kolejny palec, Pilma z bólu ugryzł się w język.

— Albo usłyszę odpowiedź, albo stracisz środkowy paluszek. Nawet podpisać się nie będziesz umiał. Chcesz mi wmówić, że towarzysz od pijackich zabaw nie napomknął o swojej dupie? Nie pochwalił się, jaki z niego ogier i gdzie ma stajnię?

\*

Stali na Moście Karola oparci o barierkę. Michał obserwował panoramę Pragi. Był tutaj w połowie lat osiemdziesiątych, na wycieczce zorganizowanej dla uczestników letniego obozu w Pardubicach. Wtedy zachwyił go pewien obrazek, będący czymś zaskakującym i cokolwiek komicznym jednocześnie. W oddali, na wprost od tego samego miejsca, w którym był teraz, widniała olbrzymia amerykańska flaga. Powiewała nad ambasadą Stanów Zjednoczonych. W czasach Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej taki widok był czymś wręcz nierealnym, można powiedzieć — surrealistycznym. Z pewnością pracownicy ambasady doskonale zdawali sobie sprawę jak to wygląda i celowo wywieszali tak wielki gwiazdzisty sztandar. Przecież Most Karola to obowiązkowy punkt w harmonogramie każdej wycieczki.

Zerknął na Dorotę. Obejrzelili już katedrę, obeszlili Stare Miasto ze

wszystkimi jego urokliwymi zaułkami. Wroński uśmiechnął się do własnych myśli. Dzisiaj są urokliwe, ale kilkaset lat temu niektóre z nich przypominały zapewne najbardziej zakazane rejony wrocławskiego Trójkąta Bermudzkiego. Niejeden podpity lub nieostrożny mieszczanin czy szlachcic stracił tam sakiewkę, a nierzadko też życie.

Objął towarzyszkę ramieniem. Patrzyła na Wełtawę, leniwie toczącą bure wody. Doprawdy trudno uwierzyć, że ta spokojna rzeka wcale nie tak dawno wystąpiła z brzegów, zagroziła najcenniejszym zabytkom. Podobnie jest zresztą z Odrą i Widawą. Szczególnie z Odrą. Niby uregulowana, ujęta w karby jazów, kanałów i rozgałęzień, potrafi stanowić jednak śmiertelne zagrożenie.

— Jednego Czechom zazdrościsz — powiedział w przestrzeń.

— Tak, kochany? — odwróciła ku niemu twarz. Nie mógł się powstrzymać, by jej nie pocałować. Odchyliła się lekko w tył, oddała pocałunek, przerwała go po krótkiej chwili. — Czego im zazdrościsz?

— Właśnie tego wszystkiego — zatoczył ręką. — Tych wszystkich staroci, które naprawdę są wiekowe. U nas, w Warszawie, Stare Miasto jest takie tylko z nazwy. Kamienice odbudowano przecież po wojnie, więc naprawdę mają zaledwie kilkadziesiąt lat. Czesi nigdy nie doznali takich zniszczeń. Może dlatego Praga jest atrakcyjniejsza od Warszawy? Dzięki szwejkowości obywateli, którzy nie lubią płynąć pod prąd. A potem czerpią korzyści ze swojej gnuśności i tchórzliwości.

— Jesteś niesprawiedliwy — zaproponowała zdecydowanie. — To stereotyp. Brzydki i niesłuszny stereotyp. Czesi rzeczywiście są narodem rozsądnym. R o z s ą d n y m. Lubię ten kraj i trochę o nim wiem. Zdajesz sobie sprawę, co było jednym z głównych symboli czeskich władców? Nie miecz czy buława, a drewniane radło. Zasiadali na kamiennym tronie, odziedziczonym po chłopskich przodkach. Nigdy nie odżegnywali się od ludowych korzeni, jak to czyniła nasza szlachta. Zawsze mieli poszanowanie dla pracy, ale nie tylko pracy rąk. Także myśl była tu w poważaniu. Że nie szli pod prąd? To ma być złe tylko dlatego, że polska natura jest buntownicza? Czechy prawie przez całą historię były lennikiem cesarzy niemieckich, a potem austriackich. Rzeczywiście pozwolili się okiełznać do tego stopnia, iż zaczęli zatracać poczucie własnej odrębności. Ocknęli się jednak w dziewiętnastym wieku, odrodzili język. Orodzili go w takiej postaci, że stał się jednym z

najczystszych wśród języków słowiańskich. Momentami przegli nawet w poprawnej gorliwości. Na całym świecie funkcjonuje słowo „teatr”. U Czechów mamy „divadlo”. Takich przykładów jest więcej.

— Może i tak. Ale niby się odrodzili jako naród, a jednak nie potrafili się postawić Niemcom w trzydziestym ósmym. A ich armia była naprawdę dobrze wyposażona. My...

— Nie porównuj Polski przedwojennej z Czechami. Powojennej zresztą też. Przecież to o wiele mniejszy kraj. Poza tym mieli tutaj Hachę, słabego przywódcę. Piąta kolumna działała o wiele prężniej niż u nas, procentowo żywioł niemiecki był nieporównanie silniejszy. I nie zapominaj, że wtedy sami wbiliśmy im nóż w plecy.

— Tak — kiwnął głową — Zaolzie. To rzeczywiście wstyd dla Polski, tak samo jak interwencja w sześćdziesiątym ósmym.

— I tym się od nas różnią Czesi — odwróciła się, oparła plecami o kamienną poręcz. Środkiem mostu przepychała się zagraniczna wycieczka. — Patrzą bardziej w przyszłość niż w przeszłość. A wejście wojsk polskich skwitowali w paru odcinkach *Rozbójnika Rumcajsa*. Ale masz zdziwioną minę! Nasze jednostki stacjonowały właśnie w okolicach Jiczyna, tego z kreskówki. Jest trochę filmików, w których rozbójnik rozprawia się z najeżdżącą armią. Dla Czechów to było bardzo czytelne. A teraz zobacz: kraj się rozwija, ściągają inwestorów, jest atrakcyjny nie tylko turystycznie, ale i gospodarczo. Że o kulturze nie wspomnę.

— Im jest łatwiej — burknął. — Tutaj Niemcy do spółki z Sowietami nie wybili inteligencji, nie wyrznęli kwiatu narodu.

— Właściwie obwiniasz za to Czechów czy naszych okupantów, bo nie bardzo rozumiem?

Milczał dłuższą chwilę.

— Masz rację — rzekł w końcu. — To głupie. Czechów Niemcy traktowali inaczej niż Polaków. Przecież uważali te ziemie za swoje dominium. A Rosjanie weszli tu dopiero po wojnie. Wiesz, człowiek nasłucha się w życiu komunałów, zapadają w pamięć. Ty masz inne spojrzenie.

— A wiesz — zmieniła temat — że na Moście Karola odbywały się turnieje i gonitwy rycerskie?

— Wierzę — spojrzała na potężną konstrukcję. — To bardziej wielka promenada niż zwyczajny most. Miejsca jest do oporu.

Wyobrażam sobie, że pośrodku stawiano szranki dla rycerzy, a wzdłuż mostu szły trybuny.

— O której musisz wyjechać, żeby załatwić swoją tajemniczą sprawę?

Potrząsnął głową, spojrział na zegarek.

— Rany, dobrze, że mi przypomniałaś! Przy tobie czas płynie w bardzo dziwny sposób.

— To źle? — uśmiechnęła się przekornie.

— To miłość — odparł poważnie. Wziął ją w objęcia, mocno przytulił. — Dziękuję, Dorotko.

— Za co?

— Za to, że jesteś.

\*

— To na nic — powiedziała Irmina, kiedy Saszka opowiedział jej przebieg wizyty u Pilmy, a potem u kochanki Żyły. — Pierdziel nic nie wiedział. Ta laska na pewno też nic ciekawego nie mogła powiedzieć. Przemutnik jest za cwany, żeby narażać ją, a przez to także siebie. Mnie bardziej interesuje, co naprawdę wie twój były pracownik, że mamy go tak pilnie odszukać.

— Łazarz przecież tłumaczył. Franek zna szlaki, miejsca przerzutu...

— Oboje wiemy doskonale, że nie o to chodzi. Nie lubię takiego pieprzenia, Olek. Przyznaj się, w czasie jakiejś pijatyki ktoś powiedział parę słów za dużo. Kiedy Żyła znalazł trupa i dotarło do niego, że to wasza robota, przeraził się. Brał udział w grubym szwindlu, zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Ale co innego wiedzieć, a co innego widzieć, tak to się u was mówi. Mam rację? Żyła może naprowadzić policję na jakiś ślad?

Saszka milczał. Ta baba była stanowczo zbyt inteligentna, sprytna i domyślna.

— Wiesz co? — wycedził. — Przypominasz mi żeńskie wydanie Łazarza. Tylko masz ładniejszy tyłek.

— To chyba komplement — skrzywiła wargi w imitacji uśmiechu. — Łazarz to wspaniały łeb. Łapie w lot wszystko, a do tego ma świetne kontakty i zawsze aktualne informacje. W polskim kontrwywiadzie powinni mu płacić w złocie.

Walas wzruszył ramionami. Do sposobów działania Miguły zdążył

przywyknąć przez lata współpracy. Współpracy i nieustannego lęku. Łazarz przypominał kobrę królewską. Uderzał niespodziewanie, błyskawicznie, a skutki zazwyczaj były śmiertelne.

— Widać polscy stróże państwa i prawa nie zamierzali mu dość zapłacić, skoro puścił ich katem. Co robimy?

— Czekamy, człowieku, a co niby mamy robić. Ten porucznik rozmawiał z jakimś gościem. Potem z tą kobietą wybrali się na Hradczany, jak zwyczajna para zakochanych. A potem wrócili do hotelu — spojrzała na zegar. — Około godziny temu.

Saszka też zerknął na czasomierz. Dochodziła szesnasta.

— Założyłaś podsłuch?

— Nie wiesz przypadkiem jak? Poza tym mogą mieć przy sobie aparaturę do wykrywania. Musimy być bardzo ostrożni.

— Nie nadaję się do takiej roboty — westchnął. — Wolę dać komuś po mordzie...

— ...albo poderżnąć gardło — wpadła mu w słowo. — Umyj dobrze ręce. Masz krew za paznokciami. Załatwiłeś tego Pilmę i kochanicę Żyły, czy co?

— Nie. Zabójstwo zwróciłoby natychmiast uwagę policji. Jej nic nie zrobiłem. A obcięte paluchy Petr jakoś wytłumaczy w szpitalu. Prawdy przecież nie powie, bo w chałupie ma masę trefnych rzeczy.

— Bardzo dobrze. Nie jesteś jednak taki głupi.

— Dziękuję — odparł z przekąsem. — Zaraz — zreflektował się — siedzimy teraz zamknięci w pokoju. Skąd będziemy wiedzieć, że wychodzą?

— Nie bój się — wskazała niewielki odbiornik leżący na nocnej szafce. — To coś jak przywoływacz dla rodziców, taka elektroniczna niania. Na zewnątrz zamontowałam czujnik. Kiedy któreś będzie wychodzić, ta zabawka...

W tej chwili urządzenie zapiszczało cicho. Irmina podskoczyła do drzwi, uchyliła je bezszelestnie, przyłożyła oko do szpary.

— To on — szepnęła. — Zasuwasz za nim.

— A ty?

— A ja przypilnuję jego dziwki. No już!

Saszka zebrał się szybko, po chwili schodził na dół po stopniach wyłożonych miękkim chodnikiem.

\*

Krótko ostrzyżony mężczyzna o budowie atlety rozparł się w miękkim fotelu.

— Rozmawiałem z panem ambasadorem — oznajmił. — Jest zainteresowany pańską propozycją.

— Ja myślę — uśmiechnął się Łazarz. — Bo to bardzo kusząca oferta.

— Jak sądzę, prowadzi pan równolegle rozmowy z Niemcami?

— Prowadziłem — uśmiech Łazarza stał się szerszy. — Niestety, oczywiście niestety dla nich, okazali się zbyt skąpi. Zawsze bardziej sobie ceniłem rozsądek Rosjan.

— Cieszę się. Gdyby mógł pan tylko wyjaśnić, dlaczego zginął Jefim Piotrowicz...

— Niektórzy za dużo kombinują. Jefim chciał sam połknąć ten tort. Z dokładką. Na Bursztynową Komnatę nie stać nawet waszych najbogatszych nowych ruskich, sam Abramow byłby za cienki.

— Pewnie tak.

— Ale ja nie jestem taki pazerny. Zadowolę się mniejszym, ale pewnym zyskiem.

— W takim razie przejdźmy do konkretów. Mówił pan o jakichś zdjęciach.

Łazarz rzucił na stół plik fotografii. Rosjanin zaczął je przeglądać. Widać było, że zrobiły na nim ogromne wrażenie — w jakimś pomieszczeniu, które mogło być grota, wyrobiskiem albo innym podziemnym dziełem rąk ludzkich stały trzy skrzynie.

— Poznaje pan? — rzucił Miguła. — Te same pudła, które można zobaczyć na zdjęciach z Królewca tuż przed ewakuacją.

— A zawartość?

— Proszę oglądać dalej.

Na kolejnych zdjęciach skrzynie zostały odkryte. Widać było miodowy poblask bursztynu, lśniły oszlifowane powierzchnie.

— A pozostała część ładunku?

— Pozostała część ładunku? Pan udaje naiwnego czy naprawdę nie wie, o co w tym wszystkim biega? O reszcie mojej propozycji porozmawiamy, kiedy ubijemy interes dotyczący tego, co tu widać.

— A jakie mamy gwarancje, że dogadamy się co do reszty?



— Gwarancje są dwie. Pierwsza rzecz to wasz rozsądek i wielka chęć odzyskania skarbu. Na razie macie tylko kilka marnych kawałków ścian i kamienne mozaiki, które wam podsunęli zaraz po wojnie Niemcy. A druga sprawa to moja chęć wzbogacenia się.

— Rozumiem, że tak czy inaczej oferuje nam pan jednak całość Bursztynowej Komnaty?

— Proponuję wam sposób na uzyskanie dostępu do całości.

— I chce mi pan powiedzieć, że rząd polski nic nie wie o tym, że ktoś od was odnalazł te skrzynie i ma możliwość zdobyć resztę?

Łazarz roześmiał się.

— Generalnie rzecz ujmując, każdy polski rząd ma w dupie rzeczy naprawdę istotne. Polscy władcy zajmują się pierdołami. Zresztą służby specjalne pozostają w ogromnej mierze poza zasięgiem władzy. O tych pudłach wiem tylko ja, jeszcze jeden człowiek, chociaż i on nie zna lokalizacji szybu, pewna kobieta, dawna agentka Stasi, a teraz pracownica wywiadu RFN. A od tej chwili także pan.

— Gdzie to jest?

Łazarz nie odpowiedział. Bębnił palcami po kolanie, jakby w ogóle nie usłyszał pytania.

— Nie możemy kupować kota w worku — oświadczył Rosjanin. — Wezmę te zdjęcia do ekspertyzy. A co do ceny...

— Cena nie podlega negocjacji. W tej chwili biorę zresztą forszę tylko za te pojemniki, które tu widać. O reszcie pogadamy później.

— Nie rozumiem — zmarszczył brwi atleta. — Przecież mógł pan odkryć także pozostałe skrzynie ze skarbem. Cena byłaby na wstępie niepomrotnie wyższa.

— A po co? Kiedyś nie miało to sensu, a teraz nie mam czasu. Nie będę ukrywał, że grunt w Polsce pali mi się pod nogami. Muszę działać szybko. Zresztą wystarczy mi cena, której zażądałem.

— W takim razie możemy chyba jeszcze raz porozmawiać o wysokości pana honorarium.

— Nie ma mowy. Byłem wobec pana szczery. Ale jeśli zamierzcie mnie wyruchać, zobaczycie Bursztynową Komnatę jak świnia niebo. Wyjadę i tyle będziecie mnie widzieli. A skarb niech sobie czeka. Albo pójdę z tym z powrotem do Niemców... Nie, lepiej może do Amerykanów.

— Dobrze już, spokojnie — Rosjanin podniósł się z fotela, wyciągnął

rękę. — Interes ubity. Pozostaje nam tylko omówić szczegóły. Ale to już po zasięgnięciu opinii naszych fachowców.

— Cieszę się — Łazarz uściśnął potężną dłoń. — Tu są negatywy — podał rozmówcy niewielką kopertę. — Łatwiej będzie pracować laborantom. A potem, tak jak się umawialiśmy, dostarczę wam zawartość jednej skrzyni do zbadania. Oczywiście po uzyskaniu odpowiedniej kaucji.

— Przecież jeśli się okaże, że to wszystko prawda, nie odpuścimy sobie nagle tej sprawy, nie dokonamy oszustwa, żeby ukraść panu tylko małą część skarbu. Nie ma pan do nas ani krzty zaufania?

— Zbyt długo współpracowałem z KGB i GRU.

— Przykro mi.

— Mnie też, ale tak się w dzisiejszych czasach prowadzi interesy.

Rosjanin uśmiechnął się krzywo.

— Pomyśleć, że Krolewski do końca życia był przekonany, jakoby komnata spoczywała jednak gdzieś w Królewcu...

— Niezupełnie — zaproponował Łazarz. — Pod sam koniec życia Krolewski dowiedział się, że skarb jest ukryty w Polsce. Ale na dłuższą metę okazało się to bardzo niezdrowe.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że właśnie ta wiadomość go zabiła. Nie tylko jego zresztą.

— Może pan jaśniej?

— A po co? Najważniejsze, że teraz możecie odzyskać własność carów.

## 14.

— O co chodzi z tą Bursztynową Komnatą? — spytała Dorota.

Leżeli w łóżku, zmęczeni miłosnymi zapasami. Kobieta złożyła głowę na ramieniu Michała, a teraz spojrzała w górę, szukając jego oczu.

Wroński drgnął. Myślał o zupełnie czym innym. O tym, że jest odsyłany ad Annasza do Kajfasza. Molnar nie wiedział albo nie chciał powiedzieć od razu, gdzie się zamelinował Żyła. W każdym razie coś kręcił. Trudno wyłapać wszystkie takie niuanse rozmawiając w obcym języku, którym nie włada się perfekcyjnie. W trakcie spotkania zaczął żałować, że nie zabrał Doroty, która przecież mówiła po czesku doskonale, mogłaby wyciągnąć coś więcej. Na Januarem nie zrobił większego wrażenia nawet gruby plik banknotów, pieniędzy wysupłanych z funduszu operacyjnego. Z uporem powtarzał swoje — sam czeka na ostateczne ustalenia. Franciszek Żyła okazał się nie lada spryciarzem, potrafił zaszyć się w wielkim mieście. Zresztą nie ma się czemu dziwić. Ktoś, kto przez całe życie z powodzeniem zajmował się przemytem, nie mógł być przecież byle naiwniakiem. Molnar kazał Wrońskiemu przyjść następnego dnia o tej samej porze do lokalu na ulicy Polesti. Tym razem jednak powinien się upewnić, że nie ma ogona, a w razie potrzeby zgubić go z całą pewnością. To był główny warunek spotkania, wcale nie taki idiotyczny. Przez rozmówcę najwyraźniej przemawiało doświadczenie. Michał zauważył srebrne audi trzymające się go uparcie podczas podróży. Identyczne stało na parkingu pod hotelem. Z początku pomyślał, że podobnych samochodów może przecież być w Pradze na pęczki. Ale potem, w czasie rozmowy z Molnarem, przyszła refleksja, że w tej pracy lekka paranoja jest cnotą, a nie wadą. Wykonał więc po drodze kilka niespodziewanych manewrów, wywołując popłoch wśród miejscowych kierowców. Uśmiechnął się pod nosem. Komuś, kto jest wprawiony w rajdach po ulicach Wrocławia i Warszawy, gdzie kilkanaście razy w ciągu dnia ktoś czyha na całość zderzaków i karoserii, nic nie jest straszne. Myślał, że stracił niepożądanego towarzysza, jednak audi błysnęło znów za plecami, kiedy wracał. Molnar miał rację ze swoją przesadną ostrożnością.

— Odpowiesz mi? — szturchnęła go w bok Dorota.

— A skąd przyszła ci do głowy Bursztynowa Komnata? — dopiero w tej chwili dotarł do niego sens pytania. Poczł ukłucie niepokoju. — Czytałaś tamto opracowanie?

— Zrobiłam coś złego? Nie było cię kilka godzin, a ono leżało na podłodze tak, jak je kopnąłeś.

— Nie, nie zrobiłaś nic złego. To ja przeszkrobałem. Nie powinnaś przeglądać dokumentów z tajnego archiwum.

— Nie powinnam robić także wielu innych rzeczy — zaśmiała się. — Na przykład rozbijać się z tobą po stolicach Europy zamiast siedzieć w pracy i pomagać przy egzaminach.

— Jak by to powiedzieć, kochanie... Pozostawiam to twojemu sumieniu.

Znów go szturchnęła z udawaną złością.

— Nie bądź taki dowcipny.

— Lubię być dowcipny — uniósł się. Głowa Doroty zsunęła się, spoczęła w zagięciu łokcia. — Szczególnie z tobą. I zaraz będę dowcipny dosłownie i na całego.

— W dodatku świntuch — skonstatowała spokojnie, wręcz flegmatycznie. Odepchnęła go lekko, ale stanowczo. — Nie teraz. Odpowiedz na pytanie.

— Bursztynowa Komnata... Podobno, bo od czterdziestego piątego roku nikt jej nie widział.

— A w każdym razie nikt się nie przyznał — dokończyła gładko.

— Na jedno wychodzi.

— A ty jak myślisz? Gdzie ona jest?

— A ja myślę, że nie ma jednego miejsca ukrycia skarbu. Coraz bardziej jestem przekonany, że Niemcy nie zaryzykowali złożenia tak cennego ładunku w jednym składzie. Komnata leży w kilku albo nawet kilkunastu skrytkach na terenie Polski, ale może i na terenie naszych państw ościennych.

— W Czechach też?

— W Czechach akurat może nie, chociaż stuprocentowej pewności mieć nie można. Ale Niemcy nie mieli możliwości ewakuować zbyt wielu skarbów na tę stronę Sudetów.

— Jednak coś musi być na rzeczy, skoro kogoś albo czegoś tutaj

szukasz.

Z przykrością zobaczyła, że twarz mu zmierzchła.

— Szukam — rzekł przez zaciśnięte zęby. — Szukam faceta, który może wiedzieć, kto zabił mojego przyjaciela. — Opadł z powrotem na łóżko, wbił wzrok w sufit. — A jak się dowiem, zrobię wszystko, żeby morderca nie wymigał się od kary.

— Nie wiedziałam — szepnęła. — Bardzo mi przykro. Czy to wiąże się z poszukiwaniami Bursztynowej Komnaty?

— To wiąże się także z wieloma innymi sprawami. Ale powiedziałem już i tak zbyt dużo. Wystarczy.

Milczeli długo, każde zaprzątnięte własnymi myślami. Ciszę przerwała Dorota.

— A co do komnaty... Nie przyszło ci do głowy, że jeśli nawet została rozrzucona po różnych miejscach, to nie znalazł się ktoś, kto zdołał zgromadzić całość i czekał na jakąś okazję, żeby ją korzystnie i bezpiecznie sprzedać?

— Rozwazałem chyba już każdą możliwość. Ta hipoteza też nie jest pozbawiona sensu. Tłumaczyłaby w pewien sposób wzmożony ruch służb specjalnych Rosji i Niemiec.

I nagłą ucieczkę Łazarza, pomyślał. Nie mógł tego powiedzieć głośno. Stary esbek naprawdę mógł wejść w posiadanie cennych informacji. W dodatku policja straciła przecież z oczu jego dawnego pomagiera, Walasa-Saszkę. Te wszystkie zabójstwa, wybuch w mieszkaniu Miguły, a teraz ktoś go śledzi... Poderwał się, zaskoczony nagłą myślą.

— Co się stało, kochany? — zaniepokoiła się Dorota.

— Coś mi przyszło do głowy.

— Coś ważnego?

— Alarmującego.

— Musisz gdzieś pójść?

— Nie, kochanie. Dzisiaj ani jutro tego nie załatwię. Dopiero po powrocie do kraju.

Przytuliła się do niego najmocniej jak mogła. Nie oddał uścisku. Siedział bez ruchu. Po raz pierwszy poczuła, że wie o tym mężczyźnie niezmiernie mało. Zdawało się jej do tej pory, że to inteligentny, ale nieszczególnie skomplikowany facet, choć uroczy, chwilami nawet

porywający. Teraz dostrzegła w nim prawdziwą głębię uczuć, nie tylko takich, które żywił wobec niej, ale i innych — smutku, złości, prawdziwej męskiej przyjaźni. I tych najważniejszych — potrzeby bliskości, ciepła i miłości.

— Kim ja właściwie dla ciebie jestem — spytała cicho. — Co dla ciebie znaczę?

— Jesteś dla mnie wszystkim — odparł, patrząc w przestrzeń. — Stałaś się kimś, bez kogo już nie wyobrażam sobie życia. Przez kilka ostatnich dni zrozumiałem, jak bardzo mi ciebie brakowało.

Objęła go jeszcze mocniej, klęknięta za nim i zaczęła kołysać w przód i w tył tak, jak się to robi ze smutnym albo przestraszonym dzieckiem. Michał przymknął oczy, poddał się bezwolnie zabiegom. Było mu źle i dobrze zarazem. Dobrze, bo miał przy sobie wymarzoną kobietę. Źle, gdyż bał się, że to tylko ulotna chwila, stan przejściowy, a potem...

— Przeprowadzisz się do mnie, do Warszawy? — Zadając to pytanie czuł przyspieszone bicie serca. Jak oskarżony przed sądem, tuż przed ogłoszeniem wyroku. — Zamieszkasz ze mną?

— Co tylko zechcesz — tchnęła mu prosto w ucho. — *Ubi tu Gaius ego Gaia.*

— Cudownie — zamruczał jak kot.

Smutek uleciał gdzieś daleko. Zastąpiła go ulga i radość. Odwrócił się przodem do Doroty, także uklękniętą. Przywarli do siebie mocno, tak mocno, jakby pragnęli, aby nie tylko dusze, ale i ciała zlały się w jedno.

\*

Irmina zdjęła słuchawki, rzuciła odtwarzacz na łóżko. Spojrzała chłodno na Saszkę. Stał przy oknie nagi, wyglądał na ruchliwą ulicę. Musiała przyznać, że mimo swoich lat trzymał się naprawdę nieźle. A ochoty na seks miał więcej niż niejeden dwudziestolatek. W dodatku brał ją tak, jak lubiła — zdecydowanie, brutalnie nawet. Nie przeszkadzało mu jej dogadywanie w trakcie ani nawet zwyczaj słuchania ostrej muzyki. Pod tym względem do siebie pasowali. Jednak tylko pod tym względem. Poczwała nagły przyptyw irytacji.

— Oczywiście musiałeś dać ciała.

Walas zazgrzytał ze złości zębami.

— Mówiłem ci, żeby nie brać takiego szpanerskiego wozu! Rzuca się w oczy jak złoty karaluch na kupie gówna.

— Macie w Polsce takie przysłowie o złej tanecznicy. Skoro tak uważałeś, powinieneś wypożyczyć inny.

— Żebyś wiedziała. Powinienem. Szlag mnie trafia.

— Z kim się spotkał w tym lokalu też nie ustaliłeś?

— Masz mnie za durnia? Miałem wypytać barmana czy zapijaczonych koleśków? Trzeba po prostu dalej śledzić naszego ptaszka.

— Gównu! — zasyczała w nagłym przypiływie gniewu. — Cholera wie, czego się już dowiedział. Jeśli się jeszcze gdzieś ruszy, pojedziesz za nim. Tylko tym razem nie spierdol roboty. Łazarz musiał być chory na umyśle, kiedy cię werbował.

— Niedawno sama powiedziałaś, że Łazarz doskonale wie, co robi. A ja jestem mu potrzebny.

— Do czego? — spytała pogardliwie. — Do pilnowania fantów?

— Chociażby.

— A nie przyszło ci do tego zakutego łba, że wysłał nas tutaj, żeby ugrać coś swojego, co nas nie dotyczy?

— Dlaczego tak sądzisz?

Westchnęła ciężko.

— Postaraj się chociaż przez chwilę pomyśleć. Kiedy ostatni raz dzwonił? Jeszcze w pociągu, prawda? Jakoś nie interesuje się, czy mamy wyniki. Ten twój przemytnik naprawdę jest taki ważny?

— Łazarz przecież mówił. Zna szlaki, punkty przerzutu. Gdyby coś komuś sypnął, trzeba to wszystko zmienić.

— I tak trzeba.

— Może. Ale musimy go dopaść, zanim to zrobią gliny albo kontrwywiad. W sumie diabli wiedzą, czego się naprawdę zdołał dowiedzieć.

— I co mu wygadałeś w czasie pijatyk.

Saszka skrzywił się, odwrócił od okna, popatrzył kobiecie prosto w oczy.

— A moim zdaniem to ze strony Łazarza podpucha. Może i zależy mu na tym Żyle, ale pozbył się nas i nie wiadomo, co teraz robi.

— Przecież jesteśmy mu potrzebni.

— Do czasu, Olek, do czasu. Zrobimy swoje i może nie zechcieć dzielić się z nami forszą. To drapieżnik-samotnik.

Saszka zamyślił się. Do czego zmierza ta Niemra? Co chce ugrać? W

jej słowach jest sporo racji. Miguła nie jest osobnikiem, na którego lojalność można liczyć.

— Co proponujesz?

— Olać twojego Żyłę, jeśli w najbliższym czasie go nie namierzymy. Zastosujemy działania opóźniające i trzeba by wracać do Polski.

— Łazarz się wścieknie.

— Niech się wścieka. Nie zamierzam dać mu się wyrolować. A ty?

\*

Molnar pojawił się w umówionym miejscu w towarzystwie trzech młodzieńców o grubych karkach i ogolonych głowach. Michał bez zaskoczenia przyjął do wiadomości, że dresiarze wszędzie wyglądają tak samo, w identyczny sposób spoglądają spode łba i żują gumę.

— *Bist du ein Mormon?* — spytał Wroński.

Molnar zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

— O co ci chodzi? Dlaczego mam być mormonem?

— Bo widzę, że przyprowadziłeś żony. A reszta gdzie? Gotują obiad?

Niezobowiązującym gestem oparł dłoń na biodrze. Z tyłu, za paskiem, ugniatał go w kręgosłup pistolet — Stieczkin, kaliber dziewięć. Mirek nieraz mawiał „Awtomaticzeskij Pistolet Stieczkina to ogólnie broń do dupy. Ale, jak każda spluwa, ma też swoje plusy. Jeśli będziesz potrzebował w razie czego wypruć cały magazynek w krótkim czasie, właśnie ten model jest niezastąpiony”. Miał świętą rację. Gnat był ciężki, z magazynkiem na dwadzieścia naboju, konstrukcja z lat pięćdziesiątych. Za to rzeczywiście można było z niego strzelać seriami, jak z pełnoprawnego pistoletu maszynowego. Nie przyjął się w uzbrojeniu armii sowieckiej, bo — jak to zwykle z takimi uniwersalnymi konstrukcjami bywa — okazał się mocno niedoskonały. Z jednej strony, jak na pistolet miał nadmiernie dużą masę, a z drugiej był za lekki i zbyt krótki jak na broń maszynową. Jednak właśnie w takich sytuacjach jak dzisiejsza mógł się okazać naprawdę przydatny. Po wygłoszeniu ostatniego zdania Michał spodziewał się zasadniczo dwóch skrajnych reakcji. Zaklął w duchu. Znów jego przeklęty ostry jęzor mógł mu napytać biedy. Na szczęście Molnar wykazał elementarne, bardzo przaśne poczucie humoru. Roześmiał się na cały głos, zwracając uwagę gości lokalu. Dresiarze rozejrzeli się groźnie i publika powróciła do przerwanych czynności.



— Pyskaty jesteś, polski glino — skwitował Molnar. — A teraz do rzeczy. Czego dokładnie chcesz od Franty?

— Mogłeś o to zapytać już wczoraj.

— Jakbym chciał, to bym zapytał. Może usiądziemy? Dziwnie to wygląda, kiedy tak stoimy w środku knajpy.

— Twój goryle rozumieją po niemiecku?

— Masz mnie za durnia? — Czech wyszczerzył zęby. — Ani w ząb. Po czesku też ledwie mówią. To debile, nie widać?

— Widać, ale pozory czasem mylą. A w ogóle skąd przyszło ci do głowy, że jestem policjantem z Polski?

— Mówisz z akcentem, to po pierwsze. Że pies z ciebie nietrudno się domyślić, bo swój swojego zawsze wyczuje. A po drugie, kto by tutaj szukał Żyły, Koreańczycy?

— Pracujesz w policji? — zdumiał się Michał.

— Pracowałem. Za czasów Czechosłowacji. Ale potem mnie wylali.

Historia toczy się tak samo we wszystkich krajach postsocjalistycznych, pomyślał porucznik. Zweryfikowani negatywnie gliniarze stają się albo przestępcami, albo zakładają biura ochrony. Często na jedno to wychodzi.

— Czego potrzebujesz od Franty? — powtórzył pytanie Molnar.

— Kilku informacji.

— Żyła nie udziela informacji byle komu. I z byle powodu.

Michał zacisnął zęby.

— Mam ważny powód. Byłeś gliną. Wiesz, kto to partner, prawda? Wiesz, ile znaczy przyjaciel ze służby.

Molnar twierdząco kiwnął głową.

— Właśnie. A Żyła może wiedzieć, kto torturował i zabił mojego przyjaciela.

— To chcesz wiedzieć, nic więcej?

— Przede wszystkim. Są jeszcze kwestie dotyczące jego pracy dla zorganizowanej grupy przemytników.

— O tym mowy nie ma! — uciał ostro Czech. — Zapomnij.

Wroński obserwował rozmówcę spod zmrużonych powiek. Goryle, słysząc groźny ton szefa, naprężyli mięśnie.

— Masz z tym coś wspólnego — ze strony Polaka to nie było pytanie, ale stwierdzenie.

— Nie mam, ale i tak gówno cię to powinno obchodzić. Mam swoje powody. O twojej zemście możemy pogadać, o niczym innym.

Michał poczuł, jak w jego głowie przeskakuje jakaś zapadka. Konfident w hotelowym barze, kontakt z Molnarem... niechęć tego ostatniego do ujawnienia informacji o przemyśle...

— To twoja konkurencja, Honzo — powiedział spokojnie. — Zależni ci za skórę i chcesz się odegrać. Ty wcale nie szukałeś Żyły, nie musiałeś też czekać, aż ktoś ci go wystawi, nie myślę się? Franciszek zgłosił się do ciebie sam, sprzedał informacje w zamian za bezpieczeństwo. Ty go trzymasz po prostu pod kluczem!

Molnar spojrział z mimowolnym podziwem.

— Spryciarz z ciebie, Polaczku. A gdyby tak? Chcesz mnie wsadzić do mamra za porwanie?

— Przede wszystkim chcę dopaść tego, kto załatwił mojego kumpla.

— A obowiązek policjanta?

— Jestem tylko człowiekiem.

— I przebiegłym lisem. Jeśli dorwiesz mordercę, od niego wyciągniesz co potrzeba. Tak kombinujesz, prawda? Jeśli nie można uzyskać pełnych informacji, należy brać ile się da. Nie zaprzeczaj. Ale niech ci będzie. Jutro o tej samej porze, ale nie tutaj.

— A gdzie?

— Bądź pod katedrą.

Michał wstał, wyciągnął rękę.

— Poczekaj — Molnar skinął na jednego z dresiarzy, dał mu banknot. — Lubisz piwo? Diuro zaraz przyniesie nam po Smichovskim.

— Z beczki? — ożywił się Wroński, ale zaraz jego zapał zgasł. — Przyjechałem samochodem. Mam w tym względzie żelazne zasady i nigdy nie siadam za kółko po alkoholu.

— Bardzo chwalebne — uśmiechnął się Molnar. — Nie przejmuj się. Mój człowiek cię odwiezie do hotelu. A jeśli chcesz wziąć taksówkę, odstawi po prostu twój samochód. Oj, nie wygłupiaj się i nie wykrzywiaj domyślnie. To nie jest sprytny sposób, żeby ustalić, gdzie mieszkasz. Dowiedziałem się pięć minut po tym jak Navratil umówił nas na spotkanie. A Smichovskie to prawdziwa rozkosz.

\*

Saszka na chwiejnych nogach dotarł do drzwi. Na widok jego

zakrwawionej twarzy Irmina zaklęła po niemiecku.

— Jak ty wyglądasz, idioto? — warknęła, wciągając go do środka. — Ktoś cię widział?

— Oszalałaś? — odburknął. — Wlazłem tylnym wejściem, a potem bocznymi schodami.

— Kto cię tak urządził?

— Próbowałem dowiedzieć się czegoś o facecie, z którym Wroński rozmawiał w knajpie. To jest skutek. Barman się wściekł i wypieprzył mnie z lokalu.

— I on ci tak dołożył?

— Nie. Wyszło za mną czterech takich... Kurwa, wzięli mnie za glinę!

— Brawo — powiedziała ironicznie Irmina. — Spisałeś się na medal. A to — wskazała głębokie rozcięcie nad okiem — trzeba koniecznie szyć.

Z niepokojem patrzył jak kobieta krząta się przy skórzanej torbie. Wyjęła etui, otworzyła. W jej ręku błysnęła igła.

— Co chcesz zrobić?

— Przecież nie pójdziesz do szpitala. A jak to zostawimy, będzie się paskudzić.

— To przemyj tylko wodą utlenioną.

— Będziesz miał paskudną bliznę.

— Nie szkodzi. Wolę bliznę niż twoje japońskie pieszczoty.

Prychnęła niczym rozzłoszczona kotka.

— Nie jęcz! Idź, umyj mordę zimną wodą.

Posłusznie powłókł się do łazienki. Wiele razy w życiu był zszywany, ale zawsze robił to chirurg albo przynajmniej felczer. Nigdy jeszcze nie cerowała go kochanka.

Kiedy wrócił, moczyła igłę i nici w spirytusie, wlanym do szklanki na whisky.

— Siadaj — rozkazała. Ujęła go pod brodę, skierowała twarz ku górze. Watką przeciągnęła po ranie. Syknął z bólu. — Nie zachowuj się jak baba, Olek. Babom dupy nie daję. Oblała palce spirytusem. — A teraz uważaj, będzie naprawdę nieprzyjemnie. Jak wydobrejesz, zrobisz co trzeba i wynosimy się. Coraz mniej mi się to podoba.

## 15.

— Jak wszystko dobrze pójdzie — powiedział rano Michał — jutro będziemy mogli wyjechać. A może nawet dzisiaj wieczorem.

Chodził po pokoju, najwyraźniej czegoś poszukując. Rozglądał się nieporadnie, a Dorota obserwowała go z rozbawieniem.

— Jakbym widziała mojego ośmioletniego chrześniaka — nie wytrzymała wreszcie. — Wszyscy jesteście podobni: i dorośli mężczyźni, i mali chłopcy. Szukasz czegoś, czego nie zgubiłeś?

— Przeciwnie. Szukam czegoś, co zostawiłem chyba jednak w Polsce.

— A konkretniej?

— Nic takiego. Mój ulubiony długopis. Mam jeden taki, którego staram się nie gubić.

— Rozumiem. Ja też zostawiam wszędzie przyrządy do pisania. Bardzo cię to uwiera?

— Nie aż tak. Dla zasady się rozglądam. Jeszcze wczoraj przysięgłbym, że go zabrałem i wypełniałem kartę meldunkową...

— Wypełniałeś ją moim.

— Właśnie sobie to w tym momencie uświadomiłem. Ale wiesz, jak jest. Miałem nadzieję, że jednak gdzieś leży. Takie drobiazgi zawsze trochę denerwują.

— Wiem. Ale nie ma sensu łązić po pokoju i rozgrzebywać rzeczy.

Michał machnął ręką, usiadł na łóżku obok Doroty.

— Kocham cię — objął ją ramieniem.

— W takim razie może pozwolisz mi pojechać na zakupy? Nie zdążyłam zwiedzić nawet okolicznych sklepów. A bardzo chciałam na Vinohradach zajrzeć do jednej galerii.

Wroński nie cierpiał zakupów. Z byłą żoną kłócili się o to bardzo często. Ona chciała koniecznie, żeby z nią chodził, on z kolei starał się jak mógł wykręcić.

— Dobrze — westchnął ciężko. — Zaraz się ubiorę i pojedziemy.

— A nie mogłabym po prostu wziąć samochodu? Nie jesteś mi potrzebny, żebyś siedział z cierpiętniczą miną i spoglądał co chwila na

zegarek. A może boisz się dać babie wypożyczone auto w wielkim obcym mieście?

— No wiesz! — oburzył się. — Po prostu martwię się o ciebie.

— Nie ma potrzeby. Od pewnego, dość już długiego czasu, jestem podobno dorosła. Pokazać dowód, panie władzo?

— Nie jestem już panem władzą.

— A tak, zapomniałam, teraz jesteś panem nadwładzą albo obokwładzą, nie wiem które określenie jest bardziej trafne.

— Oba, skoro już musisz wiedzieć.

— Muszę. Jestem prawdziwą kobietą, więc tajemnice stanowią dla mnie ogromne wyzwanie. To co, puścisz mnie?

Zerknęła za zegarek. Dochodziła dziesiąta.

— Zejdzie ci pewnie do popołudnia — powiedział z namysłem. — Ja przed dwunastą muszę wyjść na godzinę. I tak wrócę przed tobą, jak znam życie.

— Właśnie — uderzyła się lekko palcami w czoło. — A czy ty nie będziesz potrzebował samochodu?

— Nie. Mam spotkanie Na Moráni. Patrzyłem wczoraj na plan. To niedaleko, spokojnie dojdę piechotą.

— Jesteś pewien?

— Jasne! Taksówki też przecież w Pradze są gdybym się zmęczył. Jak masz jechać, to jedź.

Pocałowała go w policzek, zebrała się błyskawicznie. Podał jej kluczyki i dokumenty wozu.

— Tylko jedno — zatrzymał ją, przytulił mocno, zaraz puścił. — Gdybyś zobaczyła coś podejrzanego, natychmiast dzwoń do mnie i zaraz wracaj.

— Co podejrzanego?

— Cokolwiek. Obiecujesz?

— Obiecuję.

Zamknęła cicho drzwi. Michał położył się z rękami pod głowę. Uśmiechał się do własnych myśli. Było mu dobrze. Sprawa afery „Żelazo” i Bursztynowej Komnaty zdawały się błahostkami bez większego znaczenia. Wszystkie komplikacje wokół nich nie stanowiły już nieprzebytego gąszczu. A gdyby nawet, gdyby się w nim jednak zagubił, miał do czego, a raczej do kogo wracać. Tylko koniecznie trzeba będzie

pogadać z Jackiem Bzowskim o przeciekach w biurze... A konkretnie...

W tok myśli wdarł się znieńska potężny huk. Szyby w oknach zadrżały, podmuch wtargnął w otwarte okno, zrywając zasłonę. Wroński poderwał się, wyskoczył na balkon. W nozdrza uderzył go swąd, jaki wydaje tylko jedna rzecz — zdetonowane C-4. Na szkoleniach uczono go odróżniać podstawowe materiały wybuchowe po barwie dymu i zapachu. Popatrzył w dół i serce w nim zamarło. A potem w porywie rozpaczy chwycił się za włosy.

— Jezu! — zawył. — Tylko nie to!

W miejscu, gdzie wczoraj kazał człowiekowi Molnara zaparkować auto, szalały płomienie. Paliły się też dwa samochody obok. Nie wiedział, kiedy znalazł się na dole. Patrzył bezradnie na to, co zostało z wozu, osmaloną powierzchnię betonu na parkingu i ludzi, którzy zbiegli się, ale stali w bezpiecznej odległości. Michał podbiegł do auta, nie zważając na ogień.

— Boże wszechmogący — szeptał. — Ty jesteś zdolny czynić cuda. Okaż łaskę, błagam... Błagam!

Z rozpaczą i nadzieją zaglądał przez wybite szyby. Może samochód eksplodował, zanim Dorota zdążyła dojechać? Może... W środku mercedesa było pusto. A powinno tam przecież spoczywać ciało albo chociaż jakieś szczątki. Co za ulga... Odwrócił się. I w tej chwili poczuł, jak coś się w nim rwie na strzępy.

Leżała dobre piętnaście metrów dalej, między samochodami. Podbiegł błyskawicznie, pochylił się nad ciałem.

— Dorota! — krzyknął, czując jakby jego serce miało za chwilę eksplodować. — Jezu Chryste, Dorota!!!

\*

Irmina tym razem zażądała powrotu samolotem. Saszce było w zasadzie wszystko jedno, a przyznawał rację towarzysze, że im prędeziej ulotnią się z Pragi, tym lepiej. Chociaż lot na odległość niecałych trzystu kilometrów wydawał mu się lekką przesadą.

— Łazarz będzie wściekły, że nie wykonaliśmy zadania.

— Zrobiliśmy to, co było w tych warunkach możliwe. Od chwili, kiedy zostałeś pobity, na pewno nie miało sensu zostawać. Tajemnica jest wtedy, kiedy wie o niej jeden. A ty przestałeś być tajemnicą. Skąd wiesz, że ten, kto kazał cię załatwić nie powiedziała o tym naszemu

porucznikowi?

Saszka milczał. Miał wątpliwości co do reakcji Miguły.

— Ale pieprznięło — powiedziała po chwili Irmina. — Dałeś chyba za duży ładunek.

— Dałem taki, żeby mieć pewność — mruknął.

— I tak nie zabił kogo trzeba.

— Skąd mogłem wiedzieć, że ta suka polezie do auta? Przedtem tylko on nim jeździł.

Kobieta wzruszyła lekceważąco ramionami.

— W tej robocie też trzeba mieć trochę szczęścia. A ty najwyraźniej nie masz go w ogóle.

— Może twojego wystarczy dla nas obojga.

— Moje przyda się mnie — ściszyła głos, żeby nie usłyszeli jej pasażerowie z tyłu. — Co wiesz o Bursztynowej Komnacie?

Saszka spojrzał czujnie. Irmina uśmiechała się zachęcająco.

— Zależy, o co pytasz.

— O wszystko. Musisz coś wiedzieć, skoro Łazarz wciągnął cię do spółki. Masz pojęcie, gdzie została ukryta?

— Mam pojęcie, gdzie znajduje się część, którą Łazarz skądś kiedyś wydobył. Ale zapomnij, że cokolwiek powiem bez jego wyraźnego rozkazu. Może mi wybaczyć różne rzeczy, ale na pewno nie coś takiego.

— Do tej pory sądziłam, że całość jest jednak w Królewcu.

Saszka prychnął pogardliwie.

— Nie podpuszczaj mnie. W Królewcu... A może w berlińskim schronie Hitlera?

— Niepotrzebnie szydzisz. Miałam dostęp do archiwów Stasi...

— ...jako etatowy pracownik tej organizacji? — wpadł jej w słowo.

— Znów niepotrzebna złośliwość. Nieważne jak, ale miałam. Dyrektor muzeum w Królewcu sugerował jednoznacznie rosyjskim oficerom śledczym, że komnata została na miejscu.

— Nie wiem, co sugerował dyrektor, ale ja na własne oczy widziałem fragmenty bursztynowych powierzchni. Widziałem też na fotografiach skrzynie. Ale jeśli sądzisz, że usłyszysz ode mnie jakieś rewelacje, muszę cię rozczarować.

Irmina zamilkła. Walas przypominał wiejskiego kundla. Jeśli spuścić takiego z łańcucha, pójdzie gdzieś w las, będzie robił rzeczy, których nie

wolno, nawet takie, które mogłyby oburzyć właściciela. Ale jednego nie zrobi nigdy — nie zdradzi swojego pana i zawsze wróci na podwórko, da się znów uwiązać przy budzie.

— Proszę zapiąć pasy — rozległo się z głośników. — Za chwilę będziemy podchodzić do lądowania na lotnisku we Wrocławiu. Temperatura powietrza wynosi dziewiętnaści stopni, zachmurzenie małe, bez opadów.

\*

Do błękitnego volkswagena zbliżało się ostrożnie dwóch ludzi. Atletycznie zbudowany Rosjanin czekał po drugiej stronie ulicy w towarzystwie elegancko ubranego, nobliwego mężczyzny.

— Zobaczmy, czy dał co obiecał, chciwa swołocz — powiedział atleta. — Zdjęcia są autentyczne. Skrzynie mają oznaczenia zgodne z materiałem fotograficznym z Królewca i opisem w listach przewozowych. Jedno hitlerowcom trzeba przyznać: papiery zawsze mieli w porządku.

— Dzięki temu można ich było potem bez problemów skazywać.

Przy samochodzie stanął jeden z ludzi. W drżącej nieco dłoni miał kluczyki.

— Antonie Fiodoryczu — powiedział niespokojnie potężny mężczyzna. — Może się trochę cofniemy?

— Co ty, Pietka, przecież nie po to facet chce od nas wydębić grubszą gotówkę, żeby podkładać w wozie bombę. A poza tym przecież saper obejrzał auto.

— Ale Łazarz nie chciał dać pilota. Do koperty włożył tylko klucz. Cholera go wie. W SB był podobno jednym z lepszych speców od materiałów wybuchowych. Nic dziwnego, bo u nas go przecież szkolili, w Riazaniu. Pamiętajcie, sam ambasador mówił, żebyśmy zachowali daleko posuniętą ostrożność.

— Może masz rację, odejdźmy kilka kroków.

Człowiek po drugiej stronie otworzył drzwi. Nic się nie stało. Machnął uspokajająco ręką, przywołał towarzysza i wsiedli. Anton z Piotrem poszli na sąsiednią ulicę, do swojego samochodu.

— Że też Krolewski nie zdążył wyciągnąć od Rohdego informacji o miejscu ukrycia skarbu — zauważył atleta, kiedy wsiedli. — Nie byłoby tego całego cyrku.



Starszy mężczyzna pokręcił głową z uśmiechem.

— Istnieją uzasadnione podejrzenia, że Rohde mu jednak powiedział.

— Nie wierzę. Wybaczcie, Antonie Fiodoryczu. Krolewski nigdy się do tego nie przyznał? Nie chciał odzyskać dziedzictwa narodowego i stać się bohaterem Związku Radzieckiego?

— Może miał swoje powody, Pietka. Przecież taki komisarz to nie pojedynczy osobnik, działający zgodnie z własnymi przekonaniem. Może kierownik bezpieczeństwa wcale nie miała ochoty oddawać Bursztynowej Komnaty na chwałę Stalina? Pamiętaj, że Beria rywalizował z GRU, pragnął uzyskać jak największe wpływy, a przy okazji na pewno już wtedy kombinował, jak pozbawić ojca narodu władzy, najlepiej wraz z życiem. Ktoś, kto myśli w taki sposób, nie będzie przecież skłonny robić dobrze temu, kogo nienawidzi. Jest też inne wytłumaczenie. Poczekaj — powstrzymał Piotra, który sięgał ku stacyjce. — Jeszcze chwilka. Krolewski mógł uzyskać pewne wiadomości o miejscu ukrycia komnaty, ale udawał głupiego. Wyobraź sobie, że skrzynie złożono na przykład w sztolniach czy wyrobiskach pod Śnieżką. Albo w kazamatkach Srebrnej Góry. Jak to odnaleźć i wyciągnąć? Tym bardziej, że na Dolnym Śląsku działały jeszcze niedobitki hitlerowskich wojsk, a faszyci pozostawili na dodatek wielu strażników, mających udawać zwyczajnych autochtonów. Poza tym są kwestie organizacyjne i techniczne — twierdza srebrnogórska podobno miejscami wpuszczona jest w ziemię na głębokość co najmniej sześciu pięt. Wyobrażasz sobie? A wszystko może być zaminowane. Na takie poszukiwania trzeba dużo czasu i spokoju. A tego nigdy nie było. Pomyśl, ile trzeba zachodu i zabezpieczeń, żeby odkrywać te wszystkie podziemia. Pułapki, zapadnie, przepaściste studnie wyrastające z nienacka na drodze zuchwałego poszukiwacza. Wystarczy mała nieostrożność i...

Przerwało mu pukanie w okno od strony kierowcy. Atleta zerknął w górę, opuścił nieco szybę.

— To ty? — zmarszczył brwi. — Co tutaj robisz? Miałeś czekać na sygnał od nas.

— Musimy o czymś pogadać.

— W tym miejscu? Zaraz, co ty kombinujesz? Wygłupiasz się?

Anton Fiodorycz pochylił się, żeby zobaczyć, z kim Pietka rozmawia,

tym bardziej, że w ostatnich słowach podwładnego usłyszał strach. To, co zobaczył sprawiło, że najpierw znieruchomiał, a potem chwycił za klamkę.

## 16.

Bzowski z wściekłością rzucił słuchawkę.

— Wszystko się pieprzy — zawarczał. Spojrzał na Witka, siedzącego po przeciwnej stronie biurka. — Kurwa mać, człowieku, to wygląda jakby ten cholerny Łazarz czytał w naszych myślach!

— Może coś w tym jest — odparł Witek. — Przecież zjadł zęby na tej robocie. Wie wszystko o procedurach, technikach działania...

— Słuchaj — wycedził przez zaciśnięte zęby major. — Nie gadaj mi bzdur tylko rusz głową. Na mózg Michała przez jakiś czas nie mamy co liczyć. Musi się trochę otrząsnąć, zresztą jeszcze nie wyjechał z Pragi. Załatwia formalności związane z przewiezieniem ciała panny Walberg do Polski. A wczoraj późnym popołudniem dwóch pracowników rosyjskiej ambasady zostało zastrzelonych w samochodzie. Nie zdziwisz się jeśli powiem, że wóz spłonął.

— Ożeż...! — Witek gwałtownie wciągnął powietrze. — To mamy pasztet! Zaraz zaczną się ruskie tańce ze skandalem międzynarodowym, politycznym kryzysem i tak dalej.

— Właśnie nie. Rosjanie wykazali niespodziewanie dobrą wolę. Sami chcą zatuszować sprawę. Minister żąda od nas tylko odnalezienia sprawców. Policja ma z nami ściśle współpracować.

— Dlaczego właśnie my? Przecież...

— Bo wszystko wskazuje, że odpowiedzialny za to mógł być Łazarz, chociaż nie znaleziono na miejscu jego ulubionego znaku rozpoznawczego.

— Bzdura — zachnął się Witek. — Na jakiej niby podstawie mamy uważać, że to on? Zostawił odciski palców? A może się podpisał? Ruscy prowadzą tyle różnych mętnych spraw, że to mógł być dosłownie każdy. Chociażby zagrywka ze strony jakichś separatystów.

— No dobra — mruknął Bzowski. — Powiem. Za cwany jesteś, żebym ci mydlił oczy. Jedną z ofiar to Anton Fiodorowicz Malenkow. A tak naprawdę Wadim Briusow, bratanek czy daleki kuzyn tego Briusowa, który brał udział w poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty i przesłuchaniach Rohdego, Kocha oraz innych Niemców, mających coś

wspólnego z królewieckim śladem Bursztynowej Komnaty. Malenkow znał Krolewskiego, na pewno też kontaktował się swego czasu z majorem, który był szefem Miguły, w kwestiach szczegółowych uzgodnień akcji „Żelazo”. Jak dowódca Łazarza skończył chyba wiesz. Ten sukinsyn z całą pewnością dowiedział się od nieszczęśnika wszystkiego, czego chciał. A winą za okrutną śmierć szefa biura obarczono Stasi. Ale to informacje ściśle tajne, Witek. W tej chwili o tożsamości zabitych jest poinformowany tylko minister, ja, ty, i oczywiście rosyjski ambasador. No dobra — westchnął ciężko. — Mów, co znalazłeś w górach?

— Nic — Witek wzruszył ramionami. — W pobliżu osuwiska żadnych śladów krwi czy innych płynów ustrojowych. Może go nieśli?

— Niemożliwe. Mirek miał pokaleczone stopy, zdartą skórę na kolanach. Musiał obficie krwawić.

— No to może pędzili go po skałach zupełnie gdzie indziej, a na piargi zanieśli potem? Trudno by mi było samemu przeszukiwać całą okolicę.

— Może było jak mówisz — mruknął major. — Ale to bez sensu. Tak czy inaczej, nie mam teraz czasu nad tym się zastanawiać. Takiego młynu jeszcze nie pamiętam! Jakby komuś specjalne zależało, żeby... — mówił coraz wolniej, wreszcie zamilkł. — Tak — powiedział po chwili. — Jakby komuś zależało, żeby nam nie brakowało pracy...

Popatrzył na Witka, potarł czoło palcami.

— Jutro Michał powinien wrócić. Załatwiłem w samolocie miejsce dla niego, a trumna przyjedzie samochodem przedsiębiorstwa poleconego przez mojego odpowiednika w czeskim kontrwywiadzie. Odbierzesz Wrońskiego z lotniska, przypilnujesz, żeby na odprawie wszystko zostało załatwione jak należy. On może nie mieć do tego głowy. Zrobisz to dla mnie?

— Nie ma sprawy, szefie.

\*

Telefon ćwierkał niecierpliwie. Ambasador spoglądał na aparat ze zmarszczonymi brwiami. Nie spodziewał się rozmowy na specjalnej linii. Zwykle Moskwa w jakiś sposób uprzedzała, o której będzie dzwonił prezydent. Przez kilkanaście lat pracy na placówkach w różnych częściach świata tylko raz spotkał się z podobnym przypadkiem. To było

wtedy, kiedy zatonął podwodny okręt „Kursk”. Ambasador pracował wtedy w Norwegii, a były uzasadnione podejrzenia, że właśnie jednostka tego kraju zderzyła się z Rosjanami. Ale dzisiaj? Czyżby chodziło o śmierć Antona i Pietki? Ale i wtedy ktoś z szyfrów powinien dać znać, kiedy mniej więcej będzie rozmowa. Odetchnął głęboko, sięgnął wreszcie po słuchawkę. Przywołał na twarz uśmiech. Podobno mimika wpływa na psychikę. Tak twierdzą w każdym razie psychologowie, lekarze i różni szarlatani — specjaliści od public relations. Jednak w sytuacji wielkiego napięcia, trudno doprawdy zauważyć dobroczynne skutki uśmiechania się na siłę.

— Słucham Władimirze Władimirowiczu.

— Tu nie Władimir Władimirowicz, tylko Robert Stanisławowicz, drogi Nikołaju Pawłyczu Wilichow.

Ambasador skamieniał. Głos nie należał do prezydenta ani jego osobistego sekretarza. To było coś niepojętego. Nie ma lepiej zabezpieczonej linii niż ta! Nawet słynny czerwony telefon, przez który Jan Paweł II mógł poufnie rozmawiać z Reaganem nie był chyba tak ekranowany.

— Miguła — szepnął. — Ty gnoju! Ty ścierwo!

— Nie podniecajcie się tak, wasza ekscelencjo — w głosie Łazarza można było usłyszeć rozbawienie. Mówił po rosyjsku płynnie, ze świetnym akcentem. — Dzwonię w dobrej intencji.

— Twoje dobre intencje kończą się śmiercią tych, do których je kierujesz.

— Masz na myśli tych dwóch? Kola, nie przesadzaj. Chcieli wyruchać i ciebie, i mnie, więc spotkał ich los, na jaki zasłużyli.

— O czym ty mówisz?

— Twój przyjaciel Antoszka zamierzał zagarnąć ładunek, który przekazałem i odsprzedać z zyskiem amerykańskiemu kolekcjonerowi. Ty byś się dowiedział, że to ja was wyrolowałem. A ten goryl, którego przysłałeś na pierwszą rozmowę miał być świadkiem, że wszystko odbyło się zgodnie z planem i moimi żądaniami. Ale się w porę połapałem. Niektórzy nie zdają sobie sprawy z poziomu postępu technicznego.

— A propos — wpadł mu w słowo ambasador. — Jak zdołałeś podłączyć się do tej linii? Jest tak zabezpieczona, że...

— Nie gorączkuj się. Nie włamałem się na słodką sexline z waszym preziem. Ona technicznie jest rzeczywiście nie do ruszenia.

— Więc jak? Przecież...

— Przełączyłem ją na inny telefon. Masz tylko trzy, więc jakby co, łatwo powinieneś się zorientować.

— Ale po co? Dlaczego po prostu nie dzwonisz... — zamilkł.

— Już odgadłeś, stary grzybie? Właśnie po to, żebyś miał pojęcie, że wiele umiem i sporo mogę.

— To wiem, Łazarzu, bez twoich sztuczek. Pamiętam doskonale. Ciebie nie da się tak po prostu zapomnieć. Potrafisz się przyśnić w nocy.

— Czyżbyś miał wtedy polucje?

— Raczej budzą mnie wymioty. Zastanawiałem się kiedyś, jak możesz golić się przed lustrem i nie rzygać. Podziwu godna wytrzymałość. Z takim mocnym żołądkiem powinieneś zostać kosmonautą.

Odpowiedział mu chrapliwy śmiech, a może bardziej szyderczy rechot.

— Koniec pieszczot i wymiany uprzejmości, Nikołaju. Nie mam czasu na dyplomatyczne konwersacje. Chcesz mieć Bursztynową Komnatę i zasłużyć na lepszą fuchę niż placówka w Warszawie?

— Idiotyczne pytanie.

— W takim razie musisz zrobić, co każę.

Wilichow zacisnął zęby.

— Nie będziesz mi rozkazywał — wycedził. — Mnie może wydawać polecenia tylko bezpośredni przełożony.

— Nie świeć mi w oczy Putinem — zirytował się Miguła. — Poinformowałeś go już, że można odzyskać skarb carów, prawda? Nie zaprzeczaj. Inaczej jak byś się wytłumaczył z zamiaru ruszenia milionów dolarów rezerw agentury FSB na Polskę? Co mu zamierzasz powiedzieć? Że nie dostanie zabawki, bo nienawidzisz człowieka, który chce mu ją dać? W dodatku za tak niewygórowaną cenę.

— Ja ciebie nie nienawidzę, Łazarzu — odparł spokojnym już głosem ambasador. — To tak, jakbym nienawidził wszy. One po prostu są i trzeba je likwidować. Ale bez uczuć, bo na to nie zasługują.

— Bardzo ładne i barwne porównanie — roześmiał się Miguła. — Powinieneś zostać pisarzem, a nie szpiegiem. Na razie jednak jestem

wszą, której zlikwidować nie możesz. Wszą, która pragnie upić waszej gorącej, wypasionej ropą naftową rosyjskiej krwi.

— Raczej mendą — ambasador odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. — Ale niech będzie. Dziesięć milionów pierwszej transzy miało być, jeśli twoja przesyłka jest autentyczna. A przesyłki nie ma...

— Tych frajerów, którzy odjechali moim volkswagenem znajdziesz bez trudu w waszej konstancińskiej melinie.

— Jaja sobie robisz? Chcesz powiedzieć, że czekają tam aż ich ktoś wygarnie?

— Chcę powiedzieć, że możecie ich tam znaleźć. Nic więcej, Kola.

Wilichow przymknął oczy.

— Zabiłeś ich, dobrze mówię? Nawet nie odpowiadaj. Nie musisz. Zawsze lubiłeś mordować, skurwysynu.

— Zbrodnia jest w życiu mężczyzny tym, czym papryka i pieprz w węgierskim gulaszu. Nadaje smak i aromat. Jak już sprawdzicie wszystko, czekam na przelew. Kiedy dotrze, zadzwonię. A teraz żegnaj, Kola.

— Czekaj!

— Co jeszcze?

— Przełącz przynajmniej linię moskiewską na ten aparat, jak skończymy.

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, ekscelencjo. A teraz naprawdę muszę kończyć. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

\*

Bzowski patrzył na trupa i nerwowo bębnił palcami po udzie. Kazał się zawiadamiać o każdym zabójstwie dokonanym w Warszawie i okolicach. Teraz ściągnęli go do Jabłonowa. Ofiarą był stolarz, mężczyzna dobrze po sześćdziesiątce. Obok zwłok technicy znaleźli ziarenko pieprzu.

— Bawi się z nami — powiedział major do Witka, który sprawdzał warsztat spektrometrem.

— O kim mówisz, szefie? — nie załapał w pierwszej chwili porucznik. — Ach, o tym — wskazał zwłoki. — Myślisz, że to rzeczywiście robota Łazarza?

— A znasz innego mordercę, który zostawia pieprz na miejscu zbrodni? Kogoś tak zarozumiałego, żeby udowodniać przy każdej okazji, że jest lepszy od tych, którzy go ścigają?

Na to Witek nie znalazł odpowiedzi.

— Ten człowiek wiedział coś, co mogło Łazarzowi pokrzyżować plany. Tylko co? Idź do żony denata i wypytaj ją, czy podejrzewa dlaczego mąż zginął. I kto mógł to zrobić.

— Przecież wiemy, kim jest morderca — zdziwił się Witek.

— Wiemy tyle, że Łazarz. Ale ona może mieć jeszcze inne informacje. Może ktoś od niego przyłaził, groził... — zamilkł, patrząc spod oka na podwładnego. — Mam cię uczyć dochodzeniowej pracy? Zaćmienie jakiegoś cię dopadło? Sam ją może wypytam.

— Nie trzeba! — zamachał rękami Witek. — Przepraszam szefie, faktycznie myślałem o czym innym.

Bzowski został w towarzystwie pracowników laboratorium. Skrzętnie zbierali wszelkie włókna, odciski palców, ślady butów. Major pomyślał, że to w zasadzie zupełnie niepotrzebne. Śmierć tego człowieka to tylko odprysk wielkiej sprawy, nie ma znaczenia, czy morderca pozostawił jakiś trop. Istotne jest, dlaczego zabił właśnie tego człowieka. Jak to powiązać ze sprawą Bursztynowej Komnaty i akcją „Żelazo”? W jaki sposób łączy się wybuch w Pradze, śmierć pracowników ambasady i pozostałe zbrodnie z zabójstwem zwykłego stolarza z niewielkiej miejscowości? Zaklął w duchu. W tej pracy człowiek ma zazwyczaj zbyt mało danych, musi się zdawać na intuicję. Poczuli nagle, jak bardzo brakuje mu Michała. Może on by potrafił coś pokojarzyć. A przynajmniej wysnułby jakąś karkołomną, nieprawdopodobną hipotezę. Major rozejrzał się bezradnie po pomieszczeniu. Warsztat jak warsztat. Maszyny, drewno, różne okucia, zawiasy i zamki. W kącie jeszcze inne narzędzia. Najwyraźniej denat zajmował się nie tylko stolarką, ale świadczył też usługi ślusarskie. Zapewne takie dodatkowe umiejętności bardzo się przydają przy niektórych zamówieniach. Co go jednak łączyło z Łazarzem?

— W mordę! — mruknął do siebie Bzowski. — Niech ja cię dorwę, sukinsynu!

— Mówił pan coś? — najbliższy technik podniósł głowę.

— Nic, pracuj dalej.

Wrócił Witek. Minę miał nieszczęśliwą.

— Kobieta nic nie wie. To ona znalazła trupa. Była na zakupach od wpół do jedenastej do pierwszej. Kiedy wróciła, mąż był już chłodny. To



by się zgadzało z tym, co ustalił łapiduch. Zgon nastąpił między dziesiątą piętnaście a dziesiątą czterdzieści pięć.

— Nic nie powiedziała? Nie mieli żadnych wrogów?

— Jej mąż od dawna nie robił większych zamówień. Dłubał przy jakichś lżejszych, często artystycznych rzeczach. Sama mówi, że zdołali odłożyć dość pieniędzy, żeby się nie martwić o przyszłość, a poza tym ona ma dodatkowo niezłą emeryturę. To była księgowa. Od przynajmniej pięciu lat przychodzili tutaj ze zleceniami tylko starzy znajomi albo osoby polecane. Żadnych konfliktów, żadnych problemów z płatnościami. Pustynia, szefie!

— Niech to szlag. Trudno znaleźć punkt zaczepienia. Dlaczego Łazarz zaszlachtował tego dziadka, do cholery? Może chodzi o sprawy z dawnych lat? Nie pytałeś?

— Pytałem, ale nic się jej nie przypomina. Zresztą teraz dostała zastrzyk na uspokojenie i lekarz mnie wygnał.

— No dobra — major pstryknął palcami. — Zwijamy się. Tylko jedna sprawa. Trzeba tej kobiecie przydzielić ochronę. Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że Łazarz mógłby chcieć też ją załatwić.

— Myślisz, szefie? — skrzywił się sceptycznie Witek. — Jakby chciał, to by na nią zaczekał.

— Nie wiem, stary. Pamiętaj, że Migule grunt pali się pod stopami. My go ścigamy, Rosjanie, a może i Niemcy. Pamiętasz tamtych dwóch, znalezionych w bramie na Poznańskiej? Łazarz nie może sobie pozwolić na nieostrożność. Kobieta musi dostać porządną ochronę na wszelki wypadek. Wie coś czy nie, nie mam ochoty mieć jej na sumieniu.

— Jak chcesz — wzruszył ramionami Witek. — To ty będziesz się użerał z pułkownikiem o przydzielenie ludzi.

## 17.

W pierwszej chwili Bzowski nie poznał Michała. Porucznik miał twarz ściągniętą cierpieniem, wyglądał piętnaście lat starzej niż kilka dni temu, kiedy żegnali się przed jego wyjazdem. Major nie spodziewał się zresztą, że podwładny przyjdzie do pracy zaraz po powrocie. Kazał mu przecież wypisać dwa tygodnie urlopu.

— Nie będę siedział sam w domu i rozpamiętywał — wymamrotał Michał, kiedy Bzowski mu o tym powiedział. — Muszę dopaść tego skurwysyna, który to zrobił...

Bzowski podszedł do Wrońskiego, ujął go za ramiona.

— Przysięgam ci — powiedział uroczyście — że zrobię wszystko, by się dowiedzieć, komu Łazarz kazał podłożyć bombę.

— Nie musisz niczego robić. Ja już wiem... Dostałem pewną wiadomość jeszcze w Pradze.

Zamilkł, zamyślił się. Bzowski czekał cierpliwie aż porucznik otrząśnie się ze smutnych wspomnień. Milczenie przeciągało się. Wreszcie Michał drgnął.

— Po tym, jak zobaczyłem ciało Doroty — zacisnął szczęki, żeby stłumić szloch. Dopiero po dłuższej chwili podjął: — Nie wiem, kiedy straciłem na chwilę przytomność. Ocucił nie lekarz... Zabrali ją do szpitala, ale mnie nie pozwolili jechać. Przesłuchiwała mnie policja...

— Co im powiedziałaś? — spytał niespokojnie major.

— Nic. Może jestem zrozpaczony, ale nie głupi. Wyszło na to, że może chodzić o jakieś porachunki mojej firmy z konkurencją z Ukrainy albo Rosji.

— Łyknęli?

— Gównu mnie to obchodzi. Grunt, że dali mi spokój. Pewnie interweniowałeś w tej sprawie?

— Oczywiście. Inaczej by cię nie wypuścili z kraju. Mów dalej.

— Zapomniałem o wszystkim. W południe miałem się spotkać przecież z Honzą, to znaczy Januarym Molnarem, tym którego nadał nasz kontakt. To jest, o ile się zorientowałem, szef organizacji przestępczej. Były pracownik milicji i bezpieczeństwa.

— Zupełnie jak u nas — westchnął Bzowski.

— Zupełnie — powtórzył Michał. — W każdym razie przypomniałem sobie o Molnarze dopiero na trzeci dzień, tuż przed odlotem. Postanowiłem, że odstawię trumnę, zadbam tutaj o wszystko, a potem wrócę i go odnajdę. Ale okazało się, że nie trzeba. Podczas odprawy ktoś wcisnął mi w dłoń karteczkę, pewnie jakiś facet z obsługi lotniska.

— Jaką karteczkę?

— Taką — Michał wyjął z kieszeni zmięty kawałek papieru, podał majorowi.

Ten ostrożnie ujął kartkę, rzucił na nią okiem.

— „Szukaj pod siedzeniem” — odczytał głośno. — Czego miałeś szukać?

— Tego — odparł Wroński, podając przełożonemu telefon komórkowy. — Nie trudź się, nie włączaj. Jest uszkodzony.

— Dostałeś zepsutą komórkę? Po co? A może to jakiś podstęp?

— Nie, Jacek. Uległa zniszczeniu dopiero po rozmowie. Nie wiem, może mikroskopijny ładunek, a może wirus... Czy to istotne? Ważne, co dzięki niej usłyszałem. Za śmierć Mirka odpowiedzialny jest Saszka. Tak, nasz pieszczoszek z Bolkowa, Aleksander Walas — Michał zacisnął zęby. — Ta wiadomość pochodzi od Franciszka Żyły. A Molnar zdołał ustalić, że Saszka był w Pradze, dotarł równo z nami i wyjechał zaraz po wybuchu. Ludzie Honzy podobno nawet obili mu gębę, ale myśleli, że to szpieg konkurencji. Molnar był naprawdę wściekły. Powiedział, że gdyby dopadł Saszkę, zostałaaby z niego mokra plama. Pewnie nie chodzi mu o samo zabójstwo Doroty, ale o zasadę. Żaden boss nie lubi kiedy w jego ogródku buszuje ktoś obcy.

— I dobrze, że go nie dopadł — rzekł Bzowski.

— Dobrze — skinął głową Michał. — Bo ja to zrobię.

Bzowski otworzył usta, żeby sprostować — kiedy wyraził ulgę, że czeski gangster nie załatwił Saszki chodziło o to, że trzeba Walasa przesłuchać. Po krótkim namyśle dał sobie spokój z wyjaśnieniami. Wroński zrozumiał rzecz po swojemu, bo w tej sytuacji niby jak inaczej miał ją pojąć.

— Łazarz cały czas nas wyprzedza — powiedział zamiast tego.

— Mylisz to samo, co ja?

— A co ty myślisz?

— Że mamy w biurze kreta. Miguła jest stanowczo zbyt dobrze poinformowany.

— Podejrzewasz kogoś konkretnego?

— Za wcześnie o tym mówić, ale tak, mam swój typ.

— Mów!

— Nie! Jeszcze nie, za wcześnie, muszę się upewnić.

— Mnie przecież możesz chyba powiedzieć.

— A jeśli się mylę? Nie, Jacek. Teraz najważniejsze dla mnie to dopaść Saszkę.

Major przygryzł dolną wargę. Musiał to powiedzieć, chociaż wszystko w nim protestowało.

— Zdajesz sobie sprawę, że muszę cię odsunąć od śledztwa dotyczącego Walasa, prawda? Muszę cię w zasadzie odsunąć od całego dochodzenia. Jesteś zbyt zaangażowany emocjonalnie.

— Pieprzę to! Możesz mnie odsuwać! Nie będę siedział na dupie i czekał aż ktoś odwali za mnie robotę!

— Wiem, że nie będziesz siedział — westchnął Bzowski. — Ale dostaniesz formalną decyzję na piśmie. Inaczej nie mogę postąpić.

— Bez jaj. Pisz sobie co chcesz. A teraz mów lepiej, co tu się działo. Witek coś wspominał, że sypnęło trupami.

— Dużo zdążył ci opowiedzieć?

— Nie bardzo. Chyba nie pasowało mu towarzystwo takiego ponuraka. Szybko się rozstaliśmy.

— A miał cię pilnować i pomagać! Już ja sobie z nim pogadam!

— Daj spokój. Nie każdy nadaje się na niańkę. Sam go spławiłem.

— Ale i tak...

— Mów, co się działo. Nie ma sensu teraz roztrząsać zupełnie nieistotnych pierdół.

\*

Łazarz wiadomość o niepowodzeniu akcji w Pradze przełknął dziwnie spokojnie. Jakby w istocie rzeczy niespecjalnie mu na tym zależało. Saszka poczuł ukłucie. Wolałby, żeby Miguła wściekał się, groził, nawet dał w pysk. Spokój i opanowanie mogło oznaczać, że Irmina miała sporo racji podejrzewając, że zostali wysłani do Czech, aby zejść mu z oczu. Nie uspokoili go nawet słowa Łazarza:

— Teraz to już nieistotne. Żyła może sobie gadać policji, czy tam komu, co tylko chce. I tak zwijamy twój dawny interes. Dogadałem się ostatecznie z Ruskimi.

— Nawet przez sekundę nie zamierzałeś korzystać ze starych szlaków — powiedziała powoli Irmina. — Po co nas posłałeś do Pragi? Ale tak naprawdę.

— Rozumiem — Łazarz uśmiechnął się krzywo. — Uznałaś, że kombinuję coś za waszymi plecami. Jako doświadczona agentka powinnaś wiedzieć, kochanie, że nigdy nie należy zaniedbywać różnych dróg i rozwiązań. Nigdy nie wiadomo, co może się przydać. A że nie byliście mi potrzebni w kraju, mogliśmy spróbować zamknąć gębę temu lumpowi.

— Tyle że przedtem zachowywałeś się tak, jakby ci na tym bardzo zależało.

— A ty co byś zrobiła na moim miejscu? Gdybym wam powiedział, że to dla mnie sprawa drugorzędna, pewnie byście tylko jedli spali, pieprzyli się i oglądali telewizję.

— Chcesz powiedzieć — odezwał się Saszka — że niepotrzebnie narażałem się podkładając ładunek pod samochód?

— Niezupełnie. Gdyby udało się zlikwidować Wrońskiego, byłaby z tego spora korzyść. To niebezpieczny facet. Obawiam się, że go podrażniłeś. Ale to też można obrócić na naszą korzyść. Skupi się na poszukiwaniu ciebie, Olek. To da nam odrobinę więcej swobody.

— Jak to na mnie? — zdumiał się Saszka. — On wie?

— Wie też doskonale, że załatwiłeś jego kumpla. Trzeba jednak uważać, co się gada przy wódzie i do kogo. Niejaki Molnar przekazał Michałowi cenne informacje na temat twoich wyczynów. U porucznika kontrwywiadu Michała Wrońskiego masz kompletnie przesrane.

— Bardzo się boję — burknął Saszka. — Ciebie też będzie chciał dopaść, nie bój się. Myślisz, że odpuści temu, kto pociąga za sznurki?

— Ale najpierw weźmie się za ciebie, przyjacielu.

— Najpierw musi mnie znaleźć. A to wcale nie będzie proste.

— I bardzo dobrze. Niech moi dawni koledzy zajmują się pogonią za fantomami. My musimy przysiąc fałdów i zrobić, co do nas należy. Pieniądze tylko czekają, żeby je zdobyć. Jak tu siedzimy we trójkę, wszyscy jesteście sobie warci — uśmiechnął się paskudnie.

Saszka widywał już taki grymas na ustach Miguły. Z reguły pojawiał się wtedy, kiedy knuł coś wyjątkowo obrzydliwego.

— Nasi przeciwnicy — ciągnął Łazarz — muszą nadal pozostawać za nami, czekać na nasz ruch i powinniśmy dopilnować, żeby to się nigdy nie zmieniło. Im więcej nieistotnych, chaotycznych informacji im dostarczymy, tym bardziej zdołamy opóźnić pościg.

— Nasi przeciwnicy — podjęła temat Irmina — to konkretnie polski kontrwywiad. A co z Rosjanami? Śpią? Nie chcą nas wykiwać?

— Naszymi przeciwnikami — Łazarz spoważniał — są wszyscy. Każdy, kto może zakłócić realizację planu jest śmiertelnym wrogiem. Każdy!

Saszka poczuł lekkie mrowienie na plecach. W oczach Miguły błysnął ten sam zimny, okrutny ogień, który płonął, kiedy Walas wpadł do pokoju w agencji towarzyskiej. To było zresztą coś więcej niż okrucieństwo. Wyczuwało się w Łazarzu nieokiełznaną radość z możliwości zadawania cierpienia i śmierci. Saszka sam lubił zapach krwi, nie miał oporów, żeby zamęczyć człowieka na śmierć. Ale obca mu była taka wyrachowana, nieprawdopodobna dzikość.

\*

Przed ambasadorem stał wyprężony w postawie zasadniczej, ubrany w drogi garnitur mężczyzna.

— Spocznij, Grisza — rzucił Wilichow. — Nie jesteśmy w koszarach, przed frontem dywizji. A moja szarża nie ma tutaj takiego znaczenia.

— Tak jest.

— Jest czy nie jest — zmarszczył brwi ambasador — słuchaj, co mówię. Należy się do mnie zwracać jedynie Nikołaju Pawłyczu, ewentualnie panie ambasadorze albo szefie. Zapomnij, że cię szkoliłem! Od tamtego czasu upłynęło prawie ćwierć wieku!

— W porządku — uśmiechnął się Grigorij. — Myślałem, że sprawię panu małą przyjemność, odświeżając wspomnienia.

— Dzięki za troskę — skrzywił się Wilichow. — Ale trochę ci nie wyszło. To się nazywa nie odświeżanie wspomnień, ale rozdrapywanie ran. Przywiozłeś pocztę?

— Przywiozłem, szefie — powiedział spokojnym, stonowanym głosem. — Zostawiłem szyfrantom.

— Bardzo dobrze. A teraz mów. Co kazał przekazać mi prezydent

poza protokołem?

— Jest bardzo zaniepokojony, że twarda linia okazała się możliwa do odłączenia bez uruchomienia alarmów.

— Ja myślę — mruknął Wilichow. — Też jestem zaniepokojony.

— Jeśli chodzi o Bajkonur... Wybaczcie, Nikołaju Pawłyczu, ale to informacja, którą mam przekazać upewniwszy się, że nikt nas nie podsłuchuje...

— Mów, Griszka. Mój gabinet jest bezpieczny.

— Jeśli chodzi o Bajkonur, należy uczynić co tylko w naszej mocy, aby wszystkie rakiety wystartowały bez zakłóceń.

Ambasador kiwnął głową z kamienną miną.

— To wszystko?

— Wszystko.

— Możesz odejść.

Wilichow zamyślił się. Grigorij nie wychodził. Uważnie obserwował zażywnego człowieka po drugiej stronie biurka. Nikołaj był kiedyś jednym z najsprawniejszych oficerów merytorycznych, od czasu do czasu odwoływano go do Moskwy i powierzano szkolenie najzdolniejszego narybku. Zaczął pracę jeszcze w latach sześćdziesiątych. Inteligentny, doskonały fachowiec, władający perfekcyjnie pięcioma językami, miał zrobić świetlaną karierę w strukturach dyplomatycznych. Szeptano się, że był przeznaczony na szefa ambasady w Waszyngtonie, co przecież jest marzeniem każdego prawdziwego rosyjskiego szpiega. Jednak los spletał mu psikus. A tym psikusem była słynna ucieczka Suworowa. Wilichow był osobiście odpowiedzialny za schwytanie zdradzieckiego agenta, ale nie potrafił sobie poradzić, zgubił ślad zbyt prędko, jak na wymagania położonych. Takich wpadek szefostwo służb wywiadowczych nigdy nie zapomina. Z drugiej strony szkoda było marnować zdolnego człowieka. Dlatego pełnił funkcje szefa w mniej ważnych placówkach europejskich.

— Czego jeszcze chcesz? — ambasador spojrzał na oficera.

— Nie otrzymałem na razie przydziału. Nie wiem, dokąd się udać.

— Do hotelu, Griszka. Wynająłem ci apartament w Forum. Tam czekaj na rozkazy.

— Nie rozumiem, Nikołaju Pawłyczu. Jak to do hotelu i czekać? Przecież przysłano mnie tutaj, żebym wam pomagał...

— Gówna prawda! Przysłano cię na mój wniosek, abyś wykonał

pewne konkretne zadanie. Nie znam lepszego sapersa od ciebie. Ale za dużo wiedzieć nie powinienes. Zresztą formalnie ciebie tu w ogóle nie ma, majorze Stanko.

— Nikołaju Pawłyczu — Grigorij lekko odchrząknął. — To nie jest takie proste.

— Co nie jest proste? Dostaniesz wezwanie, zawieziemy cię na miejsce...

— Pan mnie traktuje jak jakiegoś sierzanta — powiedział nieco ostrzejszym tonem Stanko. — Myślałem, że to nie będzie potrzebne, ale widzę, że nie mam wyjścia.

Podał ambasadorowi zaklejoną starannie kopertę. Wilichow poczerwieniał, ale nie odezwał się. Otworzył list. Ze środka wypadł kartonik wizytówki. Zanim jeszcze dotknął blatu, dyplomata wiedział, czyje nazwisko na nim widnieje. Rzucił okiem na odręczną notatkę na odwrocie.

— Mam udzielić ci wszelkich informacji... — złożył ręce na biurku, po obu stronach wizytówki, każdą dłoń w identycznej odległości. — Mam rozumieć, że przyjechałeś mnie nadzorować?

— Raczej jako siła doradcza.

— Na jedno wychodzi — zgrzytnął zębami ambasador.

— Niezupełnie. Pierwsza sprawa, jaką mam wyjaśnić dotyczy depozytu, który ostatnio trafił do magazynu placówki. Eksperci potwierdzili, że to rzeczywiście fragmenty Bursztynowej Komnaty. A konkretnie panele i świeczniki wykonane na zamówienie Katarzyny Wielkiej, już po przeniesieniu gabinetu z Petersburga do Carskiego Sioła. Chcę osobiście obejrzeć eksponaty.

— Oczywiście — odparł z niechęcią Wilichow. — Możemy zejść do podziemi choćby zaraz.

— Momencik. Teraz druga rzecz. Prezydent życzy sobie, żebyśmy za wszelką cenę przejęli ładunek uwidoczniony na fotografiach. Na podstawie budowy geologicznej ścian profesor Fiodorow określił rejon, w którym może znajdować się skrytka. Niestety, to dość rozległy teren, obejmujący cały górzysty region Dolnego Śląska, zarówno po stronie polskiej, jak również czeskiej i niemieckiej. Przy czym może to być zarówno pieczara w górach, jak i podziemna naturalna jaskinia gdzieś niżej.



— Pertraktujemy przecież z człowiekiem, który ma dostęp do skarbu...

— Wiem. Jednak to za mało. Pamiętajcie, Nikołaju Pawłyczu, że prezydent doskonale zna się na wywiadowczej robocie. Żąda, żebyśmy nie tylko przejęli ładunek, ale także dostarczyli do Moskwy człowieka, tego Migułę-Łazarza.

— To będzie trudne. A nawet niemożliwe. Łazarz jest wyjątkowo przebiegły. Ma nie tylko doświadczenie, ale też intuicję oraz masę szczęścia...

— Nie ma rzeczy niemożliwych. „Pierwszy” żąda konkretnych wyników. Żeby nie było niejasności: od tej sprawy zależy moja i wasza kariera. A może nawet coś więcej. Musimy się postarać, Nikołaju Pawłyczu.

\*

Michał długo trawił informacje, które przekazał mu przełożony. Siedział nieruchomo na krześle zapatrzony w widok za oknem, nieobecny duchem. Bzowski wiedział jednak, że porucznik nie dostrzega ani błękitu nieba, ani ściany budynku naprzeciwko. Pograżył się we własnym świecie przemyśleń, bolesnych wspomnień i tylko jemu znanych obrazów.

Major czekał cierpliwie, nie zamierzał w żaden sposób popędzać Wrońskiego. Tego człowieka powinno się wysłać na urlop, aby odpoczął po przeżyciach ostatnich dni. A przecież było ich sporo. Aresztowanie i misja w Bolkowie, śmierć Mirka, bomba w mieszkaniu Łazarza, trup w schronisku, wreszcie najbardziej osobista z możliwych tragedia w Pradze. Jak na jedną osobę aż nadto. A jednak Michał wolał pracować, nawet wbrew wyraźnemu poleceniu. Może kiedy opadną z niego emocje, poczuje zmęczenie i potrzebę wypoczynku. Bzowski ze ściśniętym sercem myślał, że w tej sytuacji będzie musiał nie tylko formalnie odsunąć Wrońskiego od dochodzenia, ale także dopilnować, by porucznikowi nie zarzucono niewykonania rozkazu.

— Muszę koniecznie porozmawiać z wdową po stolarzu — powiedział w przestrzeń Michał. Było to tak nieoczekiwane po kilkunastominutowej ciszy, że major podskoczył.

— Dlaczego właśnie z nią? Myślisz, że może wiedzieć coś istotnego?

— Myślę, że właśnie nie — Wroński spojrział przekrwionymi oczami

na szefa. — Gdyby wiedziała coś konkretnego, Łazarz postarałby się ją też załatwić. Dla niego to jak splunąć. Jeden trup w tę, jeden w tę — co za różnica.

— Nie możesz uczestniczyć w dochodzeniu, mówiłem przecież. A poza tym rozmawiał z nią już Witek.

— Nie mogę brać udziału, zgoda. Ale w tym przypadku chodzi o zupełnie inną sprawę.

— Jaką?

— Powiem, jak z nią pogadam. A poza tym może coś jednak wyciągnę.

— Pamiętaj, nie zajmujesz się sprawą zabójstwa panny Walberg. Osobiście dopilnuję, żeby Saszka...

— Jasne. Ale tutaj rzecz nie dotyczy zabójstwa Doroty. A przynajmniej nie przede wszystkim. Pozwól mi zadziałać, zanim podpiszesz kwit.

— Sprawą akcji „Żelazo” i Bursztynową Komnatą też nie wolno ci się interesować służbowo. Nie zachodź mnie od tej strony.

— Moja rozmowa z żoną stolarza może rozwiązać pewną zagadkę. Jacek, mógłbyś mi odrobinę zaufać. Nie zamierzam popełnić żadnego wykroczenia przeciwko regulaminowi... na pewno nie dzisiaj ani jutro — dodał po chwili.

— Dobrze, że to uściśliłeś.

— Daj mi tylko samochód z kierowcą. Jestem jeszcze zbyt roztrzęsiony, żeby...

— Oczywiście — przytaknął gorliwie major.

— Przy okazji będziesz miał mnie na oku, nie musisz wysyłać ukradkiem nikogo, żeby mnie obserwował.

— No wiesz, Michał, za kogo ty mnie uważasz?

— Za doskonałego oficera kontrwywiadu.

— Jestem twoim przyjacielem...

— I dowódcą. Nie mam żalu, że robisz to, co musisz. I jestem wdzięczny, że pozwalasz mi chociaż na tyle.

— Jedź już — mruknął Bzowski — bo w końcu mnie zmiękczysz i będę tego żałował do końca życia.

— W sprawach służbowych może cię zmiękczyć tylko solidna dawka WYW-72. A i tego nie jestem pewien — na wargach Michała zagościł

blady uśmiech.

— Czasem przeklinam tę pracę — powiedział cicho major. — Ale jest potrzebna. Im dłużej babram się w agenturalnym gównie, tym większy dostrzegam w niej sens. A nie można dobrze wykonywać obowiązków, sprzeniewierzając się zasadom.

— Właśnie o tym mówię, Jacek. Potrafisz naginać regulamin, ale są rzeczy, których nie zrobisz nigdy. Nawet dla mnie.

\*

Saszka tym razem nie odmówił wódki. Pomyślał, że skoro po ostatnim szlajaniu się po Wrocławiu nie wylądował w szpitalu, może i tym razem organizm daruje mu odstępstwo od rad lekarzy. A jeśli nawet nie... Musiał się napić. Łazarz wlał w szklanki ukraińskiej „Kliukwy” — mocny destylat sporządzony z żurawiny. Wypili duszkiem.

— Mów, co ci leży na wątrobie — powiedział Miguła sięgając po plaster pieczonego schabu na zimno.

— Mam wątpliwości. Dlaczego Rusczy zgadzają się bez protestów na twoje zbójce warunki? Bursztynowa Komnata naprawdę jest aż tak cenna? Tego materiału jeszcze na świecie nie brakuje. Przecież można odtworzyć pokój na podstawie przedwojennych fotografii. Są nawet kolorowe...

— Można ją odbudować i nawet próbowano po wojnie. Ale to jednak nie to samo. Bursztynowa Komnata to rzecz prestiżowa. Rosjanie chcą pokazać światu — „Patrzcie i uważajcie! Zrabowane dziedzictwo wraca do macierzy”. To powinno dać innym do myślenia. To także wskazówka, że wielki naród rosyjski nie zapomina o krzywdach, nie można go bezkarnie upokorzyć.

— Przecież to idiotyczne.

— To po prostu polityka, Saszka. A my wykorzystamy do własnych celów narodową dumę Rosjan i zarozumiałość Niemców.

— Niemców?

— Irmina prowadzi rozmowy z rezydentem wywiadu RFN przy ambasadzie niemieckiej.

— Zamierzasz im sprzedać ten sam towar, co Ruskim?

— Sprzedać? Nie. Zamierzam się po prostu zabezpieczyć.

— Jak jedni wykręcą numer, zostaną drudzy?

— Niezupełnie. W tym wypadku nie chodzi o pieniądze. Ale nie

dopytuj tak. Wiedzieć zbyt dużo nie należy. To bywa niezdrowe. Wiedza, mój przyjacielu, może i jest błogosławieństwem, ale nie w każdym przypadku.

Saszka machinalnie wypił kolejną szklankę trunku.

— A powiesz przynajmniej gdzie znalazłeś to, co opychamy Ruskim?

— Srebrna Góra — padła krótka odpowiedź.

— Niemcy zagrzebali to właśnie tam?

— Wielisławka — powiedział Łazarz. — Szyb „Gustaw”. Twierdza Kłodzko. Cieplice. Wielka Sowa. Ślęza...

— Co ty za wyliczankę uskuteczniaasz? Chcesz się pobawić w chowanego?

— W chowanego? Może tak, ale nie ja. To miejsca ukrycia Bursztynowej Komnaty. Niemcy nie zadołowali jej w jednym miejscu. Dyrektor muzeum w Królewcu, Alfred Rohde, nie był idiotą. Wiedział, że ładunek trzeba podzielić, puścić wieloma kanałami. Hitlerowcy zagrzebywali tyle różnych rzeczy, że nie ma możliwości zebrać pełnego obrazu czy nawet zarysu ich poczynań. Bez dokładnych wskazówek pozostawionych przez Rohdego można się po prostu wykichać. Widzisz, on nie chciał, żeby Bursztynowa Komnata wpadła w łapy Hitlera, Göringa albo innego nazistowskiego kolekcjonera. O ile wiem, był głęboko przekonany, że zabytek powinien wrócić do Rosji.

— Chwalebnie jak na Szkopa.

— Wiesz przecież, że nie wszyscy Niemcy byli wierni wodzowi. W końcu ktoś organizował na niego zamachy, prawda? A Rohde przyjaźnił się z von Dehną, który maczał palce w najsłynniejszej próbie pozbycia się Adolfa, tej z dwudziestego lipca czterdziestego czwartego roku. Jednak motywacje dyrektora muzeum były nieco bardziej skomplikowane. Z jednej strony uważał, że Rosjanie powinni odzyskać własność, uznał, że musi coś zrobić, żeby uniknąć zniszczenia albo przejęcia skarbu przez władze centralne w Berlinie. Dlatego właśnie ustawicznie torpedował polecenia ze sztabu naczelnego wodza, aby przewieźć zabytek do Niemiec. Bredził wciąż o konieczności konserwacji zabytku, wymyślał różne powody, dla których nie można go ruszyć z Królewca. A kiedy Armia Czerwona ostatecznie przerwała front, z czystym sumieniem mógł oznajmić, że transport do Berlina jest zbyt ryzykowny. Z drugiej jednak strony wcale nie był pewien intencji oficerów radzieckiego wywiadu,

którzy przybyli natychmiast po zdobyciu Królewca. Tam odbywała się regularna cicha bitwa między NKWD a wojskowymi. Rohde naocznie mógł się przekonać, że ta walka jest dla nich ważniejsza niż dobro dziedzictwa narodowego. A przecież jeśli chciał mieć pewność, że gabinet trafi tam, skąd go zabrano, musiał się przekonać, komu może przekazać tajemnicę. Dlatego aż do grudnia zwodził Krolewskiego, Jeraszowa i innych śledczych. Utrzymywał uparcie, jakoby komnata znajdowała się gdzieś w podziemiach królewieckich. Dysponował oczywiście listą miejsc, gdzie ukryto skrzynie, z dokładnymi planami ich lokalizacji. Trzymał je w teczce i wodoszczelnym opakowaniu, w sobie tylko znanym miejscu. Ale nie docenił sprawności upadłej pozornie agentury SS. Kiedy już się zdecydował ujawnić Rosjanom prawdę...

— Ktoś go zatłukł — dokończył Saszka.

— Tak jest. Brał w tym udział niejaki Ringel. Do dzisiaj nie wiadomo czy to prawdziwe nazwisko, czy pseudonim. Ale jedno jest pewne — to on wszedł w posiadanie dokumentacji skrytek.

— To dlaczego Niemcy nie wydobyli skarbu?

— A po co? Musieliby przecież niezwłocznie zwrócić go Rosjanom. Odkąd faszyci zaczęli brać w dupę i widać było, że na pewno nie wygrają tej wojny, opozycyjne siły w łonie Kancelarii Rzeszy kombinowały, jak z komnaty uczynić kartę przetargową podczas negocjacji pokojowych po zamachu na Hitlera. Niemcy może cierpią na przypadłość idealizmu i egzaltacji, ale potrafią myśleć po gospodarsku. Zamach się nie udał, zatem jeśli nie mogli wykorzystać gabinetu do swoich celów w czasie wojny, czekali na okazję, żeby to zrobić później. Jest też jeszcze jeden czynnik, który zmuszał ich do bezruchu. Nawet nie wiesz jak trudno przeprowadzić poważne prace terenowe i podziemne na obszarze, na którym wszelkie zainteresowane wywiady patrzą sobie na ręce. Więcej zdziała tu prywatna inicjatywa niż państwowe instytucje.

— Taka jak nasze małe przedsiębiorstwo?

— Ty, niezmiernie ważny przedsiębiorco — odparł z drwiną Łazarz — przyszedłeś na gotowe. Dopuściłem cię do spółki, bo jesteś potrzebny, a raczej w każdej chwili możesz się taki okazać. Tak samo Irmina. Z niej mam pożytek, bo oficjalnie wciąż pracuje w swoim wywiadzie. Dla służb RFN nie jest takim wyrzutkiem jak ja dla naszych. A wracając do twojego pytania. Niemcy cierpliwie czekali na sposobność, żeby wykorzystać

swoją cenną wiedzę i ugrać coś z Rosjanami. Taka okazja trafiła się w końcu lat sześćdziesiątych. Widzisz, oni już wtedy, za głębokiego Honeckera, zaczęli kombinować, jak tu dokonać aktu zjednoczenia z zachodnimi braćmi. A nie dałoby się tego procesu uruchomić bez zgody Związku Sowieckiego. Z kolei rysy na komunistycznej twierdzy zaczynały być coraz wyraźniejsze i wszyscy zdrowi na umyśle obserwatorzy musieli zacząć przeczuwać, że prędzej czy później wszystko pieprznie. My zapragnęliśmy natomiast odzyskać nieco dziedzictwa narodowego niekoniecznie legalnymi metodami. Stąd sławetna akcja „Żelazo”, w której miałeś zaszczyt uczestniczyć. Tak się więc zdarzyło, że wszyscy jednocześnie mieli interes. Niemcy za ujawnienie gabinetu mogli — w jakiejś tam mniej czy bardziej przewidywalnej przyszłości — liczyć na poparcie Rosji w sprawie zjednoczenia. Rosjanie za zezwolenie na naszą akcję dostawali zgodę i pomoc podczas prowadzenia prac wydobywczych, nie tylko zresztą w poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty, ale i innych schowanych przez hitlerowców dzieł sztuki. Polacy z kolei dostali zielone światło dla „Żelaza”. Wiesz w ogóle, skąd nazwa „Żelazo”?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Dlaczego mnie to nie zaskoczyło? Czasem bywasz strasznie tępy. Czy to nie dziwny kryptonim dla działań związanych z rabunkiem pieniędzy, kosztowności i odzyskiwaniem skarbów kultury? Właśnie. Z początku akcja „Żelazo” dotyczyła po prostu przerzutów broni. Mieliśmy wojnę w Wietnamie, ruchawki w Ameryce Środkowej i Południowej, różne tam takie prztyczki, które wymieniały między sobą wrogie mocarstwa. A nielegalny handel bronią to jest coś, na czym można zbić wielki kapitał. Dzięki temu powstały świetne kanały przerzutowe, ludzie nabrali doświadczenia, słowem wszystko kwitło. Interes rozwijał się doskonale do czasu gdy Rosjanie zorientowali się, że robimy interesy na boku, bez ich wiedzy. Chcieli inicjatywę uwalić, ale wtedy pojawił się Ringel junior, syn niemieckiego oficera, z propozycją wewnętrznej opozycji rządu NRD i planami skrytek. W schronisku „Orlinek” w Karpaczu interes został ubity i przyklepany. Na znak dobrej woli strona niemiecka miała przekazać rosyjskiej plany rozłokowania skrzyń z Bursztynową Komnatą.

— Ale coś się nie udało, prawda? Inaczej komnata byłaby już w

posiadaniu Rosji.

— Nie udało? Zależy, z jakiego punktu widzenia na to spojrzeć. Powiedzmy, że umowa rosyjsko-niemiecka nie doszła do skutku z powodu tragicznego wypadku w górach. Niestety, delegacje obu państw zasypała lawina. Nikt nie zwrócił na to większej uwagi, bo Gomułka był zbyt zajęty pacyfikowaniem ruchów studenckich, a we Francji okropnie wrzało. KGB i wywiad wojskowy pompowały pieniądze, żeby protesty na zgniłym Zachodzie nabierały rozmachu. A w Białym Jarze po tym wypadku po prostu zabroniono ruchu turystycznego od pewnej wysokości. Nasza akcja była zaplanowana i przeprowadzona wzorowo. Tym bardziej, że dzięki niespodziewanej pomocy sił natury nie musieliśmy rozwalać agentów osobiście, a potem pozorować wypadku, jak to było w planie. Łyżką miodu w beczce dziegciu było jedynie to, że służbom kontrwywiadowczym nie udało się odnaleźć ani przy ofiarach, ani w ich bagażach teczki doktora Rohde.

Saszka pokiwał głową z domyślnym uśmiechem i powiedział:

— Która to teczka jakimś dziwnym trafem stała się twoją własnością, tak? Polacy chcieli wyruchać socjalistycznych przyjaciół, a tymczasem sami zostali wydymani przez własnego agenta?

— Pozwolę sobie nie odpowiedzieć na tę prowokację — oświadczył z udawaną surowością Łazarz. — Na skutek górskiej katastrofy Niemcy nie uzyskali wtedy swoich gwarancji na „w razie czego”, a Rosjanie pozwolenie rycia w ziemi też mogli sobie schować bardzo głęboko, bo niby na podstawie czego i gdzie mieliby szukać. Zaś my mimo wszystko mogliśmy przystąpić do akcji „Żelazo”. Koronkowa robota. Na dodatek Niemcy podejrzewali Rosjan o sabotaż, z pełną zresztą wzajemnością.

— Masz dokumentację, zgoda — kiwnął głową Saszka. — Ale przecież Niemcy na pewno sporządzili niejedną kopię.

— Oczywiście — odparł Miguła z pełnym samozadowolenia uśmiechem. — No i co z tego? Mogą się wykichać, bo nie są w stanie tego ruszyć. Za mocno ich pilnujemy. Rosjanie zresztą też. Mogą co najwyżej próbować mieszać, jak z tym żołnierzem, którego znaleziono pod Śnieżką z fragmentem lewego planu. Można się było nawet na to nabrać. Ale niczego więcej prócz takich żałosnych sztuczek niemiecka agentura zrobić nie mogła i nadal nie może. Potrafią zaszkodzić innym, ale sobie pomóc w żaden sposób. Dlatego Irmina prowadzi działania pozoracyjne.

Niby oferuje wywiadowi niemieckiemu jakieś dane, przekazuje informacje o rozwoju sprawy, ale tak naprawdę mydli im tylko oczy. To właśnie zabezpieczenie, o którym wspominałem. Po prostu musimy wprowadzać jak największy zamęt, zyskać na czasie, żeby zakończyć sprawę. Nie myśl sobie, że zdobycie planów skrytek to była bułka z masłem. Wszedłem wtedy w spółkę z jednym Rosjaninem, młodym oficerem GRU. Inaczej nie miałbym dostępu do pokoju Krolewskiego. Właśnie z tym facetem podzieliłem się dokumentacją. Mieliśmy czekać na lepsze czasy, żeby to dobrze sprzedać. Lepsze czasy nadeszły. I wszystko byłoby w porządku, gdyby ten skurwiol nie próbował mnie wykiwać. Musiałem się zdrowo napracować, żeby oddał co do mnie należy.

— I oddał? Pewnie z miłym, przepraszającym uśmiechem.

— Raczej się nie uśmiechał — Łazarz nie podjął żartu. — Po naszpikowaniu WYW-72 mało kogo stać na radosne grymasy.

— To ten środek, który wstrzyknąłeś dziwce?

— Ten sam.

Saszka skrzywił się z niesmakiem. Może to dobra metoda zadawania bólu, ale bez krwi, połamanych zębów, różowej piany występującej na wargi tortury są jakieś puste. Odchrząknął, spojrzał przelotnie na butelkę żurawinówki.

— Powiedz lepiej, w jaki sposób zdołałeś wydobyć skrzynie ze skarbem i zebrać je w jednym miejscu.

— Znalazłem tylko pierwszą skrytkę. Tę, z której bursztyny kiedyś dałem ci do ręki, i z której pochodzą zdjęcia. Były tam trzy pojemniki... Pojemniki — tak trzeba to określić. Drewno twarde, porządnie zaimpregnowane, warstwa ogniotrwała w środku. A to, co zrobiłem potem... to już kwestia sprytu i inteligencji. Nie zawsze świat jest takim, jakim go widzimy.

— A skrzynia, którą dałeś Rosjanom?

— Tu był problem, Saszka. Spory problem. Nie miałem możliwości sam jej wydobyć z podziemi. Część drogi trzeba tam pokonywać na czworakach, ze dwieście metrów ciasnym korytarzykiem. Bez odpowiedniego sprzętu i ludzi rzecz jest nie do zrobienia.

— Ale przecież widziałem tę skrzynię. Pakowaliśmy ją do samochodu. To jakaś fałszywka?



— Skąd! Przecież Ruscy natychmiast zabrali ją do ekspertyzy. Musiała być autentyczna. Kojarz, kojarz, przyjacielu. Co byś zrobił?

Saszka pociągnął łyk wódki.

— Zawartość wyniosłeś po kawałku. Ale skrzynię?

— Skrzynię też. Rozwaliłem ją. Problem polegał na tym, że złożyć ją musiał prawdziwy fachowiec. Najlepiej stolarz artysta. W efekcie ambasada rosyjska otrzymała autentyczny fragment komnaty w autentycznym opakowaniu. Są zatem przekonani, że mam swobodny dostęp do skarbu.

— Kiedy zdążyłeś tyle zrobić?

— Człowieku! Myślisz, że tydzień temu wpadłem na ten pomysł i po prostu wziąłem się ostro do pracy? Przygotowywałem się do tej akcji przez ostatnich dziesięć lat! Wszystko musiało zagrać i wszystko zagrało. Obserwowałem dawnych współpracowników, patrzyłem jak który sobie radzi. Wybrałem ciebie, bo okazałeś się najsprytniejszy. A załatwienie Mirka było tylko kolejną próbą. Gość tak naprawdę nie wiedział nic, co by mnie mogło zainteresować. No, przy okazji pozbyłem się inteligentnego przeciwnika. Z testu wywiązałeś się — powiedzmy — dostatecznie, ale to już z winy debili, których zatrudniałeś w przemytniczej firmie. Dobrze, że miałem swojego człowieka w biurze Bzowskiego, bo mógł zatuszować i częściowo zlikwidować ślady po twoich rzeźnikach. A zostawili ich przy osuwisku strasznie dużo — odciski palców, pety, któryś nawet spluwał co dwa metry. Można by ich bez większego trudu namierzyć.

Saszka wzruszył ramionami, skrzywił się pogardliwie.

— No i co z tego? Obaj już oglądają piekło od środka. Byli głupi. Gdybym im nie powiedział, że mają nie dotykać ofiary gołymi rękami, na niej też by zostawili odciski.

— I bardzo dobrze, żeś ich zarznął! Gdybyś po tej fuszerce darował im życie, nie siedzielibyśmy teraz razem. Ale pamiętaj o jednym. Psy mogłyby odszukać znajomych tych gości. Znajomych, którzy mogliby coś wiedzieć. Tacy głupole zwykli po pijaku chwalić się różnym kumplom. Nie zapominaj, że ty też przy kielichu sprzedałeś parę informacji Franciszkowi Żyle. Ale teraz to nieważne — machnął niecierpliwie ręką, widząc, że Saszka chce coś powiedzieć. — Od ostatecznego zwycięstwa dzieli nas zaledwie parę dni... może nawet mniej jeśli Rosjanie okażą się

dostatecznie zdeterminowani i dostaną porządnego kopa z Moskwy.

## 18.

Ołtarz tonął w blasku i ciemności jednocześnie. Ostre płomienie słońca wpadające przez witraże podkreślały i wyostrzały cienie. Jak życie, pomyślał Michał. Ono też pełne jest światła i mroku, które mieszają się bez ustanku. Dzień i noc zlewają się w pasemka szarych lat... Przypomniał sobie wers z piosenki, którą kiedyś ułożyli w ogólniaku z kumplami. Właściwie ułożyli tylko słowa, muzykę bowiem skomponował zespół The Bolshoi, a utwór był jednym z najbardziej znanych przebojów tej grupy — *Sunday Morning*. Teraz rozbrzmiały mu w głowie dawno zapomniane dźwięki. Próbował się modlić, ale nie mógł skupić uwagi na słowach znanych od dzieciństwa formuł. Przed oczami przelatywały sceny z ostatnich dni, szczególnie jedna... Dorota wyglądała, jakby tylko zasnęła. Na jej ciele nie można było dostrzec ani jednej kropelki krwi. Oczy miała zamknięte. Los bywa kapryśny i złośliwy. Tym razem zachował się tak, jakby nie chciał naruszyć piękna. Sekcja wykazała wielonarządowe urazy, spowodowane siłą eksplozji. Między ofiarą a bombą wytworzyła się poduszka powietrzna, która nie pozwoliła przebić się odłamkom blachy i plastiku, ale bezlitośnie pozbawiła kobietę życia. Michał od razu wiedział, że ukochana nie żyje. Ani przez sekundę nie miał złudzeń.. Wyczuwał po prostu całym sobą, że Doroty już nie ma, została po niej jedynie pusta powłoka.

— Boże — wyszeptał — pozwól, by sprawiedliwości stało się zadość... Nie zemście, ale właśnie sprawiedliwości.

Ukrył twarz w dłoniach, zastygł bez ruchu, napiął mięśnie, jakby to mogło prośbom pomóc dotrzeć do uszu Najwyższego.

— Już wiesz — rozległ się niespodziewanie szept z tyłu.

Michał nawet nie drgnął. Doskonale wiedział, kto to mówi. Był tak pogrążony w myślach, że nie usłyszał tego człowieka wchodzącego do kościoła, nie zwrócił uwagi na skrzypienie ławki tuż za nim.

— Już wiesz — padło znowu, nieco głośniejsze.

— Wiem — odparł półgłosem. — Podejrzywałem już wcześniej, że jesteś kretem, ale dzisiaj zyskałem pewność. Popełniłeś fatalny błąd.

— Zgadza się. Każdy z nas je popełnia.

— Ale jeśli robi się coś niegodziwego, o wiele o to łatwiej.

— Chcesz mnie wydać czy zabić?

Wroński potrząsnął głową.

— Jesteś żałosny, Witku — odparł ze smutkiem. — Jesteś pionkiem w grze, której nie rozumiesz.

— A ty masz pojęcie, o co w niej chodzi?

— Ja już nie muszę. Mam inny cel.

Przedziwna sytuacja. Michałowi przypomniała się scena z filmu *Nieśmiertelny*. Tam wrogowie spotykali się w świątyni, żeby rozmawiać, bowiem to było jedynie miejsce, w którym nie mieli prawa walczyć. W wypadku jego i Witka było o tyle inaczej, że nie ograniczało ich tabu miejsca. W każdej chwili każdy mógł wydobyć pistolet i strzelić w głowę przeciwnikowi. Michał nie miał na to jednak najmniejszej ochoty. W którym momencie zaczął podejrzewać Witka? Podświadomie chyba wtedy, kiedy...

— Dlaczego uratowałeś mi skórę w mieszkaniu Łazarza? — spytał.

— To był odruch. Zawsze cię lubiłem, Wroński. Nie powinienem tego robić. Na pewno byłoby mi teraz łatwiej.

— Ludzki odruch — mruknął Michał. — Nikt nie jest zły do końca.

— Łazarz jest. Ale on nie ma w sobie nic z człowieka. Chyba tylko tyle, że potrzebuje jedzenia i snu.

— To robak. Dlaczego mu służysz?

— Z najstarszego powodu, jaki zna ludzkość.

— Wydałeś na śmierć Mirka, Adama, przez twoje konszachty zginęła Dorota.

— I jeszcze parę osób. Zgadza się.

— Wszystko dla pieniędzy?

Witek nie odpowiedział. Poruszył się w ławce.

— Chcesz mnie teraz załatwić? — Michał na myśl o rychłej śmierci nie czuł strachu ani nawet niepokoju, raczej ulgę. — Masz tam spluwę z tłumikiem, zgadza się?

— Zgadza. Powinienem to zakończyć jednym pociągnięciem za spust.

— Na co więc czekasz?

— Wystarczy zabijania. Ja też mam tego wszystkiego dosyć.

— Czyżby dopadły cię wyrzuty sumienia?

— Niepotrzebnie drwisz. Naprawdę nie mogę spać po nocach.

— I budzisz się z krzykiem, mając przed oczami twarze tych, którzy zginęli? Myślisz, że jeśli darujesz mi teraz życie, będzie ci łatwiej pogodzić się ze sobą?

Ołtarz lśnił złotem. Na zewnątrz ludzie śpieszyli w swoich sprawach. Michał miał wrażenie, że czas stanął.

— Nie — usłyszał po chwili. — Nie będzie mi łatwiej. Ale, jak powiedziałem, mam dość. Chcę po prostu odejść.

— Odejść? Jak Judasz? Kupiłeś porządny sznur? A może oddasz przedtem pieniądze mocodawcom?

— Możesz kpić, Wroński. W naszym fachu wyższe uczucia nie są zaletą. Myślałem, że jestem twardszy.

Michał przymknął oczy. Przez moment korciło go, by sięgnąć pod pachę. W kaburze miał ulubionego Glocka siedemnastkę. Wystarczy tylko nacisnąć spust. Nie trzeba nawet wyciągać broni w całości. Bezkurkowy mechanizm nie zahaczy o ubranie. Kula bez trudu przeszyje deskę oparcia. Specjalnie załadował magazynek pociskami pełnopłaszczowymi. Spodziewał się raczej, że będzie musiał strzelać do kogoś w samochodzie niż do człowieka siedzącego w kościelnej ławce, ale naboje na taką okoliczność są jak znalazł.

— Nic mi nie powiesz na pożegnanie, kolego?

Michał odwrócił się nagle, popatrzył prosto w oczy Witka.

— Chcesz usłyszeć „idź z Bogiem”? A może bądź przeklęty? Nawet nie będę cię szukał, szmato. Bo to tak, jakbym zapragnął ukarać katowskie kleszcze. Dla mnie nie istniejesz. Weź swoją krwawą forszę i odejdz, zanim zapragnę cię zastrzelić.

— Nie zapominaj, że to ja trzymam cię na muszce.

— A ty pamiętaj, że człowiek strzela, ale kule nosi On — wskazał ołtarz. — Pociągając za spust niczego nie możesz być pewien.

Witek nie odwrócił wzroku, ale spojrzał nieco w bok, unikając palącego spojrzenia Wrońskiego.

— Desperat z ciebie — zauważył. — Ja na twoim miejscu chyba bym się ze strachu... — nie dokończył. Powaga kościoła działała także na niego.

— Nie mam już czego się bać. A na pewno nie złęknię się czegoś takiego jak ty.

— W takim razie skończmy tę rozmowę. Znikam.

Wbrew zapowiedzi siedział jednak dalej.

— Czego jeszcze? — zniecierpliwiał się Michał. — Zostaw mnie, chcę pobyć sam.

— Nadal masz zamiar dopaść Saszkę i Łazarza?

— Głupie pytanie. I niepotrzebne.

— Retoryczne. Miguły nie pomogę ci znaleźć, bo sam nie wiem, gdzie się obraca. Może nawet nie ma go już w Polsce. Ale Saszkę potrafię wystawić, a on na pewno będzie już wiedział, gdzie szukać Łazarza.

— Chcesz sprzedać kumpla? Za ile?

— On nie jest moim kumplem — szarpnął się Witek. — To mały, wredny gnojek, zwyczajny rzeźnik.

— Za ile?

— Przekonaj Bzowskiego, żeby dał mi spokój.

Michał roześmiał się głośno. Było to tak nieoczekiwane, że Witek odruchowo uniósł broń. Jakaś kobieta siedząca w pierwszej ławce odwróciła się i zmierzyła go karcącym spojrzeniem.

— Jacek prędzej zje własne buty niż ci odpuści. Zjeżdżaj już, niech cię nie widzę.

— Postaraj się przynajmniej opóźnić rozpoczęcie poszukiwań.

— Znajdę Saszkę bez twojej łaski. Łazarza zresztą też.

Znów wbił oczy w źrenice przeciwnika. Tym razem Witek wytrzymał spojrzenie. Zmagali się wzrokiem bardzo długo.

\*

Bzowski był wściekły. Ze zdenerwowania drżały mu ręce, kiedy otwierał karton z sokiem.

— Jak mogłeś wypuścić tego gada? Dlaczego nie podpuściłeś go, żeby powiedział, gdzie jest Saszka? Przecież chcesz, żeby skurwysyna spotkała zasłużona kara!

— Mam w dupie takie menty jak Witek. Myślisz, że tylko on jeden w naszym departamencie sprzedałby kumpli za parę groszy? Uważasz, że w kontrwywiadzie nie ma więcej kretów służących różnym agenturom?

— Ale chciałem dopaść tego jednego! Za dużo ma krwi na rękach, żeby go puścić.

— Więc go szukaj. Wydaj listy gończe, niech czuje na plecach gorący oddech, a wydając każde zakrwawione euro czy dolara niech się

zastanawia, czy za chwilę nie usłyszy szczęku kajdanek, nie poczuje stali na przegubach.

— Dlatego pozwoliłeś mu odejść? Uważasz, że się będzie dusił we własnym sosie?

— Witek ma nerwy w strzępach. Boi się. Dlatego uciekł. Ciekawe, że przede mną odczuwał większy strach niż przed Łazarzem. Takie przynajmniej sprawiał wrażenie.

— Ale chciał sprzedać Saszkę! Trzeba było zapewnić go, że będzie miał ode mnie spokój. Pieprzyć słowo dane takiemu czemuś.

— Łazarz — odparł krótko Michał.

— Co Łazarz?

— To on kazał Witkowi wystawić Walasa. Kolejny raz chce odwrócić naszą uwagę od swoich kombinacji.

— Ale Saszka naprawdę może coś wiedzieć!

— Może tak, może nie. Znasz Łazarza dłużej ode mnie. Powinieneś wiedzieć, że u niego nie ma przypadkowych działań, a zdrajcy nie dożywają dobranocki

Major z rezygnacją machnął ręką.

— Zaraz każę przygotować listy za Witkiem i niech go szlag trafi. Powiedz lepiej dokładnie, jak doszedłeś do przekonania, że to on jest kretem Miguły.

— Powiniennem nabrać jakichś wyraźniejszych podejrzeń już w mieszkaniu Łazarza, kiedy zginął Adaś. Witek zareagował tak, jakby spodziewał się, a może nawet wiedział, co za chwilę nastąpi. Ale wiesz, jak jest. W takich momentach człowiek się nie zastanawia, tym bardziej kiedy odczuwa wdzięczność. Ale potem Łazarz cały czas był krok przed nami. Ludzie ginęli, nie mogliśmy złapać tropu. Dopiero w Pradze zacząłem wszystko kojarzyć. W całym biurze tylko Witek miał dostęp do wszystkich informacji. Tylko on, poza tobą, wiedział o mojej wyprawie do Czech. A ciebie nie brałem pod uwagę.

— Jestem bardzo wdzięczny — mruknął z przekąsem major.

— Nie ma sprawy. Jednak musiałem się jakoś przekonać ostatecznie, czy to rzeczywiście on. W górach nie znalazł żadnych śladów, choć powinien. A potem ta sprawa ze stolarzem. Po rozmowie z żoną nieboszczyka wszystko stało się dla mnie jasne. Tym bardziej, że Witek mnie śledził. Myślał, że go nie zauważyłem. Jestem przecież pogrążony w

żałobie, sporo rzeczy może mi umknąć.

— Co powiedziała właściwie ta kobieta?

— W zasadzie to samo, co jemu. Z paroma małymi wyjątkami. Po pierwsze, Witek nie zapytał jej o nietypowe zamówienia w ciągu ostatnich lat. Po drugie, nie zainteresował się czy nie mieli przyływu większej gotówki. Nie sprawdził zeszytów z zamówieniami, a tych nie było znowu tak wiele w ostatnich latach. Nie prosił, żeby przypomniła sobie coś szczególnego, jakichś ludzi, jakieś rozmowy z mężem. Zaniedbał podstawowe czynności. Doświadczony glina i kontrwywiadowiec nie popełnia takich błędów.

— I co ustaliłeś?

— Kobieta zapamiętała dziwne zlecenie sprzed roku. Ktoś przytargał ciężką skrzynię, a w zasadzie jej szczątki. Mąż narzekał, że to cholerna robota, bo musiał odtworzyć wygląd dokładnie taki jak na fotografii, używając oryginalnych części, śrub i gwoździ, a te były w większości powykrzywiane. Na dodatek skrzynia była obita w środku dziwnym materiałem, jakąś izolacją. Stolarz kłął, że to bardziej robota tapicerska. Ale klient bardzo dobrze płacił, w dodatku nie chciał rachunków.

— Ale w zeszyt rzemieślnik go wpisał?

— Nie wiem, nie sprawdzałem, bo to bez znaczenia. Nie patrz tak. Zapytałem jej tylko czy Witek oglądał dokumenty warsztatu. Ja ich nie potrzebowałem widzieć. Wystarczyła mi wiadomość, że skrzynia miała niemieckie napisy i została oznaczona hitlerowską wroną. Kobieta obejrzała ją dość dokładnie, bo stała w warsztacie kilka dni.

— Ale dlaczego w takim razie Łazarz zabił stolarza? Przecież w życiu byśmy nie dotarli do tego człowieka, a gdyby nawet, co by nam w sumie ciekawego powiedział? A jeśli już tu się zjawił, czemu nie zabił także jego żony?

— Miguła chciał nam znów zagrać na nosie, a przy okazji skierować chociaż na chwilę na ślepy tor. No i jeszcze przy okazji wystawił Witka. Ten kretyn wypełnił co do joty polecenie, żeby jak najmniej zrobić w tej sprawie. Łazarz na pewno doskonale wiedział, że jeśli ktoś z nas sprawdzi działania Witolda, musi nabrać podejrzeń.

— Cholerna koronkowa robota.

— Powinieneś być przyzwyczajony do takich metod. Sami ich



używasz. Jak chociażby przy Piwnickim.. czy jak mu tam... Mroczk.

— A właśnie. Pan kapitan przekazał nam wiadomość, że rezydent GRU w Warszawie, ambasador Wilichow, ostatnimi czasy niezwykle często kontaktuje się z Moskwą. O co chodzi nie wie, ale ich człowiek na Kremlu słyszał parę razy, jak ktoś mówi o rozmowach prezydenta z Warszawą.

— A gdzie tu Łazarz?

— Miguła doskonale zna Wilichowa, z dawnych lat. W ogóle ma znajomości chyba w połowie rosyjskiej agentury. Większość z byłych kagebistów go nienawidzi, bo dał im swego czasu popalić, ale — jak sam wiesz — w działalności agenturalnej nie wolno kierować się takimi emocjami, więc jeśli Łazarz zaproponował im dobry interes, nie będą dzielić włosa na czworo i rozpamiętywać krzywd. Zostawią to na inną okazję. Żebyśmy jeszcze wiedzieli, co oni wszyscy knują... Nic ci nie przychodzi do głowy?

— Prawdę mówiąc, mam niezły mętlik. Może gdybym mógł przesłuchać Żyłę, coś by się rozjaśniło, ale tak... Chociaż z tego, co wynioskowałem po rozmowie z Molnarem, przemytnik może wiedzieć w sumie niewiele o sprawach związanych z Łazarzem. Pracował dla Saszki i to jego znał osobiście. Skoro nie można dopaść w tej chwili Łazarza, trzeba prowadzić dokładną obserwację poczynań Rosjan. Masz dość ludzi?

Major w odpowiedzi tylko westchnął ciężko.

— Tak myślałem. Współczuję, szefie.

— Jakoś sobie muszę radzić. Witek się wykruszył, nie mam Adama, a ty...

— Tak. Mnie nie wolno.

— Właśnie. Trudno. Będziemy pracowali dzień i noc. Jakoś wydębę dla chłopaków forszę za godziny nadliczbowe.

— A potem się dziwić, że tyle mamy rozwodów.

— Taki fach — skwitował krótko major. — Martwi mnie tylko, że nic nie wiemy o Niemcach. Siedzą cicho. Dziwnie cicho.

— Martw się lepiej Łazarzem. Niemcy jedyne co mogą zrobić, to działania mylące. Jak zawsze zresztą, jeśli chodzi o skarby ukryte w Polsce. Przed spotkaniem w schronisku „Orlinek” nieraz skutecznie potrafili skierować na manowce wywiad radziecki. Potem też to robili. A

zaczęli tym gorliwiej po zjednoczeniu, kiedy okazało się, że dało radę nie płacić potężnego haraczu. Niemcy nie wychylają się i tylko obserwują. Dobrze byłoby znać chociaż dziesiątą część ich raportów na ten temat.

— Marzenia ściętej głowy. A ty co zamierzasz robić? Zdemaskowałeś Witka, ale straciliśmy trop Saszki.

— Jutro pogrzeb Doroty — twarz Michała ściągnęła się, poszarzała. — Jadę do Oleśnicy. Rodzina chciała koniecznie, żeby tam ją pochować. A potem... — zamyślił się. — Potem skorzystam z urlopu. Pojadę do Londynu zobaczyć się z Patrykiem.

— Jedź — przytaknął skwapliwie Bzowski. — Przyda ci się kontakt z synem. Masz przecież dla kogo żyć.

\*

Irmina z ogromnym z zainteresowaniem przeglądała pełną papierów teczkę.

— Jak ci się udało to zdobyć? — spytała z niedowierzaniem. — Dostęp do tych dokumentów jest ściśle tajny. Najściślej jak można.

— Tak ściśle, że u was mało kto wie o ich istnieniu. Za komuny mógł je oglądać pierwszy sekretarz i szef Stasi. A odkąd nastąpiło nowe...

— ...tylko szef kontrwywiadu — wpadła mu w słowo. — Zaufanie do rządzących jest znacznie mniejsze niż dawniej.

— Bo demokracja to nie jest dobry system dla zachowywania tajemnic, piękna pani. A to, co trzymasz w ręku, warte jest miliony. Setki milionów. Kopie tych planów były też w posiadaniu erefenowskiego BND. Gabinet Willy'ego Brandta poleciał na pysk w siedemdziesiątym czwartym roku, bo okazało się, że osobistym asystentem kanclerza był agent wschodnioniemiecki. Węszył, korzystając z kredytu zaufania grzebał w różnych sprawach, między innymi miał monitorować postępy śledztwa wywiadu, dotyczące skarbów ukrytych na Dolnym Śląsku. Od tamtej pory dostęp do dokumentów stał się praktycznie niemożliwy.

Podszedł do niej, zajrzał przez ramię. Oglądała właśnie plany twierdzy w Srebrnej Górze. W dolnym prawym rogu widniały dwa podpisy — doktora Alfreda Rohde i Gustawa Ringela.

— Te znaczki — wskazał parafki — to nasza przepustka do bogactwa. Dzięki nim wiadomo, że plany są wiarygodne.

— Dlaczego mi to pokazujesz?

— Bo będę potrzebował twojej pomocy.

— Kiedy?

— Kiedy przyjdzie pora, kochanie. Za chwilę się dowiesz.

— I to jest właśnie to, co zamierzasz opchnąć Ruskim za ciężki szmal?

Położył jej rękę na karku, pogładził delikatnie. Pokręciła leciutko głową, przeciągnęła się, dając znać, że sprawia jej to przyjemność.

— Myślałam, że masz dostęp do całego skarbu — powiedziała cicho.

Dłoń Łazarza przesunęła się do przodu. Pochylił się, oparł ręką o stół. Palce sięgnęły dekoltu.

— Mam dostęp do pełnej informacji, jak widzisz. To w zupełności wystarczy. W dzisiejszych czasach informacja jest cenniejsza od złota.

— Co chcesz, żebym zrobiła?

— Na początek skopiujesz papiery. Ale nie zeskanujesz ich tak po prostu. Chcę, żeby wyglądały jak prawdziwe, żeby nie różniły się nawet szczegółem, jednym pyłkiem, choćby tylko przypadkowym znaczkiem.

— Rozumiem. Zamierzasz Rosjanom wcisnąć kopie, a oryginały sprzedać potem komu innemu?

— Nie — dłoń Łazarza powędrowała dalej, wcisnęła się w miseczkę stanika, objęła pierś. Palec wskazujący spoczął na sutku, zaczął się poruszać, drażniąc wrażliwe miejsce. — Oni dostaną oryginał. Kopie są dla mnie. Na wszelki wypadek. Zrobisz to?

— Bez problemu. Daj mi dwa dni.

— Masz czas do jutra rana.

Parsknęła śmiechem.

— Dowcipniś z siebie. Trzeba mi było dać tę robotę przedwczoraj, na pewno bym się wyrobiła bez problemu...

— I mogłyby przyjść głupie myśli do ślicznej główki. Cały czas będę patrzył ci na ręce.

— Naprawdę do nikogo nie masz zaufania?

— Nie wygłupiaj się. Do roboty.

Wziął ją pod ramiona, podniósł i odwrócił przodem do siebie.

— A gdzie Saszka?

— Musiał wyjechać.

— Daleko?

— Daleko.

— Żeby odciągnąć od nas psy?

— A przynajmniej część z nich.

Jednym ruchem podniósł jej spódnicę na wysokość bioder.

— Miałam pracować — zaprotestowała słabo.

— Za chwilę. To przecież długo nie potrwa, a ja muszę spuścić z krzyża, żeby nie myśleć o niepotrzebnych rzeczach. No już, kotku, na co czekasz?

Posadził ją na stole. Posłusznie rozchyliła uda.

— Za polsko-niemieckie pojednanie — oznajmił uroczyście, rozpinając spodnie.

## 19.

Michał wysiadł z pociągu. Keleti Pályaudvar. Dworzec Wschodni. W tym miejscu kończą się tory, pociągi wjeżdżają na peron, jakby docierały na koniec świata. Kiedyś podobnie wyglądał Świebodzki we Wrocławiu, zanim zrobiono z niego targowisko. Oczywiście nie był tak imponujący jak budapeszteńska budowla, ale na kimś, kto wchodził tam pierwszy raz, wywierał bardzo podobne wrażenie niesamowitości. Człowiek jest przyzwyczajony, że tory kolejowe są czymś nieskończonym, ciągną się nie wiadomo skąd i kończą nie wiadomo gdzie. To znaczy niby wiadomo — prowadzą do znanych z nazwy miast i miasteczek, docierają przecież tylko tam, gdzie człowiek zechciał je położyć. Jednak komuś, kto na nie patrzy i ma odrobinę wyobraźni, wcale nie kojarzą się tylko i wyłącznie z technicznym sposobem przemieszczania się w przestrzeni. Bo kto może naprawdę zagwarantować, że tysiące, setki tysięcy podkładów nie wiążą torów gdzieś w niezbadanej dali, w jakimś tajemniczym bezczasie? Może tory zaświatów łączą się gdzieś na jakimś odległym węźle kolejowym z żelazną drogą po tej stronie życia? A może to miejsce wcale nie jest zbyt odległe? W ogóle podróżowanie pociągami jest w pewnym sensie przeżyciem mistycznym. Pasażer jedzie, ale w istocie nie tyle jedzie, co jest wieziony, uzależniony od wielu czynników, nie może na nic wpłynąć ani niczemu zapobiec. Wsiadając do samochodu oddaje się w ręce losu, ale sam trzyma kierownicę, decyduje z jaką szybkością i jaką drogą będzie zmierzał do celu. W pociągu niejako oddaje swoje istnienie opatrności, która w każdej chwili może okazać się złym fatum. Nie wie, kto prowadzi pociąg, nie widzi twarzy tego człowieka. A może gdyby spojrzął w oczy maszynisty, dostrzegłby oznaki szaleństwa? Wtedy mógłby wycofać się z zamiaru podróży. Pasażer nie wie, kto zawiaduje ruchem, czy ten człowiek jest w tym dniu szczęśliwy czy smutny. A może spotkało go nieszczęście i spowoduje wypadek wiedziony podświadomym pragnieniem, aby i inni poczuli to, co on.

Ale co tam pociąg! Życie składa się właśnie z drobiazgów, na które trudno wpłynąć. Jest taka chwila, kiedy fale wartkiej rzeki egzystencji porywają bez litości, zalewają twarz i usta, zapierają dech, aby wypchnąć

na wpół zatopione ciało na brzeg w jakimś nieznanym, obcym miejscu.

Tym razem przeznaczenie wyrzuciło porucznika w stolicy Węgier. Michał zawsze lubił Budapeszt. Nie wiedział nigdy do końca czy woli to miasto, czy Pragę. A raczej nie wiedział jeszcze tydzień wcześniej. Od śmierci Doroty Praga zawsze już będzie mu się kojarzyć z tragedią.

Budapeszt ma w sobie coś niesamowitego — poczynając od dworca Keleti, przez kręte uliczki nieznanym turystom zaułków starego miasta, szarobury, ale dziwnie przyjazny Dunaj, uroczę kawiarnie i restauracje aż po niesamowitą atmosferę nocnego życia. Bywał tutaj częściej niż w innych stolicach pobliskich państw. Wiedeń wydawał się jakiś sztuczny, jakby wypreparowany, brzmiał fałszywie niczym źle nastrojona orkiestra, z uporem maniaka grająca na okrągło te same walce Straussów. W Berlinie czuł się zagubiony. To było na wskroś obce miasto. Obce i nieprzyjazne. W ogóle nie lubił wschodnich Niemiec. Przekraczając granicę czuł, jakby niebo miało mu się zaraz zawalić na głowę, zupełnie jak w czasach bloku socjalistycznego. Zdawał sobie sprawę, że to tylko irracjonalne wrażenie, ale za każdym razem było bardzo silne. Najbardziej przygnębiały go małomiasteczkowe czyściutkie domy z obowiązkowymi pelargoniami w oknach. Oczywiście ta część Niemiec zmienia się, traci swoją ciasną, nieznośną prusacką dumę, powierzchowną czystość i umiłowanie Arbeit und Ordnung. Jednak dla kogoś, kto przed laty odwiedzał tak zwany „enerdówek” chyba na zawsze pozostaną żywe wspomnienia z przeszłości.

Szedł pasażem dla przyjezdnych. Tam, kilkanaście kroków dalej powinna być kawiarnia. Jest... W niej pod koniec lat osiemdziesiątych kupował od Murzynów dolary. To było zabawne. Rodzice czekali pod kasami biletowymi na efekt jego działań. Widział cinkciarzy kręcących się w holu, siedzących przy stolikach. Właściwie nie bardzo wiedział, jak zagadać. Na szczęście któryś zlitował się, podszedł, jakby został ściągnięty błagalnym wzrokiem młodego chłopaka.

— *Change money?* — zagadał.

— *Yes* — ucieszył się Michał. — *I have forint to change.*

— Polak? — spytał Murzyn, natychmiast rozszyfrowując nieporadny akcent. — To mówi po polski.

Szybko się dogadali, tym bardziej, że Michał nie kupował dużo waluty. W podróż zabrali tyle towaru, żeby wycieczka po prostu się

zwróciła. Nie mieli zamiaru zarabiać. Wielu Polaków jechało wtedy na Węgry nawet tylko na jeden dzień z atrakcyjnymi artykułami. Przypominali mrówki, taszczące ogromne toboły wypchane roboczymi drelichami, ręcznikami i wszystkim, na co akurat był popyt. On z rodziną natomiast zabrał dosłownie kilkanaście rzeczy. Nie jeździli z tym zresztą po bazarach, ale wystawili w miejscu, w którym kwaterowali. Robili wypady w różne miejsca Węgier, nie przejmując się handlem, a towar sobie leżał. Do gospodyni przychodzili sąsiedzi, znajomi, oglądali i zabierali, co im podeszło, pozostawiając należność. Ciekawy sposób handlu. Nikt niczego nie ukradł, nie zapłacił mniej niż było napisane na karteczce.

Wroński wyszedł przed dworzec, odetchnął głęboko. Powietrze niby podobne do warszawskiego, a jednak coś w nim innego. Bardziej suche, może nieco ostrzejsze. Nic dziwnego, w końcu Węgry to środek kontynentu. Dunaj i Balaton na pewno łagodzą nieco klimat, ale brakuje tutaj znaczących wpływów powietrza znad mórz, a i oddziaływanie Atlantyku jest na pewno słabsze. Michał rozejrzał się. Po nocy spędzonej w kuzetce miał ochotę się przejść. Ruszył przed siebie, nie myśląc dokąd idzie. W głowie kołatały się różne myśli, bardziej i mniej przykre, ale przynajmniej odczuwał względny spokój. Zupełnie jakby wyjazd z kraju oddalił go nieco od spraw, ciężących niczym wielki garb. To wprawdzie tylko złudzenie, ale jakże potrzebne...

Odczuwał coś, jakby ulgę, do chwili, gdy przypomniał sobie, w jakim celu tutaj przyjechał. Jacek był przekonany, że podwładny jest w drodze na Wyspy Brytyjskie. Jeśli przyjdzie mu do głowy to sprawdzić, będzie zdumiony. Ale na pewno ma teraz ważniejsze rzeczy na głowie niż interesować się urlopowanym pracownikiem.

Otrząsnął się z zamyślenia pod budynkiem Parlamentu. Zaszedł już tutaj? Zdawało mu się, że to znacznie dalej. Nadleciały wspomnienia. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym, w takiej samej porze roku stał z ojcem pod tym wielkim budynkiem, przypominającym bardziej pałac niż siedzibę władzy ustawodawczej. Patrzyli z niesmakiem na wieżycę zwieńczoną czerwoną gwiazdą i zastanawiali się, kiedy symbol zniewolenia zniknie. Żaden z nich nie mógł przewidzieć, że to kwestia zaledwie dwóch lat. Wtedy jeszcze socjalizm zdawał się na tyle mocny, żeby stawiać zdecydowany opór tendencjom odśrodkowym. Patrząc

wówczas na gwiazdę Michał przypomniał sobie film o październiku pięćdziesiątego szóstego roku. Jeden z powstańców strzelał do niej z karabinu, z upodobaniem masakrował znienawidzony znak. Pewnie prędzej czy później zapłacił za to głową, bo po wkroczeniu wojsk sowieckich bezwzględnie rozprawiano się nie tylko z rebeliantami schwytanymi w kraju. Długie łapy KGB potrafiły osiągnąć także wielu z tych, którzy zdołali uciec na Zachód. Węgry... Skąpane we krwi, zryte gąsienicami czołgów. Węgry tradycyjnie przyjazne Polsce. Bywały między tymi państwami konflikty, walki o jakieś tam mołdawskie, wołoskie czy morawskie ziemie, konflikt związany z przejściem tronu czeskiego, zmagania o wpływy, czyli wszystko, co dzieli narody. A jednak łączyła oba kraje wspólna historia, walka z potęgą turecką, bitwa pod Warną, postać mówiącego po węgiersku króla Batorego, beznadziejne powstańcze zrywy, Wiosna Ludów. Wzajemnym stosunkom nie zaszkodził nawet fakt, że w czasie drugiej wojny światowej kraj potomków wojowniczych Hunów szedł ręką w rękę z Niemcami. Mimo wyraźnych zarządzeń i rozkazów rządu, Węgrzy zachowywali się bardzo często zgodnie z własnym sumieniem, pozwalali polskim żołnierzom na masowe ucieczki z obozów internowania, utrudniali hitlerowcom ściganie zbiegów. Współpracowali z wywiadem AK i Brytyjczykami, pomagali organizować szlaki kurierskie. Michał czuł się na Węgrzech prawie jak w domu. Jednak kiedyś bardziej lubił tu przyjeżdżać. Nowe kraje Unii Europejskiej za bardzo się unifikują, dostosowują się do narzucanych odgórnie wymagań z gorliwością neofity. W efekcie zaczynają przypominać ule w pasiece — niby każdy innego koloru, może mieć nawet inny kształt i wielkość, ale w środku wszystko ma być urządzone w taki sam sposób. Jeśli dalej tak pójdzie, może zacząć zamierać poczucie tożsamości narodowej. Już teraz propaguje się w telewizji postawy internacjonalistyczne, jak to się szumnie nazywało za socjalizmu. Jednak wtedy ludzie na przekór władzy dbali o pamięć dziejów, nie pozwalali zaginać duchowi patriotyzmu. Zresztą sami komuniści odwoływali się do tradycji powstań, choć do niektórych bardzo niechętnie i wybiórczo. Z jednej strony bali się zabrać narodowi złudzenia, a z drugiej manipulowali historią dla własnych celów. Ale, jak by na to nie patrzeć, sami wychowali pokolenia, które zepchnęły do niebytu Układ Warszawski, Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej i



mrzonki międzynarodówki komunistycznej. Ale z chwilą nadejścia „nowego ustroju” ludzie pozbyli się złudzeń. Michał doskonale pamiętał początek lat dziewięćdziesiątych. Wydawało się wtedy, że wszystko idzie ku lepszemu, a dobrobyt czeka za następnym zakrętem. Ale potem okazało się, że to nie takie proste. Kolejne rządy nakładały nowe podatki, zacieśniały kaganiec nakazów i zakazów. Zaraz po wybuchu wolności każdy mógł sobie sprowadzić cysternę z benzyną i sprzedawać ją za konkurencyjną cenę. Państwo nie mieszało się w tak drobne przedsięwzięcia. Jednak już parę lat później zaczęto wymagać koncesji na sprzedaż paliwa. Koncesji, która kosztuje podobno około dwóch milionów złotych. W ten sposób uratowano molocho skompromitowanych i nieruchawych koncernów, a przy okazji uśmiercono oddolne inicjatywy. Bo podobnymi działaniami storpedowano praktycznie każdą działalność konkurencyjną w stosunku do tego, co nazywa się interesem państwa.

Michał usiadł na ławeczce, przymknął oczy. Dorota opowiedziała mu kiedyś, jak jej świętej pamięci ojciec przeżył pewną lekcję przygotowującą do matury z historii, a przy okazji nauk o społeczeństwie. Uczeń ostatniej klasy ogólniaka nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, które powstanie jest wcześniejsze chronologicznie — styczniowe czy listopadowe. Nie umiał też określić, co to jest kodeks honorowy i co w ogóle oznacza pojęcie honoru. Zresztą co się dziwić. Pewnego razu porucznik uczestniczył w przesłuchaniu szpiega przemysłowego, przyłapanego na gorącym uczynku. Był to student politechniki, praktykant w instytucie pracującym między innymi na potrzeby rządu. Chłopak dał się zwerbować bez najmniejszego trudu, nie miał oporów, żeby sporządzać fotokopie dokumentów, do których miał dostęp. Nieważne, że były one w sumie niewiele warte. Obca agentura w ten sposób niejako oswajała nowego współpracownika, który w perspektywie mógł zdobyć pracę w niezmiernie interesującym resorcie. Michał był przerażony postawą tego młodego człowieka. Był szczerze zdumiony, że ktoś pyta go, dlaczego to zrobił. Odpowiedź „dla pieniędzy” miała być oczywistym oraz wystarczającym wytłumaczeniem. Niewiele mówiły mu takie argumenty jak polskość czy patriotyzm. Przecież najpierw należy zadbać o siebie. Sprzedawanie tajemnic jest oczywiście czymś złym, o tym szpieg wiedział doskonale, ale trudne

warunki materialne stanowią wystarczające wytłumaczenie sprzeniewierzenia się własnemu krajowi. Zresztą student nie traktował swojego postępowania w kategoriach zdrady. Podchodził do rzeczy z okropnym, niezłomnym przekonaniem, iż każdy na jego miejscu dałby się skusić. Bo takie jest życie.

— Takie jest życie — mruknął do siebie Michał. — Takich jak Łazarz i Saszka będzie coraz więcej. Oni też rozumują w kategoriach zysku za wszelką cenę. Zwyczajna ludzka przyzwoitość stała się bezwartościowa.

\*

Prowadził ich ciemnym, krętym korytarzem. Weszli do lochów twierdzy w Srebrnej Górze po zmierzchu, kiedy ostatni turyści opuścili groźne mury. Miał ich za plecami czterech. Dwóch wyglądało na doświadczonych komandosów specnazu, jeden na gryziopiórka, a jeden na powitanie zaprezentował szczery, szeroki uśmiech, jaki często miewają płatni zabójcy.

— Griszka — wyciągnął rękę szerokim gestem. — Saper.

— Nie ma potrzeby — burknął Łazarz. — Skrzynie nie są zaminowane.

— Niemcy ich nie zaminowali — uśmiech nie zmienił się nawet na milimetr. — Ale ty mogłeś, drogi przyjacielu. Nikołaj Pawłowicz opowiadał o tobie bardzo interesujące rzeczy.

Łazarz nie zapytał czy to dobrze. Nie musiał. Zresztą czego innego mógł się spodziewać niż nieufności? A teraz był sam na sam z ludźmi, z których trzech mogło go rozłożyć jedną ręką. Rosyjski ambasador wiedział co robi, wysyłając na akcję właśnie ich.

— Daleko jeszcze? — spytał gryziopiórek. Był zadyszany, wyglądał na takiego, którego dopada klaustrofobia.

— Najgorsze przed nami — odparł Miguła z mściwą satysfakcją.

Na potwierdzenie tych słów nie trzeba było długo czekać. Korytarz stał się niski i wąski, trzeba było poruszać się na czworakach. Pełzli bardzo długo, czując, jakby za chwilę strop miał się zawalić i pogrzebać ich w tym okropnym miejscu. Takie przynajmniej wrażenie mieli Rosjanie. Łazarz bowiem wiedział doskonale, że przed nimi jest dwieście metrów niewygodnego, ale zupełnie bezpiecznego odcinka podziemi. Prawdziwe schody zaczynały się dalej.

Wreszcie wyszli do korytarza poprzednich rozmiarów. Wszyscy

oddychali szybko, nawet komandos. Tylko Grigorij Stanko sprawiał wrażenie, jakby wrócił ze spaceru po parku miejskim. Łazarz poczuł nieprzyjemne ukłucie strachu. Gdyby tylko dał mu pretekst, ten facet bez wahania skręci kark przewodnikowi i odejdzie nawet się nie oglądając. Trzeba na niego bardzo uważać. Przez chwilę kusiło Migułę, żeby wykonać manewr, który pozwoliłby się pozbyć uciążliwej obecności sapera. Jednak zaraz przyszło otrzeźwienie. Wojacy przecież załatwią go, zanim w ogóle zdąży pomyśleć.

— Uwaga! — ostrzegł. — Pięć kroków przed nami jest studnia. Pułapka — wyjaśnił. — Ma dobrze ponad siedemdziesiąt metrów głębokości. Z lewej strony jest wąskie przejście. Musimy je pokonać ostrożnie, pojedynczo.

— Stój! — warknął jeden z komandosów. — Najpierw ja, potem ty i reszta.

— Boisz się, że coś wykręcę? — roześmiał się Łazarz. Jego głos pobiegł w głąb studni i wrócił z niej głuchym pogłosem. — Po co?

— Mamusia mówiła mi zawsze, żebym nie ufał obcym.

— Miałeś bardzo mądrą matkę.

— Dość gadania!

Oficer specnazu zręcznie przeprowił się przez wykutą w skale półkę. Czekał po drugiej stronie. Grigorij zapraszającym gestem zachęcił Migułę. W świetle latarki dostrzegł pistolet w ręku czekającego człowieka. Nie skomentował tego faktu. Nie miałoby to najmniejszego sensu. Drugi komandos podał rękę jajogłowemu. Łazarz obrzucił gryziopórka pogardliwym spojrzeniem. Ekspert dzieł sztuki. Może nawet członek akademii nauk specjalizujący się w Bursztynowej Komnacie. W ekstremalnych warunkach bardziej przydaje się jednak krzepa i wola przetrwania niż łeb wypełniony naukowymi śmieciami. Taką wiedzą człowiek się nie naje i nie obroni, a świat przecież został stworzony dla wilków.

Za każdą wizytą tutaj, kiedy w drodze do pomieszczenia ze skrzyniami przechodził nad głębokimi pułapkami, czuł powiew chłodnego, nieco stęchłego powietrza. W twierdzy srebrnogórskiej na początku lat osiemdziesiątych miał miejsce nieszczęśliwy wypadek. Dwóch młodych mężczyzn wyprawiono się w labirynt korytarzy chcąc zaznać przygody, a może też licząc na znalezienie jakichś legendarnych

skarbów. Jeden z nich wpadł do takiego szybu, głębokiego na ponad sześćdziesiąt metrów. Do czterdziestego metra studnię wypełniała woda. Młodzieniec przeżył upadek i pływał kilka godzin, aż nie udusił się z braku świeżego powietrza. A jego kolega słuchał z góry błagań o ratunek, nie mogąc nic zrobić.

— Na co czekamy? — oficer zniecierpliwił się widząc, że przewodnik stanął i trwa w zamyśleniu.

Łazarz ruszył dalej. Ostrożnie stawiał każdy krok. Był w tym miejscu kilkadziesiąt razy, rozpoznał wszystkie pułapki, część zlikwidował, resztę oznaczył, nauczył się na pamięć ich rozkładu, ale nigdy nie wiadomo, czy nie ujawni się nagle coś, co przeoczył — zapadnia, może ładunek wybuchowy, a może coś, czego naprawdę trudno się spodziewać, jakaś śmiertcionośna zabawka — techniczne rozwiązanie wykraczające poza wyobraźnię przeciętnego człowieka. W największe zdumienie wprowadziło go swego czasu pewne urządzenie. Z boku w ścianie, w niewielkich, pozornie naturalnych zagłębieniach jakiś wredny sukinsyn ukrył rząd luf. Ale nie broni palnej, lecz wiatrówek. Ten kto szedł korytarzem, musiał otworzyć ciężkie drzwi. Potem robił parę kroków, następował na kamień połączony ze spustem. Kilka strzałek wyskakiwało ze stosunkowo niewielką siłą, ale na tyle dużą, by chociaż lekko zranić ofiarę. Łazarz nie zastanawiał się, jaką truciznę wsączono w rowki ostrych jak lekarskie igły grotów. Wystarczyło mu, że pies, poczęstowany kiełbasą, w którą wkłuł na dłuższą chwilę taką strzałkę, padł po kilkudziesięciu sekundach, skowycząc z bólu. Może to była kurara, a może pochodna cyjankali. Zastanawiał się potem, jak to możliwe, żeby wiecznie napięty mechanizm wiatrówek działał skutecznie po kilkudziesięciu latach. Dopiero później zrozumiał, że otwierając i zamykając drzwi uruchamia się mechanizm naciągający sprężyny urządzenia. Podziwu godne, ile Niemcy włożyli energii oraz inwencji w podobne pułapki. Sławetni partyzanci Vietcongu, uważani za specjalistów od prac ziemnych i zasadzek, mogliby się od nich sporo nauczyć.

Grigorij szedł na końcu. Uważnie rozglądał się na boki, korzystając z tego, że idący z przodu dość gęsto oświetlali drogę. Wieloletnie doświadczenie sprawiło, że widział więcej od towarzyszy. Nie wszystkie pęknięcia sklepienia i ścian były skutkiem działania czasu. Mógłby dać

głowę, że niektóre były ukrytymi przejściami do innych korytarzy, a może kolejnymi pułapkami.

— Następna studnia — zabrzmiał głos Łazarza. — A zaraz za nią jest zapadnia.

Rosyjski saper poczuł nieprzyjemny dreszcz na myśl, że mógłby się tutaj znaleźć bez światła, a przede wszystkim bez odpowiedniego dodatkowego zabezpieczenia. Ukradkiem co jakiś czas naznaczał kredą ścianę. Nigdy nie wiadomo, co się przyda. Tezeusz bez nici Ariadny mógłby zwyciężyć Minotaura, jednak jakież miałyby z tego triumfu pożytek, gdyby nie mógł wrócić? To, czym Stanko robił znaczki nie było zwyczajnym kawałkiem wapnia. Kreda została nasączona substancją radioaktywną. W kieszeni Grigorij miał niewielki detektor. Na powierzchni był on sprzężony z GPSem, ale pod ziemią różnie bywało z zasięgiem fal. Szczególnie w takich podziemiach, w których działalność człowieka mogła pozostawić sporo elementów zakłócających i zagłuszających sygnał. Jednak jeśli zachodziłaby taka potrzeba, od biedy zdołają wrócić nawet po ciemku, po kolei lokalizując słabe sygnały znaczków.

Znów weszli w niższy odcinek korytarza. Tym razem na szczęście nie trzeba było iść na czworakach, wystarczyło się tylko schylić.

— Już niedaleko — oznajmił Łazarz. — Za załomem jest wejście do pomieszczenia, które znacie ze zdjęć.

W miarę jak schodzili, robiło się coraz duszniej. Zastałe powietrze... Stanko pociągnął nosem. Takie katakumby powinny mieć system wentylacyjny. Na pewno miały, ale w tej chwili niesprawny. Najpierw hitlerowcy zrobili swoje, wysadzając i odcinając całe partie podziemi, potem wojska sowieckie, a wreszcie do ruiny tego miejsca przyczyniła się niedbałość Polaków. Grigorij widział kiedyś plany twierdzy w Srebrnej Górze. W rianzańskiej szkole wojsk powietrznodesantowych pokazywano je jako przykład perspektywicznego myślenia budowniczych. Rzeczywiście, warownia budziła podziw. Szczególnie jej infrastruktura podziemna, sięgająca kilkudziesięciu metrów pod poziom gruntu. Ale miejsca, przez które szli dzisiaj nie były uwzględnione w żadnych dostępnych planach. To już dzieło tajnych służb. Na pewno gdzieś tutaj były korytarze prowadzące do środka twierdzy. Może niektóre nawet są jeszcze drożne. Czy architekci zaplanowali ten rejon

jako kryjówkę, drogę ucieczki, czy raczej miejsce do przegrupowania się sił w razie zajęcia przez wroga umocnionego rejonu? Może w takich korytarzach i ukrytych grotach mieli czekać na okazję do kontrataku? Uderzenie przeprowadzone zniemacka w samo centrum wojennego kompleksu na odprężone i rozprężone zwycięstwem wojska mogłoby mieć dla wroga opłakane skutki.

— To tutaj — Łazarz stanął przed litym fragmentem skały.

— Kpisz sobie, Polaczku? — jeden z oficerów specnazu wyjął sztylet.  
— *Job twoju mat'! Gowori, gdzie ty nas...*

— Uspokój się — zmitygował go Grigorij. — Chyba wiem, o co chodzi. Otwieraj — zwrócił się do Miguły — ale już! Inaczej powiem tej gorącej głowie, że ma do ciebie prawo. Jeden z tych ludzi — dodał świszczącym, groźnym szeptem — których załatwiłeś w Konstancinie był jego bratem! Nienawidzi cię nawet nie za to, żeś go zarznął, ale że powiedziałaś ambasadorowi, jakoby chłopak chciał ugrać coś na własną rękę.

— Ambasador jak zwykle wszystko przeinaczył. To wasza narodowa rosyjska choroba, a nazywa się odwracaniem kota ogonem. Nie powiedziałem, że ci dwaj żołnierze chcieli zrobić przekręt, ale ich przełożeni.

— Nieważne — rzucił niecierpliwie Stanko. — On i tak chętnie cię dopadnie. Otwieraj!

— Odwróćcie się, żebym...

— Nie pieprz! — tym razem saper zniecierpliwiał się naprawdę. — To nasza skrytka! Dostałeś za nią masę pieniędzy. Nie należy już do ciebie.

— Jasne — Łazarz kiwnął głową. — Masz rację.

Wsunął rękę w niewidoczną dla postronnego obserwatora szczelinę w dole ściany. Potem naparł mocno. Płyta obróciła się z głośnym chrzęstem. W twarze oczekujących ludzi powiało chłodne powietrze.

— Działają nawet kanały wentylacyjne — zauważył Stanko. Dopiero teraz poczuł naprawdę, jak w korytarzach było potwornie duszno.

— Niemcy zadbali o tak cenny ładunek — odparł Miguła. — To chyba najbezpieczniejsze miejsce w całej Srebrnej Górze.

\*

Irmina minęła granicę wraz z ostatnimi promieniami słońca.

Żegnało się ze światem purpurową łuną na horyzoncie, rozpraszaną jedynie przez strzępy chmur. Zaraz za posterunkiem z czarnym orłem zjechała na niewielki parking. Odetchnęła głęboko. Wciąż nie mogła się pozbyć przykrego wrażenia po stosunku z Łazarzem. W swoim życiu oddawała się różnym mężczyznom dziesiątki, a raczej setki razy. Byli wśród nich piękni i przystojni, byli zwyczajni przeciętniacy, a nawet tacy, których się wręcz brzydziła. Ale to, w jaki sposób wziął ją ten Polak, było wyjątkowo paskudne. Nie chodziło wcale o jego szczególnie wyuzdane wymagania. Miewała do czynienia z takimi, którzy wykazywali tendencje do wyjątkowej perwersji. Kiedyś, pracując jeszcze w Stasi, musiała jednego potraktować bardzo brutalnie, bo uparł się, żeby ją przywiązać do łóżka. Zrozumiała z jego zachowania i dziwnych uwag, że chciał ją na początek wysmagać pejczem, a potem chyba ponacinać brzytwą. Wiązanie było w zasadzie jedyną rzeczą, na którą nie zgodziła się nigdy. Do tego trzeba mieć nieograniczone zaufanie do partnera. Tamten facet skończył skulony na podłodze, przyciskając obiema rękami krwawiące jądra. Nie wiedziała czy pozbawiła go ochoty na seks tylko w tym dniu, czy na zawsze, ale też było jej to zupełnie obojętne. To był jedyny raz, kiedy nie wywiązała się należycie z zadania. Szef był zły, groził nawet konsekwencjami, ale w końcu ochłonął i uznał jej racje. Potem już zawsze dbała, żeby nie było niedomówień w tym względzie, potrafiła ustawiać rzeczy na swoim miejscu przed rozpoczęciem ryzykownej gry. Łazarz nie zrobił nic takiego. Brał ją ostro, był porywczy, jakby ją gwałcił, a nie korzystał z udzielonych mu wdzięków. Widocznie inaczej nie potrafił, podniecała go tylko i wyłącznie przemoc. Podobnych jemu też znała. Chociażby Saszkę, który nie cierpiał zwracania głowy z grą wstępną i miłymi słówkami. Przez lata pracy w służbach specjalnych sama straciła dawną, młodzieńczą wrażliwość, pogardzała romantycznymi bzdurami, chociaż w głębi duszy odzywała się czasem dziwna tęsknota. Lubiła czytać opowieści o miłości, w którą nie wierzyła, a w każdym razie bardzo nie chciała wierzyć. Zawsze broniła się przed egzaltacją i zbyt dużym utożsamianiem się z fikcyjnymi postaciami. W prawdziwym życiu liczą się tylko twarde, bezwzględne zasady. Pewnie dlatego jej ukochanym filmem były *Niebezpieczne związki z Malkovichem*. Porywała ją wizja cynicznego wykorzystywania słabości ludzkich do osiągnięcia własnych celów. Nie cierpiała jedynie finału, w

którym główny bohater okazywał się zwyczajnym sentymentalnym głupcem.

A Łazarz... Miał w sobie coś niesłychanie wstrętnego. Był obleśny wprost nie do pojęcia. Wcale nie dlatego, że miał paskudne ciało czy nieprzyjemny zapach. To coś kryło się w głębi duszy. Kiedy w nią wszedł poczuła, jakby posiadał ją sam szatan, jakby to było dotknięcie czystego zła. Z początku była nawet podniecona sytuacją, śmiałymi, ale dość delikatnymi zaczepkami mężczyzny. Jednak w chwili złączenia wszystko się ulotniło. Nawet teraz, pod przymkniętymi powiekami, widziała zaróżowioną z wysiłku, ściągniętą dzikim grymasem twarz z lodowatymi, gadzimi oczami. Miała wrażenie, że Łazarz usiłuje pojąć nie tylko jej ciało, ale także duszę. Znów przyszedł jej na myśl Saszka. Ten miał oczy zabójcy — bezlitosne, zimne i zawsze czujne. Korzystał z jej ciała trochę tak, jak się korzysta z ekskluzywnej dmuchanej lalki. Zresztą wszystkich ludzi traktował jak kukły, podchodził do nich cynicznie, bez szacunku i bez lęku. Bał się chyba tylko Miguły.

Wzdrygnęła się. Łazarz teraz załatwia sprawy z Rosjanami. Jeśli dobrze pójdzie, za godzinę lub dwie na jej tajne konto w pewnym banku na Kajmanach wpłynie bardzo poważna suma. A to przecież nie koniec spodziewanych zysków. Uśmiechnęła się do siebie. Bądź zdrow, Łazarzu. Nigdy więcej nie dostaniesz w swoje łapy ciała pięknej Niemki. Nigdy więcej dumna Irmina nie pozwoli, żeby dotykały ją oślizgłe macki potwora. Od tej chwili zresztą nie pozwoli już dotykać się nikomu, jeśli nie będzie miała na to ochoty.

Wyjęła z torebki telefon komórkowy. Numeru człowieka, do którego zamierzała dzwonić nauczyła się na pamięć, nie wpisywała go na kartę pamięci. Tak zawsze jest bezpieczniej. Czekwała na zainicjowanie połączenia dobrych kilkanaście sekund. Roaming często tak działa, kiedy trzeba rozmawiać z Wyspami Brytyjskimi. Wreszcie usłyszała oczekiwany sygnał. Telefon rozmówcy zaczął dzwonić.

— *Gospodin* Bakumow? — spytała, kiedy mężczyzna odebrał. — Z tej strony Sonia. Tak, wiem, że czekał pan na wiadomość bardzo długo. Ale warto było.

Przez chwilę słuchała głosu z drugiej strony.

— Oczywiście cena nie podlega negocjacji — powiedziała. — Cieszę się, że pan to rozumie. Od razu znać gest człowieka z klasą. Materiały



mam przy sobie — położyła rękę na wypchanej tekturowej teczce leżącej obok. — Tak, rozmawiał ze mną pan Petrosjan, próbował nawet przebić ofertę, ale odesłałam go do wszystkich diabłów. Umowa to umowa. A do słowa takiego człowieka jak pan mam większe zaufanie niż do kogoś, kto bogaci się handlując bronią z kim popadnie.

Znów zamilkła, słuchając co ma do powiedzenia miliarder po drugiej stronie Kanału la Manche.

— Nie liczę na żadną dodatkową premię, Borysie Nikołajewiczu. Proszę tylko wyznaczyć czas i miejsce spotkania. Rozumiem, Berlin dzisiaj o północy, w tym samym hotelu, w którym rozmawialiśmy podczas osobistego spotkania.

Po chwili odłożyła słuchawkę. Uśmiechnęła się triumfalnie, przekręciła kluczyk w stacyjce.

## 20.

— Możecie obejrzyć zawartość — powiedział Łazarz, wskazując dwie skrzynie.

Człowiek o aparycji gryzypiórka natychmiast skierował się ku najbliższej. Powstrzymał go Stanko.

— Czekaaj, Pawka — mruknął. — Najpierw zobaczę, czy nie ma tam jakichś niespodzianek.

— Bez przesady — oburzył się Miguła. — Musiałbym być wariatem, żeby robić takie numery. Przecież możecie mnie w każdej chwili załatwić!

Grigorij znieńacka przyskoczył do niego, chwycił mocno pod brodą, zwarł palce w żelaznym uścisku.

— Posłuchaj, kupo gówna — zasyczał. — Musiałbyś być wariatem, mówisz? Ty przecież jesteś chory na umyśle. Jesteś bardziej pojebany niż stado pijanych słoni! Jesteś szalony najgorszym rodzajem szaleństwa, bo potworna chciwość łączy się w tobie z kompletną paranoją i manią prześladowczą. Dlatego zabijasz każdego na swojej drodze. Boisz się wszystkiego i wszystkich.

— Nie wiedziałem — wyrzęził Łazarz — że w Riazaniu uczą także psychologii klinicznej.

— A żebyś wiedział — Stanko puścił go. Z zadowoleniem przyglądał się jak zgięty w pół Polak z trudem łapie powietrze. — Uczą u nas psychologii i neurologii, mamy zajęcia z psychiatrami, a po pierestrojce także z duchownymi. To się przydaje.

— Imponujące — Miguła odzyskał rezon. — Ale przełożeni nie podziękują ci jeśli mnie tutaj udusisz. Sam prezydent zechce wiedzieć, dlaczego akcja się nie powiodła.

— Prezydenta zostaw w spokoju — odezwał się jeden z komandosów. — Nie wycieraj nim sobie gęby. To wielki Rosjanin.

— Idź w buraki! — odparł pogardliwie Łazarz. — Spotkałem się z nim parę razy, gdy był rezydentem KGB w Berlinie. Taki sam agent jak każdy inny. Tylko u was ktoś taki może zrobić karierę.

— Ty...

— Spokój! — krzyk Stanki zatrzymał oficera, który ruszył z zaciśniętymi pięściami w kierunku Łazarza. — A ty, Polaczku, nie bądź taki mądry. Lepszy prezydent z KGB niż tacy jak u was. Jeden w drugiego ni pies ni wydra. Albo złodziej, albo głupi, albo jedno i drugie.

— Jeśli chcesz uderzyć w moją dumę narodową — zaśmiał się Miguła — to zupełnie ci nie wychodzi.

— Wiem. Tacy jak ty nie mają pojęcia, co to jest duma narodowa. Nieraz zastanawiałem się, jak w kraju pełnym takich typów jak ty mogły wybuchać powstania, w dodatku tak często. A może po prostu w tych zrywach ginęli wszyscy, którzy byli coś warci?

— Możemy skupić się na celu naszej małej ekspedycji? — spytał niezwykle uprzejmym tonem Polak. — Bo mam wrażenie, że rozdrabniamy się na niepotrzebną dyskusję.

— Tobie się śpieszy, nie nam — przypomniał mu Grigorij. — Tobie depczą po piętach dawni koledzy.

— Mogą sobie łapać mój cień — rzucił pogardliwie Łazarz.

— Hardy jesteś i zarozumiały. Ale masz rację, dyskusja jest zbędna.

Saper wyjął z plecaka kwadratowe, płaskie pudełko. Po kilku minutach z części umieszczonych w miękkich wyściółkach złożył niezbyt duży przyrząd. Znów sięgnął do plecaka, wydobył drugie pudełko, nieco mniejsze. Tym razem oczom Łazarza ukazało się coś, co przypominało niewielki ekran. Stanko podał go jajogłowemu.

— Co to jest? Zamierzasz prześwietlać skrzynie?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

— Pawka — powiedział Grigorij do naukowca. — Trzymaj lekko pod kątem ku górze, żebyś widział, co się wyświetla. Musisz nim kierować równoległe do moich ruchów projektorem. To sprzęt może trochę prymitywny, ale niezawodny.

Trochę prymitywny! Łazarz wzruszył w duchu ramionami. Sam, żeby sprawdzić czy w ładunku nie ma bomb, kombinował oprzyrządowanie od znajomego elektronika, bo w departamencie nic podobnego nie mieli. Nie dość, że cholerna maszyna była trzy razy większa, okazała się zupełnie do niczego. Otwierał każde wieko z duszą na ramieniu. A ten król saperów jest niezadowolony z takiego cacka!

— Ta jest w porządku — stwierdził po chwili Stanko. — Poczekaj, chłopie — powstrzymał Pawła, któremu aż się trzęsły ręce, żeby dorwać

się do skarbu. — Od razu sprawdzimy drugą.

Pochylił się nad drewnianym pudłem, oznaczonym szeregiem liter i liczb, z wielką hitlerowską gapą wymalowaną na wierzchu i froncie.

— Masz szczęście, gadzino — kiwnął głową saper. — Wyglądają na czyste.

— Mówiłem...

— Teraz się zamknij. Pawka obejrzy eksponaty.

Grigorij wyjął z kieszeni wielofunkcyjny nóż, a właściwie przyrząd o wielu ostrzach, nie służących do cięcia czy dziurawienia czegokolwiek, ale do otwierania nawet bardzo skomplikowanych zamków. Z czymś takim każdy pracownik służb wywiadowczych zapoznawał się podczas szkolenia. Jednak po raz pierwszy Łazarz widział urządzenie o tak wysokim stopniu komplikacji.

— Trzeba przyznać — odezwał się, nie zważając na gniewne spojrzenia komandosów — że jesteście naprawdę dobrze wyposażeni.

— A ty co myślałeś? — Saper włożył jedno z ostrzy do zamka. — Że jesteśmy jak banda dzikich Mongołów?

— Sam mogłem wam to otworzyć.

— Mam rozkaz wszystkiego dopilnować osobiście.

— To pilnuj, jeśli taki z ciebie służbista.

— Och, zamknij się już!

Zamek puścił po trzeciej próbie. Jajogłowy natychmiast podniósł wieko. Zamarł na widok zawartości skrzyni. Minęło kilkadziesiąt sekund, zanim się wreszcie poruszył. Ostrożnie sięgnął do środka, wyjął niewielki bursztynowy panel. Podniósł go w górę z pieczołowitością, z jaką młody, przejęty rolą ksiądz podnosi opłatek pierwszy raz dokonując aktu przemienienia. Czekali w ciszy. Saper patrzył na naukowca z wyraźnym szacunkiem. Łazarza, który zawsze pogardzał różnymi, jak ich nazywał „mędrkami”, trochę to dziwiło, a trochę śmieszyło.

— Długo tak się będzie modlił? — spytał wreszcie.

— Nie masz szacunku dla wiedzy — stwierdził zimno Stanko.

— Mam. Ale nie dla takiej. Co komu po różnych historykach sztuki i innych takich?

— Bez tych „innych takich” nie miałbyś komu sprzedać tych skrzyń. Ale z głupim nie ma co się kłócić. Zamknij mordę i czekaj. Pawka musi stwierdzić autentyczność obiektu.

Naukowiec z niezmienną ostrożnością złożył panel z powrotem w pojemniku. Skinął na komandosów. Jeden podszedł, podał mu swój plecak. Paweł wyjął foliową czarną torbę, położył obok skrzyni. Bez pośpiechu wydobywał buteleczki z odczynnikami, wreszcie oczom obserwujących ukazał się mikroskop.

— Rany — jęknął Łazarz. — Laboratorium tu będziecie urządzać?

— Zamknij się, powtarzam — rzekł groźnie saper. — Nie kupuje się kota w worku. Powiedz lepiej, jak mamy zrobić przelew z tych pieprzonych podziemi. Sygnał z satelity tu dochodzi? Może lepiej dokończymy transakcję na zewnątrz?

— Nie trzeba, dochodzi. W tym rejonie nie ma problemu. Wiem, bo sprawdzałem. A druga transza ma pójść jutro przed jedenastą. Inaczej nie dostaniecie pozostałej części planów. Moja asystentka znajduje się poza waszym zasięgiem.

Stanko musiał przyznać, że Łazarz okazał się przebiegłym i niezwykle trudnym przeciwnikiem. Ambasador słusznie powiedział o nim, że to kobra w ludzkim przebraniu.

— W porządku — Paweł podniósł głowę znad swoich przyrządów. — To fragmenty Bursztynowej Komnaty. Wszystko się zgadza.

— Przecież mówiłem — wtrącił Łazarz.

— Mówiłeś — Grigorij zmarszczył brwi. — Ale twoje słowo jest mniej warte od powietrza, które psujesz wymawiając je. — A teraz dalsza część układu. Dawaj dokumentację.

Migula wymownie spojrział na prostokątną torbę, którą niósł komandos.

— Laptop! — zażądał saper. — A ty przygotuj numery kont.

\*

Człowiek, który siedział naprzeciwko Michała wyglądał niczym model, który za kilka sekund ma wyjść na wybieg. Miał na sobie doskonale skrojony garnitur, elegancki, ale zarazem swobodny. Koszula bez krawata, rozpięta, ukazywała opaloną szyję i fragment torsu. Miał ciemne oczy i lśniące, kruczoczarne włosy. Regularne rysy twarzy i łuki brwi zdradzały kaukaskie pochodzenie. Rozmawiali częściowo po rosyjsku, częściowo po niemiecku lub angielsku, jeśli Wroński nie potrafił znaleźć odpowiednich słów w mowie Puszkina. Z niewielkiego podwyższenia dobiegały dźwięki jazzowej improwizacji. Lokal był tym,

co kiedyś w Polsce określało się „kategoria S”. Dżin z tonikiem kosztował tutaj w przeliczeniu prawie dziesięć euro. W dodatku był to zwykły dżin Seagrams ze zwykłym tonikiem Kinley. Reszty oferty Michał nawet nie chciał oglądać. Tym bardziej, że nie przyszedł tu na towarzyskie spotkanie. Teraz uważnie wpatrywał się w źrenice rozmówcy.

— To osobista sprawa, Selim — powiedział. — Nie ma nic wspólnego z pracą jakichś służb specjalnych.

— Ten, który podał ci namiar na mnie jest... był przecież oficerem waszego kontrwywiadu.

— To nie ma żadnego znaczenia. Ile razy mam powtarzać?

Czeczzen potrząsnął głową. Kosmyk wypomadowanych włosów zsunął mu się na czoło. Odgarnął go niecierpliwym ruchem.

— Nie lubię takich akcji na moim terenie — oznajmił nieco podniesionym tonem.

— Wiem, dlatego z tobą rozmawiam najpierw, a nie potem.

— A może rozmawiasz ze mną, bo chcesz pomocy w odnalezieniu tego człowieka?

— Mogę go odszukać bez twojej pomocy. Mam dość wskazówek.

Selim roześmiał się głośno.

— W tej dzielnicy bez mojej zgody nie wyjmiesz nawet fiuta w kiblu.

— Posłuchaj uważnie — Michał pochylił się, zniemacka chwycił Selima za luźną koszulę, przyciągnął do siebie.

Prawie w tej samej chwili szczęknęły zamki pistoletów. Pięciu ludzi otoczyło ich stolik. Celowali Wrońskiemu w głowę.

— Spokojnie — Michał uśmiechnął się swobodnie, nie puszczając Czeczzena. — Pod stołem mam gnata wycelowanego mniej więcej w okolice brzucha waszego szefa. Trzeba było mnie dokładniej sprawdzić. Nie wiem czy mu przestrzelę flaki, pozbawię jajek, a może rozwalę tętnicę udową? Tak że bez gwałtownych ruchów poproszę.

Spojrzeli pytająco na bossa. Ten podniósł uspokajająco rękę.

— Posłuchaj więc — podjął Michał. — Gównu mnie interesują wasze miejscowe układy. Muszę dopaść tego człowieka. Wie coś, co jest mi potrzebne. Saszka to tylko płotka. Chcę dopaść jego mocodawcę.

— Może mnie puścisz? — zaproponował Selim. — Moi chłopcy są trochę nerwowi. Wiesz, każdy kto walczył z Rosjanami na naszej ziemi ma mocno stargane nerwy. Któremuś drgnie palec i nieszczęście gotowe.

Michał rozluźnił uchwyt. Czeczen odetchnął głębiej, dał znak swoim. Znikli równie nagle jak się pojawili, wtopili się między ludzi w knajpie. Wroński rozejrzał się. Nikt zdawał się nie zwracać uwagi na zakończony przed chwilą incydent.

— Twoi goryle tak się nawalczyli z Rosjanami, że aż im karki spuchły — rzekł z przekąsem. — Pewnie handlowali bronią, narkotykami i ludzkimi narządami.

— To także bardzo stresujące zajęcie — padła beztrioska odpowiedź. — Dlatego przenieśliśmy się tutaj. Miejscowi mafiosi z początku protestowali, ale dość szybko ucichli.

Michał wolał nie wnikać, jak to się stało, że węgierscy bandyci potulnie podporządkowali się obcym. Odbyło się to pewnie tak, jak w Warszawie. Tam też, kiedy weszli na arenę Ukraińcy, Rosjanie, Ormianie, a potem Czeczeni, wyprawiano niepokornych w stronę morza. Wisłą.

— To oddaj teraz ten pistolet — rozkazał Selim.

— Nie mam — Michał roześmiał się. Pokazał gołe ręce. — Blefowałem.

— Imponujące — mruknął Selim. — Strasznie jesteś cięty na tego gościa, skoro potrafisz tyle zaryzykować. — Co ci zrobił?

— Przez niego zginęła kobieta, którą kochałem.

— Dlaczego?

— Celem byłem ja, ale ofiarę poniosła ona.

Czeczen wydał wargi, przymknął oczy. Namyślał się.

— Saszkę chcesz tylko wypytać?

— Chcę dopaść jego szefa, mówiłem już.

— Dobra. Masz zezwolenie. Ale... — zerknął na złoty zegarek — jest dwudziesta. Daję ci osiem godzin. O świcie kończysz poszukiwania. Nie dostaniesz żadnej pomocy, sam musisz odnaleźć Saszkę. Jeśli nie zdążysz go dorwać i rozpytać, masz się stąd wynosić.

— Jasne. Tylko zdejmij mu ochronę. Chyba że chcesz, żebym pozabijał twoich ludzi.

— O tym zapomnij. Obiecałem przydzielić mu asystę, zapłacił, a ja nigdy nie łamię danego słowa. Nigdy, rozumiesz? Wiesz co to honor?

— Wiem — warknął Michał. — Nie tylko wy jesteście dumni i nieposkromieni. Nie tylko na Kaukazie żyją twardzi faceci. Wiem, co znaczy dać słowo, może nawet lepiej od ciebie.

Selim kiwnął głową.

— Podobasz mi się, Polaku. Potrzeba mi tutaj takich zuchów. Jeśli kiedyś postanowisz rzucić dotychczasową robotę albo zejdziesz ze ścieżki prawa, zgłoś się do mnie.

— Dzięki za propozycję, ale raczej nie skorzystam.

— Nigdy nie mów nigdy. A teraz idź stąd, człowieku. Mam następne spotkanie, nie chcę, żebyś gapił mi się na rękę.

— W ogóle mnie to...

— Nieważne. Masz wyjść!

Michał wzruszył ramionami, wstał, skierował się ku wyjściu. Po chwili stanął, wrócił do stolika. Selim patrzył pytająco.

— Dałeś słowo i ochronę komuś, kto sam złamie każdy układ, kto sprzedałby cię, gdyby tylko ktoś chciał mu dostatecznie dużo zapłacić.

— Co do jego goryli powiedziałem wszystko i nie liczę, że zmienię zdanie. Ale rozumiem, co chcesz powiedzieć, a raczej o czym mnie uprzedzić. Nie liczę, że odpuszczę, jeśli uszkodzisz któregoś z moich chłopców.

\*

— Znakomicie! — Łazarz skasował w laptopie stronę banku. — Pieniążki przepłynęły, więc ta część papierów jest wasza.

— I reszta, którą nam przekaże twoja partnerka.

— Tak jest. Jutro przed południem dostaniecie, co trzeba, ale dopiero po wpłaceniu reszty należności. Mnie już dawno nie będzie w Polsce.

Grigorij wziął skórzaną aktówkę, otworzył ją.

— Przecież pokazywałem wam dokumenty przed wejściem tutaj! — Łazarz był rozdrażniony nieufnością Rosjanina.

— Pokazywałeś, pokazywałeś. Ale ja naprawdę muszę wszystko dokładnie sprawdzić. Ty byś mi pewnie zaufał bezgranicznie?

Otworzył teczkę. Naukowiec przyświecał mu latarką. Saper wyjął pierwszy arkusz papieru potem drugi, spojrzał z niedowierzaniem.

— Czarne — szepnął, a potem nagle wrzasnął — Brać go!

Komandosi podskoczyli natychmiast, wykręcili ręce Miguły tak mocno, że zatrzeszczały stawy. Stanko podsunął mu pod nos zupełnie czarny kawałek papieru.

— Ty ścierwo pierdolone — zacharczał wściekle. — *Job twoju mat'.*



Co to jest? To mają być plany?

Łazarz wyglądał na równie zaskoczonego i wściekłego, co saper.

— To jakiś wasz numer? — syknął. — Przecież widzieliście tam, na dworze...

— Milcz, swołocz! Nas chciałeś podejść? W taki głupi sposób? Nas załatwić ulubionym numerem Stasi? Zapomniałeś, że to od nas się uczyli!

— I od gestapo — dorzucił odruchowo Łazarz.

— A gestapo to od kogo? Od naszych speców. Co to ma być, towarzyszu Łazarz? Papier światłoczuły? Sprytna zagrywka. Kontrahent ogląda dokumenty, wystawia je przez tę chwilę na działanie światła, a potem spokojnie chowa. A one zaraz ciemnieją. Tak... to bardzo sprytnie, ale na frajerów.

Migęła poblądł. To było widoczne nawet w chaotycznym, rozedrganym świetle latarek.

— To ta suka! — wysyczał. — Ta szwabska kurwa! Załatwiła mnie! Zabrała oryginały... Sam jej to przecież dałem do ręki...

Nie dokończył zdania, bo ciężka pięść Stanki odebrała mu dech. Poczuł, jakby przeponę przebił ogromny, rozpalony świder.

— Każdy popełnia błąd — spokojny głos sapera stał w sprzeczności z kolejnym precyzyjnie wymierzonym ciosem, tym razem w mięsień kapturowy tuż przy szyi. Łazarz miał wrażenie, że głowa i ramię eksplodowały w potężnym wybuchu. — Ale czasem popełnia się ten błąd w najmniej odpowiednim momencie.

— Posłuchaj mnie — jęknął Migęła. — Przecież musiałbym być całkiem głupi, żeby tak zrobić.

— Może jesteś. A dowód głupoty masz przed oczami.

— Mówię ci, to ta zdzira! Irmina! To ona mnie tak załatwiła. Sam powiedziałeś, że to stara sztuczka Stasi. Papier światłoczuły... Ona była kiedyś enerdowską agentką.

— Żeby mnie teraz przekonać musiałbyś odgryźć sobie nogę. Jak myślisz, co w tej chwili mogę ci zaproponować? Kula w łeb będzie dobrym rozwiązaniem?

— Jezu, nie zabijajcie mnie! — Migęła przeraził się. Nie miał w sobie w tej chwili nic z cynicznego bandyty, jakim był jeszcze minutę wcześniej. — Nie teraz. Wreszcie dopiąłem swego... — zamilkł, wpatrzony w plik poczerńiałego papieru.

— Dociera do ciebie, że plan się nie powiódł? — Stanko patrzył na Łazarza z obrzydzeniem. — Możesz skamleć i dopraszać się jak pies. Kara jest tylko jedna. A wiesz, dlaczego?! — ryknął nagle prosto w twarz Polaka. — Bo przez ciebie na całej mojej karierze można już dzisiaj kwiatki sadzić! Skończę w jakimś zapadłym biurze na końcu świata!

— Może jeszcze uda się coś zrobić — wymamrotał Miguła. — Zadzwońię do niej....

— Daruj sobie, towarzyszu Łazarz. Tobie pozostał już tylko chuj na grób.

Miguła zacisnął zęby. Po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat poczuł tak wielki zawód i strach zarazem. Podobne uczucia ogarniały go, kiedy był małym chłopcem, w chwilach gdy miał nadzieję, że czeka go spokojny wieczór, a ojciec przychodził z roboty pijany, tłukł matkę do nieprzytomności, a potem zabierał się do bicia dzieciaków.

— Idziemy — powiedział saper. — Wyprowadzisz nas stąd, a my z Pawłem rozrysujemy sobie drogę, porobimy punkty orientacyjne.

— Myślałem, że już je zrobiłeś.

— Zauważyłeś? Bystry jesteś. Ale to tylko było dla bezpieczeństwa. Teraz wykonamy je fachowo, będą nieczytelne dla niewtajemniczonych, niewidoczne.

— A jaki mam interes, żeby was wyprowadzić?

— Przedłużysz sobie życie. Oczywiście możesz uznać, że nie warto. Wtedy rozwalimy cię na miejscu. Będziemy wychodzić po prostu dłużej.

— Nie chcecie odzyskać planów? Dopadnę tę Niemrę...

— Sami ją spróbujemy znaleźć. Może ta kobieta jest sprytna, ale nie aż tak sprytna, żeby ukrywać się przez całe życie. Chyba że znajdzie kryjówkę w grobie.

— Prędszej Lenin zmartwychwstanie niż złapiecie Irminę Stein. Tylko ja mogę ją znaleźć.

— Idziemy. Dość gadania! Może dostaniesz swoją szansę, *gospodin* Łazarz. Ale umówmy się, że to już nie zależy od mnie.

\*

Major Bzowski przetarł zmęczone oczy. Oczekiwanie i siedzenie na czatach były rzeczami, których najbardziej w swojej pracy nie lubił. Gorzej znosił jedynie nasiadówki i odprawy u ministra. Zlustrował wzrokiem teren. Nikogo z jego ludzi nie widać, wszyscy doskonale

ukryci. Zresztą maskowaniu sprzyjały zapadające ciemności. Niedługo zacnie się martwić, żeby nie przeoczyć tych, na których czekali. Major przeszedł do tyłu, gdzie dwóch ludzi pilnowało kilku zatrzymanych.

— Sam pan ambasador — powiedział Bzowski z uśmiechem. — Czego szuka jego ekscelencja w tym miejscu? Wycieczka turystyczno — krajoznawcza?

— Pan nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji swoich poczynań! — zagrzmiał Wilichow. — Nie wolno aresztować członków korpusu dyplomatycznego.

— Ależ my pana nie aresztujemy — major zrobił wielkie oczy. — Przeciwnie, postanowiliśmy zadbać o wasze bezpieczeństwo, panowie. Że się tak wyrażę, zabezpieczyliśmy corpus delicti... przepraszam korpus dyplomatyczny. Chyba że ów korpus okaże się raczej modus operandi.

— Na pana miejscu nie byłbym taki beztroski. Napiszę oficjalną skargę do pańskiego przełożonego.

— Proszę bardzo — odparł poważnie Bzowski. — Jeżeli sądzi pan, że byłbym tak głupi, aby zatrzymać ambasadora wielkiego mocarstwa bez wiedzy szefa kontrwywiadu...

Ambasador zamilkł, namyślał się. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nadbiegł człowiek Bzowskiego.

— Wychodzą. Słyszać ich już w mikrofonach skierowanych na korytarz.

Major skinął na ludzi pilnujących Rosjan.

— Odprowadzić ich dalej w tył. A na wszelki wypadek, jakby któryś chciał się wygłupiać, zakneblować.

Popędził na poprzednie stanowisko, założył słuchawki. Nie wolno wypuścić ptaszków z klatki. Muszą odejść chociaż kilkanaście kroków od wejścia, żeby skutecznie odciąć im drogę z powrotem w korytarze. Po przeżyciach w Oleśnicy Bzowski miał na długi czas dosyć uganiania się za przestępcami po nieprzyjaznych niemieckich podziemiach. Tym bardziej, że te w dodatku były najeżone pułapkami.

Rosjanie i Łazarz wyszli ostrożnie, wyraźnie zdziwieni, że nie czeka na nich ambasador z asystą.

— Ktoś ich musiał przepłoszyć — zabrzmiało w słuchawkach. — Musimy być ostrożni... Chodźmy szybciej.

Ledwie uszli parę metrów, nagle rozbłysły oślepiające światła

reflektorów. Rzucili się w tył, ale przed wejściem wylądowali już ludzie w czarnych uniformach i kominiarkach.

— Nie ruszać się! — zawołał Bzowski przez megafon. — Jesteście otoczeni. W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej aresztuję was. Ręce do góry!

Znieruchomieli. Wszyscy posłusznie podnieśli ręce.

— Kurwa mać — powiedział głośno Łazarz. — Ale z was fachowcy. W sumie dobrze, że ta zdzira mnie wyruchała. Zawsze jest jeszcze szansa...

— Zamknij się — rzucił Grigorij. — Gołymi rękami też mogę cię załatwić.

— A oni cię zastrzelą.

— Zdążę. Zamknij się.

Funkcjonariusze jednostki specjalnej zbliżali się ostrożnie, bez zbytniego pośpiechu. Mieli zatrzymanych jak na talerzu.

— Na kolana, a potem kłaść się.

Łazarz okazał się szybki. Bzowski pomyślał po wszystkim, że słusznie porównywano go do kobry. Zdawało się, że już uklęknął, a on tymczasem przetoczył się błyskawicznie przez plecy, odbił z obu rąk, przeleciał dwa metry szerokim łukiem tak, że znalazł się tuż przed policjantem. Ten zareagował odruchowo, strzelił dwa razy, jednak nie trafił, bo Miguły już nie było w poprzednim miejscu. Wykonał dwa błyskawiczne obroty, znalazł się za człowiekiem w czarnym mundurze. Jakby mimochodem, po drodze, chciał mu rozerznąć gardło ostrym niczym brzytwa sztyletem. Policjant zdążył się odchylić na tyle, że nóż zawadził jedynie o policzek, znacząc go głęboką, krwawą pręgą. Za Łazarzem ruszył jeden z oficerów specnazu, jednak powstrzymał go ostry rozkaz Stanki. Trzech funkcjonariuszy puściło się w pogoń za Łazarzem, znikli wśród gęstwy krzaków maskujących wejście. Z głośnika głos majora grzmiał rozkazami. Bzowski był cokolwiek zdziwiony biernością Rosjan. Niepokoiło go to nawet. W końcu to wyszkoleni zabójcy, powinni skorzystać z zamieszania. Zszedł ze stanowiska, zbliżył się do Grigorija.

— Majorze Stanko — powiedział. — Jesteście aresztowani pod zarzutem działalności szpiegowskiej na terenie Rzeczypospolitej Polskiej.

— Jesteśmy dyplomatami — odparł spokojnie Grigorij, patrząc w przestrzeń. — Nie macie prawa nas zatrzymywać.

— To się jeszcze okaże.

— Wyjdziemy prędzej niż zdąży pan zjeść kolację.

— Śpieszę pana poinformować, że kolację będziemy jeść razem. Śniadanie zresztą też. Niekoniecznie w tym samym miejscu, ale na pewno w tym samym budynku. Ja na górze, wy na dole.

— To wywoła skandal dyplomatyczny.

— Tylko w sytuacji, jeśli nie wykażecie się rozsądkiem. Skandal uderzy z większym hukiem w was niż w nas. I żaden genialny minister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej tego nie przeskoczy. Tym bardziej że ci, którzy pognali za waszym kumplem to doświadczeni grotołazi.

— Rozumiem — Stanko po raz pierwszy spojrzął prosto w twarz kontrwywiadowcy. — Pozwoliliście mu uciec. Chce pan, żeby was zaprowadził... — urwał.

— Do Bursztynowej Komnaty — uśmiechnął się major. — A przynajmniej wskazał nam z grubsza, gdzie jest.

— Przeliczyliście się.

— Co pan ma na myśli?

— Tylko tyle. Przeliczyliście się. Tak jak my. Tyle że nas to o wiele więcej kosztowało.

## 21.

To nie było może idealnie rozwiązanie, ale Michał w tej chwili lepszego nie mógł sobie wyobrazić. Śledził Saszkę od dwóch godzin. Walas pętał się po mieście sam. Teoretycznie sam. W istocie rzeczy nie odstępowało go ani na krok dwóch ludzi. Podążali za Wrońskim bez specjalnego krycia się, najwyraźniej przekonani, że w tłumie turystów trudno ich dostrzec. A może po prostu w ogóle nie przejmowali się takimi bzdurami? Ale była taka chwila, kiedy porucznik przekonał się, że jednak próbują zachować dyskrecję. W pewnym momencie, zupełnie z wyuczonego nawyku, wykonał manewr pokrewny temu, jaki żołnierze okrętów podwodnych nazywają Szalonym Iwanem — zawrócił z nienacka, ruszył prawie biegiem z powrotem, jakby sobie coś nagle przypomniał. Prysnęli do najbliższego sklepu i zaczęli tam oglądać jakiś towar. Porucznikowi było w zasadzie obojętne czy jest obserwowany. Cel miał jeden, jasny i zamierzał go osiągnąć bez względu na wszystko.

Walas szedł pewnym krokiem, wyraźnie z siebie zadowolony. Wrońskiemu przebiegła przez głowę myśl, że trzeba być naprawdę straszliwym psychopata, żeby mordować ludzi, a potem normalnie żyć. Chociaż, z drugiej strony, co w tym wypadku znaczy normalnie? Czy taki zatwardziały zbrodniarz myśli jak zwyczajny człowiek? Michałowi nieraz śniła się twarz Niemca, którego musiał zabić podczas akcji w Oleśnicy. Widział oblicze ofiary tylko przez mgnienie oka, w świetle latarki, a jednak utkwiała w pamięci niczym zadra, wracała w bezsenne noce. A przecież nie miał wtedy wyjścia. Niemiecki agent był gotów bez chwili wahania przyspilić go nożem do podłoża... Jednak zabójstwo to zabójstwo. Podobno można się do tego przyzwyczaić, ale zdrowy na umyśle człowiek nigdy nie polubi odbierania życia.

Szedł teraz za Saszką od Wyspy Małgorzaty. W tłumie ludzi zwiedzających ciepłe źródła, baseny, płaczących się między kawiarniami, łatwo było zachować anonimowość. Na głównych ulicach także nie było z tym problemu. Ale teraz weszli w boczną, zupełnie nieznaną Michałowi uliczkę. Miało to tę dobrą stronę, że opiekunowie bandyty także musieli zachować wzmożoną ostrożność, zwiększyć dystans.

Saszka przystanął, rozejrzał się. Wroński, wiedziony instynktem, ułamek sekundy wcześniej zdążył uskoczyć za załom muru. Kiedy wyrzwał, zobaczył plecy śledzonego. Przyciskał guzik na domofonie. Michał zaklął. Z tej odległości nie widział, który. Tyle tylko, że u góry tablicy, więc pewnie niższy numer. Po chwili Saszka zniknął. Wroński nie wychodził z kryjówki. Saszka na pewno jeszcze spojrzy na ulicę z półpiętra. Nie ma się co śpieszyć, trzeba tylko sprawdzić czy brama nie jest przejściowa i czekać. Do świtu jeszcze pięć godzin. Zresztą nie zamierzał się przejmować terminem wyznaczonym przez mafijnego bossa. Tamten na pewno doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Porucznik nasłuchiwał. Panowała cisza. Czyżby Czeczeni nie zamierzali zapuszczać się do tego zaułka? Pewnie doskonale wiedzieli, czego Walas mógł tutaj szukać, uznali zatem, że nie ma sensu zupełnie się dekonspirować. Michał już chciał wyjść z ukrycia, ale cofnął się. Usłyszał rozmowę i odgłos kroków. Ochroniarzy pewnie zaniepokoił zupełny bezruch Michała. Rozmawiali w dziwnym, nieco chrapliwym, ale przyjemnym dla ucha języku. Szczęśliwy los sprawił, że kryjówka Wrońskiego okazała się nie tyle załomem, co wgłębieniem w murach starej kamienicy, dzięki czemu był zasłonięty z obu stron. Po chwili głosy ucichły, a kroki stały się wyraźnie ostrożniejsze. Zobaczył dwóch ludzi, spoglądających czujnie w stronę bramy, do której wszedł Saszka. Tak, pomyślał, wiedzą doskonale, gdzie ten bandzior polazł. Pokręcił głową. To jednak amatorzy. Nie powinni przecież przedtem rozmawiać i zachowywać się głośno. Może za bardzo się wyluzowali? Tak długo łazili dzisiaj za Sazką i Michałem, że stracili czujność. A może to kwestia zapadających ciemności? W mroku człowiekowi wydaje się, że jest mniej widoczny. Na szkoleniach w firmie wykładowcy i ćwiczeniowcy wkładali wiele wysiłku w zwalczanie takich — wdrukowanych w naturę ludzką — przekonań. A może po prostu czują się bardzo pewni na swoim terenie. Michał nie czekał, aż Czeczeni go odkryją.

— *Stojcie* — odezwał się cichym, ale nie znoszącym sprzeciwu głosem. — *Ruki wwierch, muzyki.*

W pierwszej chwili ten bliższy Michałowi wykonał ruch, jakby chciał sięgnąć pod pachę, ale powstrzymał go widok broni.

— *Spokojna* — powiedział Michał. — *Tolko bież sztok. Brasie' kruże na Ziemlin, a potom dwa szaga nazad.*

Pistolety wylądowały na płytach chodnika. Michał wyszedł z ukrycia, kopnął je w tył.

— To jeszcze nie wszystko — uśmiechnął się krzywo. — Dodatkowe spluwy, noże, kastety i co tam jeszcze macie z tyłu, pod koszulami, spodniami, w skarpetkach czy w dupie. Albo oddajecie wszystko, albo będziecie się tutaj rozbierać.

Spojrzeli ponuro, a potem zaczęli wyciągać broń. Michał pokręcił głową.

— Słyszałem, że czeczeński mężczyzna powinien mieć dziewięć sztuk broni — zauważył. — Ale nie wiedziałem, że nosi ją przy sobie. Dobra. Ty — wskazał nieco wyższego — wrzucisz wszystko tutaj — brodą określił kierunek do najbliższego kanału burzowego. — Każdą sztukę w dwa paluszki, żebym się nie zdenerwował. Tylko najpierw wyjmij to żelastwo z otworu. Będzie szybciej.

Czeczen z coraz bardziej ponurym wyrazem twarzy posłusznie chwycił kratownicę, wytężył siły. Po chwili przesunął ją na tyle, żeby w powstałej szczelinie można było swobodnie umieszczać broń.

— Dokąd poszedł Saszka? — spytał Wroński niższego.

— *Poceluj mienia w żopu, swołocz.*

— Mało uprzejma odpowiedź.

— *My nie znam* — sapnął drugi. — Selim kazał obserwować i ochraniać, to obserwujemy i chronimy. A tobie co do niego?

— Nie twój interes. Doskonale wiecie, gdzie teraz jest. Musicie mi powiedzieć. To zostaw! — zawołał. Człowiek Selima zamarł. — Kajdanki mogą mi się przydać. Oddajcie tylko jeszcze kluczyki. A teraz gadaj, gdzie jest Saszka.

— A jak nie powiemy to co? Zastrzelisz nas? Selim cię znajdzie i obedrze ze skóry.

— Mam w dupie, chłopaki, co zrobi ze mną wasz szef. Gadacie czy nie?

Milczeli. Widać było, że prędzej umrą niż sprzeniewierzą się rozkazom.

— Spieprzajcie.

— Co? — byli wyraźnie zaskoczeni.

— Wyrywajcie stąd. Sam sobie poradzę.

Zaczęli się wycofywać, ale nie odwrócili się nawet na chwilę. Nie



ufali temu desperatowi. Ktoś, kto zadziera z czeczeńską mafią na pewno może bez zmruczenia okiem strzelić w plecy.

— Zaraz — Michałowi przyszedł do głowy pomysł. Ostrożnie, nie spuszczać goryli z oka, schylił się, podniósł jedną parę kajdanek, rzucił Czeczenom pod nogi. — Skujecie się. Obaj za prawą rękę! — dodał widząc, że zamierzają tak się skrępować, by mieć względną swobodę ruchu. — Będziecie wyglądać jak przyklejone do siebie pedały, ale przynajmniej nie będą wam przychodzić do głowy różne głupoty. A teraz won!

Nie patrzył już w ich kierunku. Poszedł do bramy, w której zniknął Saszka. Przyjrzał się przyciskom domofonu. Jakiś niski numer... No tak, może to? Jeden z guzików, z numerem pięć, pomalowano na czerwono, a zamiast nazwiska właściciela było tam jakieś węgierskie słowo. Michał uśmiechnął się, zadzwonił. Po niedługiej chwili odezwał się w głośniku pytający kobiecy głos.

— *I want...* — zaczął angielszyczną, żeby zaraz przejść na niemiecki. — *Ich habe dieses Adress von Herr Dietrich bekommen. Verstehen Sie?*

Kobieta nie odpowiedziała, ale zaraz zabręczał zamek, Wroński pchnął drzwi. Znalazł się w ciemnej, chłodnej sieni. Zupełnie jak w Polsce, pomyślał, bo w nozdrza uderzył go odór zastarzałej uryny i stęchlizny. Takie miejsca wszędzie wyglądają tak samo i identycznie cuchną. Zaczął wchodzić po kamiennych schodach. Po cztery mieszkania na każdym poziomie, piątka powinna być więc na pierwszym piętrze. Stał przed odrapanymi drzwiami. Zanim zdążył wyciągnąć rękę w stronę dzwonka, otworzyły się bezszelestnie. Zobaczył głowę ładnej dziewczyny, reszta była ukryta za obskurną drewnianą powierzchnią. Za panią mającą zwałista postać ochroniarza.

— *Herzlich willkommen* — powiedziała prostytutka.

Michał wszedł. Pierwsze, co zrobił to z całej siły kopnął osiłka w podbrzusze, wyjął pistolet i położył palce na ustach, patrząc groźnie na dziewczynę. Stłumiła krzyk, patrzyła przerażona na intruza. Ochroniarz próbował pokonać potworny ból w jądrach, usiłował podnieść się z kłęczek. Michał wyciął go pięścią za uchem, tak jak go uczono na kursach samoobrony — między tył małżowiny a kość. Potężny mężczyzna padł jak długi. Wroński spojrzał na dziewczynę, uśmiechnął się łagodnie.

— Nie bój się — mruknął. — Nic ci nie zrobię. Po prostu kogoś

szukam.

\*

Pukanie do drzwi było bardzo delikatne. Tak bardzo, że można by je bez trudu przeoczyć. Ale dla Irminy zabrzmiało jak wystrzał. Wreszcie! Umawiała się z kurierem Bakumowa na dwudziestą czwartą, a tymczasem dochodziła druga. Na wszelki wypadek prędko dokręciła do pistoletu tłumik, dłoń z bronią ukryła w fałdach swobodnej, letniej sukienki.

— Kto? — spytała cicho, stając z boku drzwi, tak by ominąć ją ewentualny strzał.

— Przysłała mnie pan burmistrz. W sprawie inwestycji przy stacji Berlin-Zoo.

Odetchnęła z ulgą, otworzyła. Na progu stał mężczyzna średniego wzrostu, o wyglądzie miejskiego urzędnika. Bakumow najwyraźniej umiał zadbać o szczegóły.

— Mnie najbardziej interesuje — gestem zaprosiła gościa do środka — ile trzeba czekać na pozwolenie budowy. Pieniądze nie grają roli.

— Dwa, trzy miesiące — odparł mężczyzna.

— Spóźnił się pan — powiedziała z wyrzutem. — A pan Bakumow nie odbiera telefonu.

— Szef nigdy nie odbiera połączeń, jeśli nie jest wcześniej umówiony na rozmowę. Przepraszam, że musiała pani czekać. Miałem po drodze małą stłuczkę. Było trochę zawracania głowy, policja, mimo tak późnej pory zaraz przyjechał agent ubezpieczeniowy. Wie pani, mam brytyjski paszport, a ostatnio stosunki Niemiec z wyspami są nieszczerłone. Trochę mnie przeczłgali.

— Doskonale mówi pan po niemiecku, jak na Anglika — zauważyła.

— Matka pochodziła z Frankfurtu nad Menem. Bardzo dbała, żebym nie zapomniał mowy kontynentalnych przodków.

Wskazała przybyszowi fotel. Usiadł skromnie, na samym brzeżku. Uśmiechnęła się do siebie w myślach. Dziwny typ. Jakiś taki za skromny jak na pośląca wielkiego bogacza.

— Jest pan księgowym Bakumowa?

— Skąd to przyszło pani do głowy?

— Wygląda pan na księgowego.

— No cóż, zgadła pani. Szef stwierdził, że do takiej transakcji musi

oddelegować kogoś zaufanego. Mogę zobaczyć plany?

— Mogę zobaczyć pieniądze?

Mężczyzna bez słowa położył na stole niewielką walizkę, otworzył ją. Funty owinięte banderolami zostały ułożone równiutko, ciasno upakowane.

— Tu jest milion — powiedział. — Resztę, tak jak pani chciała, przelejemy na konto.

Podowała mu papiery.

— Tu jest wszystko. Nie wiem, jak pan Bakumow zamierza wziąć się za wydobywanie skarbu, ale to nie moja rzecz.

— Tak jest, nie pani.

— Ciekawa jestem jedynie, co zamierza zrobić z komnatą? Przecież nie będzie mógł się przyznać do jej posiadania.

— A nie przyszło pani do głowy, że może mój pracodawca zechce zwrócić dziedzictwo ojczyźnie? Może w ten sposób pragnie sobie zaskarbić łaskę Kremla. To by mu pozwoliło na swobodne działanie w Rosji.

— Nie, proszę pana, taka ewentualność nie przyszła mi do głowy.

— I bardzo słusznie — roześmiał się. — Nie wiem, co pan Bakumow zamierza zrobić z Bursztynową Komnatą. To jego sprawa.

— Ma pan rację — uśmiechnęła się — jego. Ale moją sprawą jest zadbać o własne bezpieczeństwo.

Wydobyła pistolet, skierowała lufę między oczy mężczyzny.

— Kto cię przysłał?

— Pani oszalała? — wyjąkał. — Doskonale pani wie, kto.

— Ręce na kark! Usiądź głęboko w fotelu.

Zajrzała do walizki, zdecydowanym ruchem wyrzuciła pieniądze na podłogę.

— Widzę, że przejęliście kuriera. Ale trzeba było go wypytać o coś więcej niż hasło i miejsce spotkania, zanim palnąłeś mu w łeb. Wysłannik Bakumowa nie miał prawa wiedzieć, czego dotyczy transakcja. Poza tym może twoja matka pochodziła z Frankfurtu nad Menem, ale na to mówisz zbyt czystym berlińskim akcentem. Ktoś, kto nie przebywa tutaj stale, nie używa pewnych zwrotów.

Z twarzy mężczyzny spadła maska nieco zagubionego urzędasza. W jego oczach Irmina dostrzegła zimny, twardy błysk.

— Kto cię przysłał? — spytała z krzywym uśmiechem. — Niemiecki wywiad? A może ruska agentura GRU postanowiła ubiec FSB?

Nie odpowiedział. Patrzył tylko bez strachu, z nienawiścią.

— No cóż — westchnęła. — Nasze drogi zaraz się rozejdą. Wezmę ten milion, skoro byłeś tak miły, żeby go dostarczyć, a potem sobie pójdę. Od ciebie zależy czy zostaniesz przy życiu, czy nie. Chcę odpowiedzi na pytanie dla kogo pracujesz.

Rzucił piętrową wiązanką.

— Jak chcesz — westchnęła.

— Myślisz, że jestem sam? Na zewnątrz czekają ludzie.

— Poradzę sobie — prychnęła lekceważąco. — Oni na pewno mają rozkaz śledzić mnie po dokonaniu naszej transakcji. Nie spodziewają się, że...

— Słyszą każde słowo — przerwał jej. — Mam na sobie nadajnik. Jeśli strzelisz...

— Nie cierpię takiego podpuszczania — skrzywiła się. — Mogłeś wymyślić coś mniej płaskiego i wziętego z sensacyjnych filmów.

Zamierzała strzelić bez ostrzeżenia. Mężczyzna był jednak szybki. Błyskawicznie stoczył się z fotela. Kula przeszła tapicerkę, wbiła się w podłogę.

Znów strzeliła, tym razem celniej — trafiła go w udo.

— No już! — krzyknął rzekomy księgowy.

W tej chwili drzwi wyleciały z zawiasów, do pomieszczenia wpadło dwóch mężczyzn z pistoletami maszynowymi. Ciszę rozdarł huk wystrzałów. Poszarpane kulami ciało kobiety przefrunęło nad stertą pieniędzy, żeby spocząć na puszystym dywaniku przed wyjściem na balkon.

\*

Saszka był przerażony. Miał przed sobą wykrzywioną wściekłością twarz. Twarz... Bardziej przypominała potworną maskę niż ludzkie oblicze. prostytutka obok leżała bez ruchu, porażona widokiem pistoletu.

— Poznajesz mnie? — spytał upiór.

Walas kiwnął głową. Chciał coś powiedzieć, ale ledwie otworzył usta, lufa broni wdarła się do środka, łamiąc parę zębów. Saszka zakrztusił się, usiłował wypluć odłamki kości, jednak musiał je przełknąć. Napastnik nie miał litości, nie wysunął żelaza nawet na

milimetr.

— Wiesz, kto mi cię sprzedał?

Walas pokręcił przecząco głową.

— Twój najlepszy kumpel, Łazarz. Przysłał do mnie tego agenta, który był jego wtyką w wydziale. A Wituś wyśpiewał wszystko. Wiedziałem, dokąd wyjechałeś, gdzie cię tutaj szukać i nawet dostałem kontakt na Selima, żeby się z nim dogadać. A wiesz, dlaczego Miguła to zrobił?

Saszka nie zareagował na pytanie. Wroński dźgnął go mocniej lufą. Wbiła się prawie w gardło. Tego Walas nie mógł już wytrzymać. Odruch wymiotny okazał się silniejszy od strachu. Michał musiał wyjąć pistolet z jego ust, jeśli nie chciał, żeby bandyta zapaskudził mu broń albo się zadusił.

— Jeśli naprawdę nie domyślasz się albo nie chcesz domyślić, powiem ci. Zabawił się w Judasza, żeby kolejny raz opóźnić działania mojego biura. Zniknął, zrobił wszystko, byśmy uwierzyli, że o jego kryjówce wiesz tylko ty i jedynie dzięki tobie można go znaleźć. Nie przewidział tylko jednego. Widzisz, ja nie powiedziałem mojemu dowódcy o informacjach uzyskanych od Witka. Nie powiedziałem mu, że zdrajca wydał cię, chociaż na tym nic nie skorzystał.

— No to masz problem — Saszka przestał się krztusić, odzyskał nieco rezon. — Nie wolno wam chyba zatajać takich informacji.

Michał nieśpiesznym, wręcz flegmatycznym ruchem wsadził mu lufę w oko. Walas krzyknął i zaklął, przykładając rękę do oczodołu.

— Wolno czy nie, nie twoja sprawa, skurwysynu — powiedział Wroński łagodnym tonem. — Nie powiedziałem mu, żeby nie gonił za duchem. Nie wiem, jakie działania podjęło biuro i nie chcę teraz wiedzieć. Najważniejsze, że znalazłem ciebie.

Saszka znów poczuł lodowaty chłód w łędźwiach. Dotarło do niego, że dopadł go wprawdzie funkcjonariusz państwowej instytucji, związany przysięgą i regulaminami, ale nie można liczyć, że będzie ich przestrzegał.

— Masz przerąbane — ciągnął Michał wciąż tym samym miękkim głosem. — Zobacz. Wiesz, co to jest? — wydobył z kieszeni strzykawkę i butelkę z jakimś płynem. — WYW-72. Ulubiona substancja twojego kumpla. Wiesz jak działa? Widzę, że tak.

Saszka zadrżał na całym ciele. Działanie tego świństwa widział tylko raz, ale wystarczyło mu to w zupełności.

— Odpowiesz teraz za wszystko. Za torturowanie Mirka...

— Nie dotknąłem go palcem.

— Nie musiałeś. Dowodziłeś swoimi goryłami, a poza tym założę się, że to ty siedziałeś przy pokrętłach transformatora i ty kazałeś umieścić elektrody w najbardziej wrażliwych miejscach ciała. Poznasz smak prawdziwego bólu także za śmierć Doroty. Nie będziesz na pewno cierpieć tak mocno jak ja, ale musi mi wystarczyć taka namiastka.

— Nie zamierzałem zabijać jej, tylko...

— Teraz milcz. Bierz to i napełnij strzykawkę. Już!

— Ocipiałeś — wychrypiał Saszka. — Musiałbym oszaleć...

Michał bez słowa wepchnął mu palec w drugie oko. Przesztychał zawył i skulił się. Wroński rzucił butelkę dziewczynie.

— *Verstehst du deutsch?* — spytał.

Potrząsnęła głową.

— *A po ruski? English?*

— Daj spokój — powiedziała słabym głosem czystą polszczyzną. — Mieszkam w Warszawie. Tutaj czasem przyjeżdżam podorabiać.

Michał uśmiechnął się. Przy jego ściągniętej cierpieniem i nienawiścią twarzy dało to koszmarny efekt.

— To prawda, że Polacy są wszędzie — rzucił. — Dobra. W takim razie napełnij strzykawkę. Całą.

— Goń się, psie — odparła z nienawiścią. — Nie współpracuję z glinami.

— Nie jestem gliną. Ale to wszystko jedno. Przykro mi, siostrze.

Z całej siły wyciął Saszkę kolanem w splot słoneczny, skoczył ku prostytutce, zacisnął jej na rękach kajdanki.

— Nie chcę niespodzianek — mruknął. — Nie rozglądaj się tak. Wasz osiłek leży sobie spokojnie w przedpokoju. Związany — dodał, widząc przerażenie w oczach dziewczyny. — Nie jestem takim rzeźnikiem jak ten — Wskazał Saszkę, który usiłował złapać oddech.

Odkręcił butelkę, naciągnął płynu do strzykawki. Wbił igłę w udo Walasa, pistolet wsadził mu w ucho.

— Powiem ci — wyjęczał bandzior.

— Co mi powiesz?

— Gdzie są meliny Łazarza. Te, które znam... Znajdziesz go, tylko mnie puść. Przecież to on rozkazywał. To jego chcesz złapać.

Michał oderwał pistolet, kolbą uderzył Saszkę w kość jarzmową.

— Gównu wiesz, łajdaku. Łazarza też dorwę. Będę na niego polował nawet do końca życia, jeśli będzie trzeba. Ale nie skorzystam z twojej pomocy, gnoju.

Mocno nacisnął tłok strzykawki. Walas znów zawył, kiedy ciesz rozpychała tkanki napiętego mięśnia. Wiedział, co się za chwilę stanie. Zacznie odczuwać ból sto razy silniej niż normalnie. Łazarz mówił, że można od tego popaść w obłąd.

Od drzwi wejściowych doleciał hałas. Michał skoczył w tamtą stronę, jednak zaraz zatrzymał się, wycelował w Saszkę. Nie upłynęły dwie sekundy, a do pokoju wtargnęli Czeczeni, których Wroński rozbroił. Zdołali już się rozkuć i ponownie uzbroić. Musieli mieć melinę bardzo blisko. Zresztą na pewno mieli ich multum w całym mieście. Patrzyli to na Wrońskiego, to na Saszkę, który zwijał się na podłodze obok łóżka.

— Co mu zrobiłeś? — padło pytanie zadane groźnym głosem.

— Na razie nic. Jemu się zdaje, że zaraz zacznie cierpieć. To była tylko woda! — ryknął po polsku w stronę Walasa.

Saszka uspokoił się, spojrzał przekrwionymi oczami na wybawców.

— O Boże — sapnął z ulgą. — Myślałem, że to już koniec.

— Bo to jest koniec — oznajmił zimno Michał

— Rzuć broń — rozkazał jeden z Czeczenów. — Ale już!

Wroński wzruszył ramionami, mocniej chwycił kolbę, wycelował prosto w głowę Walasa i nacisnął spust. Natychmiast poczuł uderzenie z boku. Miał wrażenie, że kopnął go rozwścieczony koń. Gasnącym wzrokiem widział jeszcze otwór w czole Saszki. Z tyłu głowy bandyty wyrwał się kawał kości, trysnęła fontanna krwi.

\*

Ambasador odłożył słuchawkę. Był bledszy niż papier, który przed nim leżał.

— Zaczyna do pana docierać? — Bzowski usiadł naprzeciwko. — To poważna sprawa. Podjęliście współpracę z człowiekiem, za którym rozesłaliśmy listy gończe. Wasza placówka została przecież o tym powiadomiona. Nie wiem, co powiedział panu mój minister, ale na razie zostawiam pana do swojej dyspozycji, choćby miało mnie to kosztować

kariere.

Wilichow położył dłonie na stole. Major przyjrzał się im uważnie. Stara sowiecka szkoła. Nie drżały, palce pozostawały zupełnie nieruchome. Tylko drobniutkie kropelki potu świadczyły o emocjach targających dyplomata.

— Żądam umożliwienia mi kontaktu z Moskwą.

— Nie! — głos Bzowskiego ciął niczym bicz z byczej skóry. — Koniec gier. Chcę wiedzieć, co znaleźliście w podziemiach Srebrnej Góry. A raczej, co mieliście znaleźć. I co oznaczają te czarne szpargały? Ten światłoczuły papier nie wyszedł ani z waszych dostaw, ani nie jest naszej produkcji.

— Nic dziwnego, przecież taki papier produkuje się w wielu krajach. Nie potrzeba...

— Proszę nie zaczynać, Nikołaju Pawłyczu! Pan jest starym wywiadowcą, a i mnie stuknęło już parę lat podobnej roboty. Każda agentura zamawia taki papier na własne potrzeby i tylko dla siebie u jednego, wtajemniczonego producenta. To nie artykuł ze sklepu komputerowego. To coś, co przypomina najzwyczajniejsze kartki. Może mam jeszcze powiedzieć panu, do czego się tego używa? Dobrze, powiem. Do wypisywania zleceń, które muszą być przekazane na piśmie, ale nie może po nich pozostać ślad. Na takim papierze kopiuje się dokument podpisany przez wysoko postawionego zleceniodawcę, żeby agent miał gwarancję, iż wykonuje zadanie najwyższej wagi z ramienia rządu, że może pozwolić sobie na wszystko. Ale raczej rzadko używa się tego w takiej ilości.

— A skąd pan tak od razu wie, że to nie rosyjski papier?

— Pan nie przestanie udawać niewiniątka? Wiem tak samo dobrze, jak pan. Przecież wasz po naświetleniu nie tylko czernieje, ale także ulega rozkładowi w ciągu dwudziestu minut.

Wilichow nie odpowiedział. Po raz pierwszy nerwowo zabębnił palcami po blacie biurka.

— Zostaliście oszukani, tak? — spytał Bzowski. — Łazarz wyciągnął od was forszę za tak zwany frajer?

— Zgadza się — odparł ambasador z wyraźną ulgą. — Dobrze, że sam pan do tego doszedł, bo ja nigdy bym nie mógł...

— Nie wierzę — przerwał mu znowu Polak. — Pan się cieszy, bo



doszedłem do wniosku, który obie strony mogą jakoś przełknąć. I takie zapewne będzie oficjalne stanowisko w naszych nieoficjalnych układach. Wy daliście się podejść oszustowi, a my zatrzymaliśmy członków korpusu dyplomatycznego przez nieporozumienie. Ale ja wiem, że na rzeczy jest coś innego. Łazarz zaoferował wam Bursztynową Komnatę. Wasz prezydent jest niezwykle czuły na punkcie dumy narodowej i prestiżu, więc podjęliście kontakt z Migułą, nie bacząc, iż nie wahał się likwidować waszych ludzi. Co wam zaoferował? Przecież nie skarb w całości, bo ładunek został rozrzucony po różnych kryjówkach — roześmiał się, patrząc na nieco osłupiałą minę ambasadora. Stary lis choć raz w życiu został naprawdę zaskoczony. — Wiemy więcej niż wam się wydaje. Wiemy o porozumieniach w ramach akcji „Żelazo”, znamy prawdę na temat narady w „Orlinku”... Pan tam był, prawda? Ale musiał wyjechać dzień wcześniej. To uratowało panu życie. Wiemy bardzo dużo...

— I bardzo mało — tym razem to Wilichow wpadł w słowo rozmówcy.

— I bardzo mało — zgodził się Bzowski. — Jednak w zaistniałej sytuacji to my mamy przewagę.

— Co pan przez to rozumie?

— Bursztynowa Komnata znajduje się na terytorium Polski. A przynajmniej jej większość, bo jest możliwe, że jakieś skrzynie powędrowały do Niemiec lub Czech. Jak dla mnie, ładunek może sobie tutaj jeszcze długo poleżeć. Chyba że się dogadamy.

Na twarzy ambasadora zagościł szczery, szeroki uśmiech.

— Proszę mi wierzyć, panie majorze, bardzo chętnie dojdę do porozumienia z Polakami. Jest tylko jedna przeszkoda. Zupełnie nie rozumiem, o czym pan mówi.

Bzowski uśmiechnął się równie szeroko.

— Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się innej odpowiedzi.

— Nie mógł pan. Trudno bowiem ustosunkować się do kwestii, o których człowiek nie ma najmniejszego pojęcia.

\*

Ocknął się z potwornym bólem głowy. Pierwsze, o czym pomyślał to to, że owo straszne kopnięcie nie mogło być jednak uderzeniem pocisku. Po śmierci na pewno nie może tak okrutnie łupać pod czaszką. Siedział, a

właściwie pólleżał na czymś miękkim. Otworzył oczy. Elegancki skórzany fotel. Poruszył się ostrożnie, aby nie rozdrażnić straszego demona w głowie, uzbrojonego najwyraźniej w młot pneumatyczny.

— Wreszcie — usłyszał wypowiedziane po rosyjsku słowa. Dolatywały z daleka, jakby przemawiający znajdował się w sąsiedniej galaktyce. — Już myślałem, że Rusłan zrobił z ciebie warzywo. To okrutny kawał chłopa, a pociągnięcie ma jak Tyson w najlepszych czasach.

Powiedział coś szybko po czeczeńsku. Silne ręce chwyciły Wrońskiego pod ramiona, postawiły na nogi. Miał problemy ze zogniskowaniem wzroku. Dopiero kiedy mocno spał się w sobie, zobaczył Selima, rozpartego w identycznym fotelu jak ten, z którego właśnie go podniesiono.

— Zabiłeś go — powiedział spokojnie boss. — Od samego początku zamierzałeś go zabić, a nie przesłuchać, zgadza się? Ta polska dziwka opowiedziała dokładnie przebieg waszej rozmowy.

Michał nie odpowiedział. Nie miało sensu otwierać ust, żeby potwierdzić oczywistość, a poza tym na myśl o odezwaniu się, poczuł falę młodości.

— Oszukałeś mnie — ciągnął Czeczen. — Patrzyłeś mi w oczy i łgałeś.

— Gdybym powiedział prawdę — Wroński przełknął ślinę, z trudem pokonał nudności — nie pozwoliłbyś mi go odszukać.

Selim przymknął oczy, odchylił głowę na oparcie.

— Za coś takiego — rzekł po chwili — należy ci się kula w łeb.

— Nie ma sprawy — wzruszył ramionami Michał.

— Hardy jesteś. Ale jest w tym wszystkim coś, czegoś nie rozumiem. Żyje przecież jeszcze ten drugi, który był mocodawcą Saszki. Jego też powinieneś chcieć dopaść.

Michał zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie podtrzymali go goryle Czeczena.

— Łazarza poszukuje już cały wywiad, kontrwywiad i policja. Dopadną go albo nie, nie wiem. Jednak będzie musiał wieść życie ściganego, wściekłego psa. A Saszce by się pewnie znowu upiekło, bo to płotka, szkoda na takiego energii.

— Ale nie tobie.

— Ale nie mnie.

Selim otworzył oczy, spojrział na Michała.

— Oszukałeś mnie — powtórzył. — A ja bardzo tego nie lubię. Powinieneś być ze mną szczery. Nie wiem, czy dałbym ci zezwolenie na zabicie Saszki, gdybyś powiedział prawdę. Nie wiem, jaki miałbym w tamtym momencie kaprys. Jednak pamiętaj, że ja rozumiem, co to honor.

— Gównu masz, nie honor — Wroński podniósł dumnie głowę. — Mogę to powiedzieć w obliczu śmierci, człowieku. Pieprzyć taki honor jak twój. Jesteś zwykłym zbójem, małym, płaskim...

Zgiął się, złamany potężnym ciosem w żołądek. Demon w głowie tym razem użył nie młota, ale gruszki do rozbijania ścian domów. Porucznik wyprostował się z trudem.

— Małym, płaskim skurwysynem — dokończył. — Jak wszyscy podobni tobie.

Przed kolejnym uderzeniem powstrzymało ochroniarza niecierpliwe machnięcie ręki Selima.

— Może jestem małym, płaskim skurwysynem — wycedził — ale skurwysynem, który trzyma cię w żelaznych szponach. Mogę z tobą zrobić wszystko!

— A rób sobie! Mam to głęboko w dupie.

## 22.

Grigorij Stanko szedł długim korytarzem. Wielokrotnie już przemierzał tę drogę, jednak nigdy dotąd ściany nie wydawały się tak ciemne, światło stylowych kinkietów tak skąpe, a wzory kasetonów dębowego plafonu tak przygnębiające. Staął przed połyskującymi elegancką czernią drzwiami. Nie było na nich wypolerowanej mosiężnej wizytówki z nazwiskiem i funkcją człowieka, który czekał po drugiej stronie. Jedyny znak, jaki tutaj umieszczono stanowiła niewielka cyfra jeden, połyskująca tuż nad poziomem oczu. Rosyjscy przywódcy zawsze dbali o dyskrecję z jednej strony, a odpowiednią oprawę i prestiż z drugiej. Takich pokoi jak ten na Kremlu było kilka. Każdy oznaczony odpowiednią cyfrą wykonaną z dwudziestoczerokaratowego złota. To jednak nie gabinety, które należą do ściśle określonego człowieka. Raczej chodzi o rangę spraw, jakie się w nich załatwia. Po otwarciu drzwi można się spodziewać, że petent ujrzy samego prezydenta, ale równie dobrze ministra, a nawet niższego urzędnika. Stanko przełknął ślinę. Tajny pokój w tajnym korytarzu. Nieraz słyszy się opowieści, że w starej siedzibie carów są miejsca, do których nikt nie wchodzi. Jedni mówią, że straszą tam pokutujące duchy władców — morderców, od najdawniejszych czasów począwszy, na Stalinie i Breżniewie skończywszy. Inni utrzymują, jakoby odprawiano tam tajemne obrzędy czy inicjacje, i w związku z tym są to miejsca tabu. Trudno się dziwić takim spekulacjom, szczególnie jeśli ktoś przeczytał pozycję *Kreml w cieniu szatana*. Stanko wiedział jednak swoje — to są najeżone elektroniką, zabezpieczone przed szpiegami miejsca, bezpieczne enklawy zupełnie odcięte od zewnętrznego świata. W tych korytarzach i gabinetach nie ma linii telefonicznych, nawet wewnętrznych, a energii elektrycznej dostarcza własny agregat, aby uniemożliwić inwigilację poprzez okablowanie. Czarne drzwi są doskonale dźwiękoszczelne, a podczas rozmowy ściany pomieszczenia wprawia się w wibracje uniemożliwiające prowadzenie podsłuchu najczulszymi nawet mikrofonami gruntowymi, żartobliwie zwanymi przez agentów „górnkami”.

Grigorij odetchnął głęboko, spojrzął na zegarek i pchnął drzwi. Bez pukania. Pukać nie należało. Nikt nie znajdował się tutaj przypadkiem, nie wymagał anonsowania. Wejść trzeba koniecznie o wyznaczonej godzinie, ani sekundy wcześniej. Stanko podejrzewał, że gdyby przyszedł za wcześnie, mógłby nikogo nie zastać. Bardzo prawdopodobne, iż ten, kto w tej chwili znajdował się po drugiej stronie, wchodził innym, ukrytym wejściem.

Ciężkie skrzydło uchyliło się bezszelestnie. Za wielkim biurkiem zasiadł łysiejący człowiek w średnim wieku. Stanko poczuł ukłucie zawodu i niepokoju. Poprzednio kiedy tu był — bezpośrednio przed odlotem do Polski — rozmawiał z samym prezydentem. Dzisiaj przyjmował go tylko sekretarz. To jawny dowód niełaski. Zresztą nie ma się czemu dziwić.

— Jesteście, Grigoriju Ławrientowiczu.

To był kolejny znak, że znalazł się pod kreską. Sekretarz z reguły zwracał się do niego familiarnie, nazywał po prostu Griszą.

— Według rozkazu — saper wyprężył się.

— Owszem, według dzisiejszego rozkazu jesteś, ale tego sprzed trzech dni nie wykonałeś.

— Nie było możliwości.

— Daliście się aresztować jak amatorzy — ciągnął sekretarz spokojnym głosem. — Ale najpierw pozwoliliście się oszukać staremu szpiegowi i jakiejś babie. Wiecie kto musiał interweniować, żeby was wypuszczono i do kogo był zmuszony zwrócić się po stronie polskiej? Dla Władimira Władimirowicza to było wielkie upokorzenie. Nie rób takiej głupiej miny, majorze. Głowa państwa nie powinna świecić oczami za ludzi, którzy z natury rzeczy powinni zachowywać najdalej posuniętą dyskrecję. W zasadzie powinniśmy was zostawić Polakom, żebyście stanęli przed ich sądem i posiedzieli w ich pierdłu. Rozumiesz?

Grigorij nie odpowiedział. Stał wyprężony jak struna, czuł pot wypływający spod czapki, zdawało mu się, że każdy szew dopasowanego munduru wrzyna się w ciało.

— W dodatku nie zabiliście nawet tego... Łazarza!

— Melduję, że ten człowiek zginął. Wpadł do studni-pułapki podczas ucieczki.

— Skąd masz takie wiadomości?

— Słyszałem jak ci, co go ścigali rozmawiali z kolegami.

Łysiejący mężczyzna podniósł się ciężko, okrążył biurko, stanął tuż przed majorem.

— Słyszałeś to?

— Tak jest!

— I jesteś pewien, że dobrze usłyszałeś?

— Tak jest! Rozmawiali cicho, między sobą, ale w takim miejscu jak tam głos potrafi rozchodzić się bardzo dziwnie.

— Głupi jesteś! — ryknął zniecierpliwiony sekretarz. — Głupi! Łazarz żyje! Rozumiesz? Polacy nie znaleźli jego ciała w studni. Za to odkryli korytarz wiodący w bok i zaczepy w ścianach. Pewnie była tam rozpięta siatka. A ty powtarzasz to, co oni chcą, żebyś powtarzał.

Wrócił na fotel. Wbił ciężki wzrok w Stanke.

— Zastanawiam się czy skierować cię na placówkę w Ułan Bator, czy może od razu wysłać na Magadan, żebyś szkolił najbardziej tępych rekrutów w całej naszej armii. Mam dylemat, bo chciałbym dać ci jeszcze szansę wykazania szpiegowskich zdolności, ale nie wiem czy poradzisz w Mongolii, skoro nie dałeś rady w Polsce. Jeśli zaś chodzi o Wilichowa, to — jeśli jesteś ciekaw — jutro jedzie szefować ambasadzie w Bangladeszu, tak jak miał obiecać w razie fiaska operacji. Tam spokojnie, przeklinając każdy dzień, doczeka emerytury. A ty... — zawiesił głos.

Stanko czuł w głowie pustkę a w sercu rozpacz. Magadan... Okropny region, dawniej zwany Złą Ziemią. Czy jest bardziej przeklęte miejsce w całej Rosji? Nagle zrobiło mu się wszystko jedno. Niech będzie co ma być.

— Zobaczymy — dokończył sekretarz. — Dowiesz się jutro. A teraz możesz odejść.

Grigorij zasalutował, odwrócił się i wyszedł. Za drzwiami przystanął, szklanym wzrokiem obrzucił miękki chodnik korytarza, po czym ruszył w powrotną drogę, która w tej czarnej chwili zdawała się nie mieć końca.

\*

Kiedy wszedł do biura, Bzowski zerwał się jakby zobaczył ducha. Właściwie w pierwszej chwili nie poznał Michała. Porucznik był błydy, zarośnięty, zgarbiony, wyglądał jakby mu przybyło dziesięć lat. Powinien przecież siedzieć teraz w Londynie, kłócić się z byłą żoną i cieszyć

spotkaniem z synem. Major otrząsnął się z wrażenia nierealności sytuacji dopiero gdy Michał zaczął opowiadać o pobycie na Węgrzech. Chociaż i wtedy trudno mu było oswoić się z myślą, że...

— Jesteś niekarny, nieposłuszny, samowolny — rzekł kręcąc głową.  
— To wiedziałem od dawna. Ale żeby zataić ważne informacje... Wiesz, to już się kwalifikuje pod prokuratora.

— Wiem. Ale ty także zdajesz sobie sprawę, że wyświadczyłem ci przysługę nie mówiąc o cynku Witka. Trop Saszki miał nas tylko odciągnąć od Łazarza.

— I ciebie zdołał odciągnąć bardzo skutecznie.

Michał wzruszył ramionami.

— Tylko na jakiś czas. Najbardziej mi zależało, żeby dorwać tego mordercę. Migułę dopadnę prędzej czy później.

Bzowski drgnął.

— Skąd w ogóle masz informacje, że żyje?

— A nie powinien?

— No tak! — major klepnął się otwartą dłonią w czoło. — Przecież ty nic nie wiesz poza tym, że wyruszyliśmy śladem Rosjan.

Michał słuchał o wydarzeniach w Srebrnej Górze nie ujawniając zaskoczenia czy emocji. Zadał tylko kilka pytań. Major mówił, patrząc z troską na podwładnego.

— Kiedy chłopcy pogonili za Łazarzem, zorientował się chyba, że przewidzieliśmy jego ucieczkę i postanowiliśmy ją wykorzystać. Nie próbował nawet kluczyć, bo przecież w nieznanych korytarzach sam mógł się nadziać na pułapkę. Wpieprzył się w tę studnię niby przypadkiem. Podobno wrzeszczał, jakby naprawdę się bał. Zresztą pewnie tak było. Nie mógł mieć stuprocentowej pewności, że siatka wytrzyma. A gdyby trzasnęła... Nie byłeś tam, nie widziałeś. Pionowy szyb, przepaść właściwie, do pewnego momentu wypełniona wodą. Niby można przeżyć upadek, ale to straszne utkwic w czymś takim. Poza tym mógł przecież po drodze zawadzić głową o jakiś wystający kamień, złamać nogę, stracić przytomność. Ale miał szczęście, jak to bywa u takich sukinkotów. Prysnał. A myśmy zostali z tymi Ruskimi, których po dwóch dniach musiałem wypuścić, chociaż miałem ochotę ich trochę mocniej przycisnąć.

— To dobrze — powiedział Wroński. — Całe szczęście, że uciekł.

Bzowski spojrział zdumiony. Człowiek, którego dobrze znał, zaskakiwał go już kolejny raz w ciągu ostatnich dni.

— Co ty gadasz? Jak to — dobrze?

— Bo będę go mógł sam odnaleźć — odparł spokojnie Michał.

— Chłopie! Daj sobie trochę na wstrzymanie. Tym razem miałeś szczęście. Dwa razy. Pierwszy, bo nie zamierzam wszczynać dochodzenia w sprawie niewykonania przez ciebie rozkazu. Dostałeś przecież na piśmie decyzję o odsunięcia od śledztwa. A drugi raz — że ten idiota Walas zachowywał się nieostrożnie. Łazarz nie pozwoliłby się tak podjeść. A poza tym ten Czeczen mógł cię zaszlachtować niczym królika, a jednak wypuścił. Przy następnej takiej okazji...

— Szczęście? — roześmiał się gorzko Wroński. — Nie mów mi o szczęściu. To Saszka jest szczęściarzem, bo nie udało mi się skombinować WYW-72. A Selim miał po prostu taki kaprys. Mógł mnie kazać zabić, ale zamiast tego nie tylko wypuścił, ale odstawił do Polski. Dzięki temu bandyta poczuł się przez chwilę człowiekiem honoru, pełnym łaskawości. Będzie się tym chwalił przez najbliższych parę lat. A ja mogę poszukiwać Łazarza.

— Znów się zapominasz. To nie jest twoje prywatne biuro śledcze — rzucił ostro Bzowski. — Nie możesz robić, co ci się żywnie spodoba. Zresztą przyszły nowe wytyczne. Sprawę Bursztynowej Komnaty mamy odstawić na czas nieokreślony. Urwały się wszystkie tropy. Wiemy tyle, że przynajmniej część skarbu spoczywa w Srebrnej Górze. Reszta jest w Bolkowie, pod Wielką Sową, może w Walimiu i cholera wie gdzie jeszcze. A my dostaliśmy nowy przydział, nową sprawę. Jeśli się nie podporządkujesz, będę musiał cię przenieść do innego departamentu albo nawet zwolnić. Nie pozwolę, żeby moi ludzie za pieniądze podatników uganiali się po świecie załatwiając prywatne porachunki.

— Nie bój się — Michał przetarł dłonią czoło. — Będę robił co do mnie należy. Teraz i tak nie namierzę Łazarza, na pewno przyczaił się, pozacierał ślady. To potrafi znakomicie. Ale jestem dziwnie spokojny, że prędzej czy później gdzieś wypłynie. Wtedy nic już mnie nie powstrzyma.

— Wtedy — oznajmił uroczyście major — nie tylko nie będę cię powstrzymywał, ale pomogę z całych sił.

— Wiem — uśmiechnął się Michał — Zrobisz wszystko, żeby go wziąć żywcem, wydobyć jak najwięcej informacji — spoważniał, wstał z



krzesła. — Ale ja myślę o zemście. Dla mnie...

Nie dokończył. Zachwiał się, osunął na kolana. Major natychmiast znalazł się przy nim.

— Rany boskie, Michał, co ci jest?

— To tylko wstrząs mózgu. Chyba powinienem się położyć.

— Chyba powinieneś iść do szpitala! Od tego można umrzeć.

— Przecież to nie pierwszy raz.

Bzowski chwycił za słuchawkę telefonu. Po kilku minutach pod budynek zajechała karetka na sygnale.

— Czekam na ciebie w biurze, jak tylko wyjdiesz z kliniki — powiedział major.

— Nie ma sprawy — wymamrotał Michał. Kręciło mu się w głowie. — Jednak poproszę cię jeszcze o tydzień urlopu.

— Po co? — Bzowski spojrzał czujnie.

— Chcę pojechać do Londynu... Nie patrz tak. Tym razem naprawdę mam zamiar odwiedzić dzieciaka i Martę. Muszę wreszcie załatwić ostatecznie pewne sprawy, uładzić się z samym sobą.

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[22.](#)